

STANISŁAW LEM

SUPPLEMENT

Z TOMU DZIENNIKI GWIAZDOWE

PODRÓŻ OSIEMNASTA

Wyprawa, o jakiej chcę pisać, w skutkach i skali była największym dziełem mego życia. Pojmuję też dobrze, że mało kto da moim słowom wiarę. Jednakowoż, choć wygląda to na paradoks, właśnie niedowiarstwo Czytelników ułatwia mi zadanie. Nie mogę bowiem twierdzić, jakobym zrobił to, co zamierzyłem, doskonale. Prawdę mówiąc, rzecz wyszła raczej kiepsko. Jakkolwiek zaś to nie ja naknociłem, lecz pewni zawistnicy oraz ignoranci, co starali się pokrzyżować moje plany, nie jest mi od tego lżej na duszy.

Tak więc — wyprawa, jaką podjąłem, miała za cel stworzenie Wszechświata. I to nie jakiegoś nowego, osobnego, którego dotychczas nie było. Bynajmniej. Chodziło o ten Wszechświat właśnie, w którym żyjemy. Oświadczenie z pozoru bezsensowne, wariackie wręcz, jak bowiem można stworzyć to, co już istnieje, i do tego jeszcze tak długo i bezapelacyjnie jak Kosmos? Czyżby szło, gotów pomyśleć Czytelnik, o ekstrawagancką hipotezę, twierdzącą, że dotychczas nie było oprócz Ziemi nic i że wszystkie Galaktyki, Słońca, Chmury i Drogi Mleczne były tylko rodzajem fatamorgany? Ale i tak nie jest wcale. Ja bowiem doprawdy stworzyłem wszystko, absolutnie Wszystko — a więc również i Ziemię, i resztę słonecznego systemu, i Metagalaktykę, co byłoby, zapewne, niejakim powodem do chluby, gdyby nie to, że ten mój wytwór ma tyle mankamentów.

Częściowo odnoszą się one do budulca, przede wszystkim jednak do materii ożywionej z człowiekiem na czele. Z nim łączą się moje największe zgryzoty. Zapewne ci, których wymienię z nazwiska, wmieszali mi się w rzecz i popsuli ją, żadną miarą jednak nie uważam się przez to za bezwinnego. Trzeba było staranniejsze wszystko zaplanować, dopatrzeć, uwzględnić. Zwłaszcza że o żadnych naprawach i udoskonaleniach nie ma już mowy. Od dwudziestego października zeszłego roku wszystkie, ale to wszystkie błędy konstrukcyjne Universum i wypaczenia natury ludzkiej idą na mój rachunek. Od świadomości tej nie ma ucieczki.

Zaczęło się to trzy lata temu, gdy dzięki profesorowi Tarantodze poznałem pewnego fizyka słowiańskiego pochodzenia z Bombaju. Bawił tam jako tak zwany Visiting Profesor. Uczony ów, Solon Razgłaz, od trzydziestu kilku lat zajmował się kosmogonią, czyli tą gałęzią astronomii, która bada pochodzenie i okoliczności powstania Wszechświata.

Zgłębiwszy przedmiot, doszedł do matematycznie ścisłego wniosku, który jego samego kompletnie oszołomił. Jak wiadomo, teorie kosmogogenezy dzielą się na dwa odłamy. Jeden grupuje te, co uznają Wszechświat za trwający wiecznie, czyli wyzbyty początku. Drugi obejmuje teorie, podług których Wszechświat powstał kiedyś, i to sposobem wybuchowym, dzięki eksplozji praatomu. Oba te stanowiska natrafiały zawsze na ogromne trudności. Co do pierwszego, nauka posiada rosnącą liczbę dowodów na to, że Kosmos widzialny liczy sobie kilkanaście miliardów lat bytu. Jeśli coś odznacza się określonym wiekiem, to nic prostszego, jak rachubą wstecz dojść do momentu, w którym się ten wiek od zera rozpoczynał. Ale przecież Kosmos Wieczny takiego „zera”, to jest Początku, mieć nie może. Pod naciskiem nowych wiadomości większość uczonych opowiada się więc teraz za Wszechświatem, który powstał był jakieś piętnaście czy osiemnaście miliardów lat temu. Zrazu był pewien twór, zwany Ylemem, Praatomem czy jeszcze inaczej, który eksplodował, i z niego zrodziły się materia wraz z energią, chmury gwiazd, wirujące galaktyki, ciemne i jasne mgławice, pływające w rozrzedzonym gazie pełnym promieniowania. Wszystko to daje się bardzo dokładnie i ładnie wyrachować, byle tylko nie przyszło nikomu do głowy postawić pytania: „A skąd się właściwie wziął ten jakiś Praatom?” Gdyż na to pytanie nie ma odpowiedzi. Istnieją pewne wykręty, owszem, ale żaden uczciwy astronom nie jest z nich zadowolony.

Profesor Razgłaz, nim się wziął do kosmogonii, studiował długo fizykę teoretyczną, a zwłaszcza zjawiska tak zwanych cząstek elementarnych. Gdy Razgłaz przerzucił swe

zainteresowania na nowy temat, szybko wyrysował mu się taki obraz: Kosmos najniewątплиwiej miał Początek. Najwyraźniej w świecie powstał z jednego Praatomu 18,5 miliarda lat temu. Zarazem jednak Praatomu, z jakiego był się wylał, być nie mogło. No, bo któż by go podłożył na pustym miejscu? Na samym początku nie było nic. Gdyby było coś, toby owo coś zaraz zaczęło się, jasna sprawa, rozwijać i cały Kosmos powstałby dużo wcześniej, a biorąc dokładnie rzecz — nieskończenie wcześniej! Niby dlaczego ten jakiś pierwotny Praatom miał sobie trwać i trwać, i trwać w martwocie i bezruchu przez niewiadome eony, ani się ruszając, i co, dlaboga, w jednej chwili miało nim szarpnąć i targnąć, żeby się w coś tak olbrzymiego rozprężył i rozleciał, jak Universum całe?

Zapoznawszy się z teorią S. Razgłaza, nie ustawałem w rozpytywaniu go o okoliczności odkrycia. Problemy takie zawsze mnie pasjonowały, a już trudno chyba o rewelację większą aniżeli tę — kosmogonicznej hipotezy Razgłazowej! Profesor, który jest człowiekiem cichym i niesłychanie skromnym, wyjawiał mi, że się po prostu zachowywał myślą w sposób nieprzyzwoity ze stanowiska ortodoksyjnej astronomii. Wszyscy astronomowie wiedzą doskonale, że to atomowe ziarnko, z którego miał Kosmos wyrósć, jest niebывałym kłopotem. Co więc z nim robią? Ano — schodzą mu z drogi. Wymijają tę kwestię, bo taka jest niewygodna. Razgłaz, na odwrót, jej właśnie odważył się poświęcić cały swój wysiłek. W miarę jak budował modele, otoczony gromadą najszybszych celerów—komputerów, coraz wyraźniej widział, że tu jest jakiś niezwykle pies pogrzebany. Miał zrazu nadzieję, że sprzeczność uda mu się z czasem pomniejszyć, a może nawet usunąć.

Tymczasem ona właśnie rosła. Wszystkie fakty przemawiały bowiem za tym, że Kosmos doprawdy powstał z jednego atomu, ale jednocześnie i za tym, że żadnego takiego atomu nie mogło być. Tu się napraszała rzecz oczywista, hipoteza Pana Boga, lecz tę Razgłaz odłożył na bok jako ostateczność. Pamiętam uśmiech, z jakim mówił mi: „Nie należy spychać wszystkiego na Pana Boga. A już astrofizyk na pewno nie powinien być takim spychaczem...” Rozmyślając przez długie miesiące nad tym dylematem, Razgłaz wspomniiał swoje studia dawniejsze. Spytajcie, jeśli mi nie zawierzycie, byle znajomego fizyka, a powie wam, że pewne zjawiska w najmniejszej skali zachodzą sposobem jakby kredytowym. Mezony, te cząsteczki elementarne, naruszają czasem prawa zachowania, lecz czynią to tak niesłychanie szybko, że go nie naruszają prawie. To, co zakazane prawami fizyki, czynią błyskawicznie, jak gdyby nigdy nic, i zaraz potem znowu poddają się tym prawom. Otóż na jednej ze swoich porannych przechadzek po ogrodzie uniwersyteckim Razgłaz zadał sobie pytanie: a co, jeśli Kosmos w skali największej zrobił to samo? Jeżeli mezony mogą tak się zachowywać w ułamku sekundy tak drobnym, że cała sekunda jest przy nim wiecznością. Kosmos, ze względu na swe rozmiary, musiałby się w ów zakazany sposób zachowywać odpowiednio dłużej. Na przykład przez piętnaście miliardów lat...

Powstał tedy, jakkolwiek powstać nie mógł, bo nie miał z czego. Kosmos jest zabronioną fluktuacją. Stanowi on wybryk chwilowy, momentalne odstępstwo od właściwego zachowania, tyle że ta chwila i ten moment mają rozmiary monumentalne. Wszeczeńświat jest takim samym odstępstwem od praw fizyki, jakim bywa w najmniejszej skali mezon! Ogarnięty przecuciem, że znalazł się na tropie tajemnicy, profesor udał się natychmiast do pracowni i podjął sprawdzające obliczenia, które krok po kroku dowiodły jego racji. Lecz nim jeszcze zdążył je zakończyć, zaświtało mu przecucie, że rozwiązanie zagadki kosmogonii to najstraszniejsze zagrożenie, jakie można sobie pomyśleć.

Kosmos istnieje bowiem na kredyt. Jest on ze wszystkimi gwiazdozbiorami i galaktykami jednym potwornym zadłużeniem, jest jakby listem zastawnym, jest obligiem, który musi w końcu zostać spłacony. Wszeczeńświat to nielegalna pożyczka, to dług materialno—energetyczny, jego pozorne „Ma” w istocie przedstawia gołe „Wi i e n”. Tak więc Kosmos, będąc Wyskokiem Bezprawnym, pryśnie jednego pięknego dnia niczym bańka mydlana. Jako anomalia, zapadnie się z powrotem w ten sam Niebyt, z którego wychywał. Dopiero ten

moment będzie przywróceniem Porządku Rzeczy!

To, że on jest taki duży i że tyle zdążyło się już w nim stać, wynika po prostu stąd, że idzie o Wybryk w Największej z możliwych Skali. Razgłaz wziął się niezwłocznie do obliczania, kiedy przyjdzie ten fatalny kres, to znaczy, kiedy materia, słońce, gwiazdy, planety, a więc i my z Ziemią, przepadniemy w nicości jak zdmuchnięci. Przekonał się wszakże, że tego przewidzieć nie można. Oczywiście nie można, skoro chodzi o wybryk, to jest odstępstwo od porządku praw! Groza bijąca z tego odkrycia spędziła mu sen z oczu. Po dłuższej walce wewnętrznej, zamiast ogłosić swe prace kosmogoniczne, zaznajomił z nimi wielu najznakomitszych astrofizyków. Uczeni ci uznali poprawność jego teorii i wpływających z niej wniosków. Zarazem jednak wyrazili w rozmowach prywatnych pogląd, że ogłoszenie stanu rzeczy wtrąciłoby nasz świat w duchowy chaos i w przerażenie, których skutki mogą cywilizację zrujnować. Któż będzie jeszcze chciał cokolwiek robić, niechby ruszyć małym palcem, z wiedzą, że w każdej sekundzie wszystko może szczeznąć razem z nim samym?

Sprawa stała w martwym punkcie. Razgłaz, ten największy odkrywca historii nie tylko ludzkiej, podzielał opinię swych uczonych kolegów. Choć z ciężkim sercem, postanowił teorii swojej nie publikować. Zamiast tego wziął się do poszukiwania, w całym arsenale fizyki, środków, które by niejako wsparły Kosmos, wzmocniły i podtrzymały jego kredytowy byt. Lecz wszystkie jego wysiłki spełzły na niczym. Nie można bowiem spłacić kosmicznego zadłużenia, bez względu na to, co by się robiło obecnie, skoro ono tkwi nie wewnątrz Universum, lecz u jego Początków — Tam, gdzie Wszechświat został najpotężniejszym, a zarazem najbardziej bezbronnym — Dłużnikiem Nicości.

Właśnie w owym czasie poznałem profesora i spędzałem długie tygodnie na rozmowach, w których zrazu wtajemniczał mnie w sedno swojego odkrycia, potem zaś był mi patnerem poszukiwań ratunku.

Ach, myślałem wracając do hotelu z rozognioną głową i zrozpaczonym sercem, gdybyż to można było choć na ułamek sekundy znaleźć się Tam — 20 miliardów lat temu — przecież wystarczyłoby umieścić w próżni jeden jedyny atom i z niego, jak z ziarna zasadzonego, mógłby się wylęgnać Kosmos, już w sposób całkowicie legalny, zgodny z prawami fizyki, z zasadą zachowania materii i energii — lecz jak się Tam dostać?!

Profesor, gdy opowiedziałem mu o tym pomysle, melancholijnie się uśmiechnął i wytłumaczył mi, że ze zwykłego atomu nie mógłby powstać Wszechświat, ponieważ zaródź Kosmosu musiałaby w sobie zawrzeć całą energię tych wszystkich przekształceń i działań, które rozdeły się do metagalaktycznych otchłani. Pojawszy mój błąd, dalej jednak z uporem rozważałem sprawę, aż jednego popołudnia, gdy nacierałem olejkiem nogi spuchnięte od ukąszeń komarów, wspomnieniem zawędrowałem do dawnych lat, kiedy lecąc przez kulistą Gromadę Psów Gończych dla braku lepszego zajęcia czytałem fizykę teoretyczną. W szczególności zaś czytałem podówczas tom poświęcony elementarnym cząsteczkom i przypomniałem sobie hipotezę Feynmana, że istnieją cząsteczki, które się poruszają „pod włos” strumienia czasu. Kiedy się tak porusza elektron, my dostrzegamy go wtedy jako cząstkę o naboju dodatnim (pozytron). Powiedziałem sobie, z nogami w miednicy, a co, gdyby tak wziąć jeden elektron i rozpędzić go, rozpędzić tak, aż zacznie gnać wstecz w czasie coraz szybciej i szybciej — czyby się nie dało nadać mu tak ogromnego impulsu, żeby wyleciał poza początek czasu kosmicznego, w to miejsce kalendarza, w którym jeszcze nic nie było — czyby z tego pozytronu rozpędzonego nie mógł powstać Wszechświat?!

Jakem stał, boso, z ociekającymi wodą nogami, pobiegłem do profesora. Natychmiast pojął wielkość mej idei i bez jednego zbędnego słowa wziął się do rachunków. Jakoż wyszło z nich, że ta rzecz jest możliwa. Poruszający się bowiem pod prąd czasu elektron, jak wyjawiała rachuba, będzie nabierał coraz większych energii, a gdy wyleci poza Początek Wszechświata, moc nagromadzona w nim rozsadzi go i eksplodując ta cząstka będzie dysponowała dokładnie takim zapasem, że się dzięki niej wyrówna dług. Wszechświat zostanie tedy uratowany od

krachu, ponieważ już nie będzie dłużej bytował na kredyt!

Teraz trzeba już było jedynie myśleć o praktycznej stronie przedsięwzięcia, które miało Świat zalegalizować, a więc po prostu stworzyć! Jako człowiek kryształowego charakteru, S. Razgłaz niejednokrotnie podkreślał w rozmowach z prof. Tarantogą, a też ze swymi asystentami i współpracownikami, że koncepcja Kreacji Universum jest moją zasługą i że to mnie w istocie, a nie jemu, przysługuje miano zarówno Stwórcy, jak i Zbawiciela Świata. Wspominam o tym nie aby się chełpić, lecz raczej, by chętkę pysznienia się poskromić — ponieważ wszystkie pochwały, wyrazy uznania najwyższego zachwytu, jakich się podówczas w Bombaju nasłuchiwałem do syta, zawróciły mi, obawiam się, odrobinę w głowie, wskutek czego nie dopilnowałem prac, jak należało. Spocząłem, niestety, na laurach, sądząc w swej naiwności, że najważniejsze już zostało zrobione — myślą — a teraz przychodzi część czysto wykonawcza, którą się inni mogą zajmować.

Fatalny błąd! Razem z prof. Razgłazem ustalaliśmy przez całe lato i znaczną część jesieni parametry, to jest cechy i własności, co się miały wykluczyć z elektronu — kosmicznego ziarna. Może bardziej właściwie należałoby go nazwać sprawczym ładunkiem; strona techniczna bowiem stworzenia świata wyglądała tak, że za działobitnię, biorącą na cel Początek Czasu, wzięliśmy olbrzymi synchrofazotron uniwersytetu, odpowiednio przerobiony. Cała jego moc, skupiona we właściwy sposób, koncentrując się na jednej jedynej cząstce — właśnie owym elektronie sprawczym — miała się wyzwolić dwudziestego października; profesor Razgłaz upierał się przy tym, że to ja, jako autor tej idei, muszę oddać jedyny, światosprawczy wystrzał z Chronoarmaty. Ponieważ zaś nadarzała się tak niesłychana i jedyna w historii okazja, naszą machinę, nasz miotacz miał opuścić nie byle jaki, pierwszy z brzegu elektron, lecz cząstka odpowiednio przerobiona, przekrojona, przefasonowana tak, ażeby powstał z niej Kosmos wielostronnie porządniejszy, znacznie bardziej solidny niż ten, co aktualnie istnieje — a już osobną uwagę poświęciliśmy pośredniemu i późnemu skutkowi Kosmokreacji, jakim miała wszak być Ludzkość!

Zapewne — w jednym elektronie zaprogramować, do jednego elektronu powkładać taką niesamowitą masę sterowniczych i nadzorczych informacji — to nie jest rzecz łatwa. Wyznaję też, zgodnie z prawdą, że bynajmniej nie sam wszystko robiłem. Podział pracy między mną a prof. Razgłazem wyglądał tak, że ja koncypowałem udoskonalenia i usprawnienia, on zaś tłumaczył je na ścisły język parametrów fizyki, teorii próżni, teorii elektronów, pozytronów i innych licznych tronów; zaprowadziło się też coś w rodzaju wylęgarni czy hodowli, w której należycie izolowane spoczywały próbne cząstki, spośród których mieliśmy wybrać dopiero tę najlepiej udaną, tę, z której miał, jak rzekłem, 20 października Wszechświat się narodzić!

Czego też dobrego, a wręcz doskonałego nie projektowałem w owych gorących dniach! Wieleż to nocy zarywałem, ślęcząc nad stertami ksiąg fizycznych, etycznych, zoologicznych, żeby zebrać, ścisnąć w jedno, skoncentrować najcenniejsze informacje, którymi profesor potem od świtu elektron kosmiczną zaródź kształtował! Szło, między innymi, o to, żeby Kosmos rozwijał się harmonijnie, a nie jak dotąd, żeby nim tak nie rzucały wybuchy Supernowych, żeby się energia kwasarów i pulsarów tak bezmyślnie nie marnowała, żeby gwiazdy nie strzelały i nie filowały jak ogarki, co mają knoty zawilgłe, żeby mniejsze odległości międzyplanetarne ułatwiały podróżowanie z miejsca na miejsce, a tym samym czyniły z kosmonautyki lepsze narzędzie kontaktów i jednoczenia się istot rozumnych. Na wołowej skórze by nie spisał dalszych usprawnień, jakie zdążyłem zaplanować w krótkim stosunkowo czasie. Były one zresztą rzeczą niekoniecznie najważniejszą, bo chyba nie wymaga z mej strony długich wywodów to, że się na ludzkości skoncentrowałem. Aby ją z kolei polepszyć, zmieniłem zasadę naturalnej ewolucji.

Jak wiadomo, ewolucja to albo masowe zażeranie się silniejszych słabszymi, czyli z o o c y d, albo zmowa słabszych, co się biorą do silniejszych od środka, czyli pasożytnictwo. Moralnie w porządku są tylko rośliny zielone, ponieważ żyją na własny rachunek ze

słonecznego konta. Obmyśliłem tedy chlorofilizację wszystkiego, co żywe, a w szczególności ustaliłem — człowieka ulistnionego. Ponieważ tym samym opustoszyłem brzuch, przeniósłem tam odpowiednio powiększony układ nerwowy, oczywiście nie robiąc tego wszystkiego bezpośrednio, boż miałem do dyspozycji zaledwie jeden elektron. Ustanowiłem po prostu, porozumiewając się z profesorem, jako fundamentalne prawo ewolucji, co miała zajść w Nowym Niezadłużonym Kosmosie, regułę przyzwoitego postępowania każdego życia względem wszystkich innych. Obmyśliłem też o wiele bardziej estetyczne ciało, subtelniejszą płciowość i wiele innych usprawnień, których nawet nie będę wyliczał, bo mi się serce krwawi przy wspomnianiu tych planów. Dość na tym, że w ostatnich dniach września mieliśmy już gotowe Działo Światostwórcze i jego elektronowy nabój. Trzeba było jeszcze pewnych bardzo skomplikowanych obliczeń, którymi zajął się profesor z asystentami, ponieważ naprowadzanie na cel w czasie (a raczej tuż, tuż poza czasem) przedstawiało operację wymagającą najwyższej precyzji.

Czy nie powinienem był siedzieć na miejscu, bacząc na wszystko jak uwiązany, przez wzgląd na niesamowitą odpowiedzialność, jaka na mnie spoczywała? Cóż, kiedy zapragnąłem odpoczynku... i wyjechałem do małej miejscowości kąpielowej. Wstyd powiedzieć, lecz wyznam jednak: komary dały mi się mocno we znaki, spuchłem i przez to marzyłem wręcz o chłodnych morskich kąpielach. I przez te przekłete komary właśnie... ale nie mam prawa zwalać na nic i na nikogo własnej przewiny. Przed samym wyjazdem doszło między mną a jednym ze współpracowników profesora do tarć. Właściwie nie był to nawet współpracownik Razgłaza, lecz zwyczajny laborant, tyle że jego rodak, niejaki Alojzy Kupa. Osobnik ów, którego zadaniem była piecza nad przyrządami laboratoryjnymi, ni z tego, ni z owego zażądał, aby na listę Stwórców Świata on też został wciągnięty, bo, mówił, gdyby nie on, toby kriotron nie działał jak należy, a gdyby kriotron nie działał, toby się elektron nie zachował właściwie... itd. Wyśmiałem go oczywiście, on zaś niby to zrezygnował z bezzasadnych uroszczeń, w istocie jednak jął knuć w sekrecie własne plany. Sam nic sensownego zrobić nie mógł, lecz zmówił się z dwoma przygodnymi znajomkami, którzy kręcili się koło bombajskiego Instytutu Badań Jądrowych licząc na to, że znajdą tam ciepłą posadkę. Byli to Niemiec Ast A. Roth oraz pół Anglik, pół Holender Boels E. Bubb.

Jak wykazało przeprowadzone poniewczasie śledztwo, A. Kupa wpuścił ich nocą do laboratorium, a reszty dokonała opieszałość młodszego asystenta prof. Razgłaza, niejakiego magistra Serpentine'a. Pozostawił on na biurku klucze od kasy pancерnej, co ułatwiło intruzom zadanie. Serpentine tłumaczył się potem chorobą, przedstawiał świadectwa lekarskie, lecz cały Instytut wiedział, że ten niedowarzony młokos miał aferę miłosną z pewną mężatką, niejaką Ewą A., i wprost pełzając u jej stóp przy konkurach stracił z oczu obowiązki służbowe. Kupa zaprowadził współpracowników do sali z aparaturą kriotronową, wyjęli z niej pojemnik Dewara, z niego zaś futerał mieszczący bezcenny nabój i dokonali swych niecznych „poprawek” parametrycznych, których skutki każdy może oglądać do woli, jeśli się tylko rozejrzy po tym koszmarnym świecie, w jakim żyjemy. Tłumaczyli się później na wyścigi, twierdząc, że mieli „jak najlepsze intencje” i liczyli też na sławę (!!), zwłaszcza ponieważ było ich trzech.

Też mi Trójca! Jak musieli zeznać pod naciskiem dowodów i w ogniu krzyżowych pytań, podzielili się pracą. Ast A. Roth, ongiś student Getyngi (ale sam Heisenberg wyrzucił go z asystentury za wkładanie zdjęć pornograficznych do spektrografu Astona), „zajął się” fizyczną stroną Stworzenia i uczciwie ją spałał. To przez niego tak zwane słabe oddziaływania nie zgadzają się z silnymi i nawala symetria praw zachowania. Każdy fizyk w lot chwyci te moje słowa. Tenże Roth, popełniwszy błąd w zwykłym dodawaniu, doprowadził do tego, że nabój elektronu, gdy się go obecnie oblicza, uzyskuje wielkość nieskończoną. Przez tego bałwana nie można też odnaleźć nigdzie kwarków, jakkolwiek z teorii wynika, że powinny być! Nieuk, zapomniał zrobić poprawkę w formule dyspersji! Również i to, że

interferujące elektrony w żywe oczy zaprzeczają logice, jest jego „zasługą”. I pomyśleć, że dylemat, nad którym Heisenberg łamał sobie głowę przez całe życie, sprokurował mu jego najgorszy i najgłupszy uczeń!

Zresztą dopuścił się on występku jeszcze znacznie cięższego. Mój plan Stworzenia przewidywał reakcje jądrowe, bo wszak bez nich nie byłoby promienistej energii gwiazd, lecz skasowałem pierwiastki grupy uranowej, żeby ludzkość nie mogła wyprodukować bomb atomowych w połowie XX wieku, to jest przedwcześnie. Miała opanować energią nuklearną tylko jako syntezą jąder wodorowych w hel, a ponieważ to jest trudniejsze, odkrycia nie można się było spodziewać przed wiekiem XXI. A. Roth wprowadził jednak uranidy na powrót do projektu. Niestety nie dało mu się udowodnić, że działał powodowany przez agentów pewnego imperialnego wywiadu, co łączyło się z planami militarnej supremacji... ale właściwie i tak należałby mu się proces z oskarżenia o ludobójstwo, bo gdyby nie on, nie zbombardowano by japońskich miast w II wojnie światowej.

Drugi „specjalista” z tej dobranej trójki, E. Bubb, ukończył kiedyś studia lekarskie, lecz odebrano mu prawo praktyki za liczne wykroczenia. Ten „zajął się” stroną biologiczną i odpowiednio ją „udoskonalił”. Co do mnie, rozumowałem następująco: świat jest, jaki jest, a ludzkość zachowuje się, jak się zachowuje, ponieważ wszystko to powstało sposobem przypadkowym, więc byle jakim, z okazji naruszenia praw fundamentalnych. Wystarczy zastanowić się chwilę, aby dojść do wniosku, że przy takich warunkach mogło być nawet jeszcze gorzej! Decydowała przecież loteria — skoro „Stwórcą” był fluktuacyjny kaprys nicości, która potwornie i koszmarnie zadłużyła się, rozdymając bez sensu i planu Metagalaktyczną bańkę!

Uznałem wprawdzie, że pewne cechy Kosmosu można pozostawić, przy właściwych retuszach i korekturach, toteż dopracowałem sumiennie, co należało. Lecz co się Człowieka tyczy, a, tutaj byłem już skrajnie radykalny. Zastaną paskudę przekreśliłem od jednego zamachu. Wspomniana wyżej liściastość, zastępująca owłosienie ciała, służyłaby urzeczywistnieniu nowej etyki życia, lecz panu Bubbowi ważniejsze wydały się włosy, ponieważ, uważacie, „było mu ich szkoda”. Ze to można takie ładne plerezy, bokobrody i inne sierściane zakrętasy z nich układać. Tu — nowa solidarystyczno-humanistyczna moralność, a tam — walory, dające się mierzyć tylko fryzjerskim kanonem! Zapewniam was, żebyście się nie poznali, gdyby nie p. Boels E. Bubb, który na powrót wkopiował w elektron z kasety wszystkie szkaradzieństwa, jakie dostrzegacie u siebie i u innych.

Co się tyczy wreszcie laboranta Kupy, ten nie umiał wprawdzie sam nic zrobić, domagał się jednak od kompanów, żeby uwiecznili jego udział w stworzeniu świata;

chciał tedy — aż mną trzęsie, kiedy to piszę — by nazwisko jego widniało w każdej stronie firmamentu, gdy jednak Roth wytłumaczył mu, że wskutek swych ruchów gwiazdy nie mogą się trwale układać w monogramy czy litery, Kupa zażądał, żeby przynajmniej zostały zgrupowane dużymi rojowiskami, to jest, k u p a m i . To też uczyniono.

Dwudziestego października, kładąc palec na klawiszach pulpitu sterowniczego, nie miałem naturalnie pojęcia, co właściwie stwarzam. Okazało się to dopiero po paru dniach, gdyśmy sprawdzali obliczenia i wykryli na taśmach treść utrwaloną przez plugawą Trójkę w naszym pozytronie. Profesor był załamany. Co do mnie, wyznam, że nie wiedziałem, czy mam sobie, czy komuś innemu w łeb palnąć. W końcu rozważa jednak wzięła górę nad gniewem i rozpaczą, skoro wiedziałem, że niczego już nie da się odmienić. Nie uczestniczyłem nawet w przesłuchiwaniu łotrów, którzy zohydzili świat przeze mnie stworzony. Profesor Tarantoga powiedział mi jakieś pół roku później, że trzech intruzów odegrało w kreacji rolę, jaką wiary przypisują szatanowi. Wzruszyłem na to ramionami. Jakież tam szatan z trzech osłów. Zresztą i tak ja ponoszę największą winę, ponieważ zaniedbałem się i zeszedłem z posterunku. Gdybym chciał szukać usprawiedliwień, powiedziałbym, że winien jest też bombajski farmaceuta, który zamiast uczciwego repellanta komarów sprzedał

mi olejek przyciągający je niczym miód — pszczoły. Ale idąc tym trybem, można Bóg wie kogo w następnej kolejności oskarżać o Skażenie Natury Bytu. Nie zamierzam się tak bronić: odpowiadam za świat, jaki jest, i za wszystkie przywary ludzkie, ponieważ leżało w mej mocy zrobić jedno i drugie lepiej.

PODRÓŻ DWUDZIESTA

Zaczął się to w niespełna dobę po moim powrocie z Hyjad, gromady kulistej, tak gęstej od gwiazd, że cywilizacje gniotą się w niej jak kasza w garnku. Nie rozpakowałem jeszcze i połowy walizek z przywiezionymi okazami, a już mi ręce opadały. Zamierzałem zrazu znieść cały bagaż do piwnicy i zająć się nim później, kiedy odsapnę, bo droga powrotna okropnie mi się dłużyła i niczego tak nie pragnąłem, jak usiąść na moim rzeźbionym fotelu w gabinecie przed kominkiem, wyciągnąć nogi, ręce wetknąć w kieszenie wyświechtanej bonzurki i powiedzieć sobie, że oprócz wybiegnięcia mleka, postawionego na ogniu, nic mi nie zagraża. Bo też po czterech latach takiej jazdy można mieć dość Kosmosu, przynajmniej na jakiś czas. Podejdę sobie, myślałem, do okna, a za nim nie czarna bezdnia, nie protuberancje skwierzące, lecz ulica, ogródki, krzaczki, piesek załatwia się pod drzewkiem z taką obojętnością wobec problemów Drogi Mlecznej, aż radość bierze.

Ale, jak to zwykle bywa z marzeniami, nic z tego nie wyszło. Zauważywszy, że już pierwsza paczka, wyciągnięta z rakiety, ma wgnieciony bok, pełen niepokoju o bezcenne okazy, których moc nagromadziłem, zaraz wzięłem się do rozpakowywania. Myrdangi zachowały się nieźle, ale kalusznice pod spodem pomięty się, po prostu nie mogłem tego tak zostawić, i w parę godzin odbiłem wieka największych skrzyń, pootwierałem kufry, grąsy pokładłem nad kaloryferem, żeby podeschły, bo przemoczyła je na wskroś herbata z termosu, a już zatrząsałem się na widok pchaków. Miały zostać ozdobą mojej kolekcji, po drodze jeszcze obmyślałem dla nich poczesne miejsca, boż to rzadkość nad rzadkościami — te produkty militaryzacji z Regulusa (jest to cywilizacja powołana w całości pod broń, i ani jednego cywila tam nie uświadczysz). Wypychanie to nie żadne „hobby” Regulańczyków, jak pisze Tottenham, lecz coś pośredniego między praktyką religijną a sportem. Tottenham po prostu nie pojął, z jakich pozycji tam wypychają. Wypychanie stanowi na Regulusie czynność symboliczną; toteż pełne zdumienia uwagi, wraz z retorycznymi pytaniami, są u Tottenhama tylko wyrazem zupełnej ignorancji. Czymś innym jest wypychanie małżeńskie, czym innym — szkolne, wycieczkowe, miłosne itp. Ale nie mogę teraz wdawać się w tę sprawę. Dość na tym, że dźwigając regulańskie trofea z parteru na piętro, nadwreżyłem sobie dysk, więc chociaż zostało jeszcze huk roboty, powiedziałem sobie, że taką partyzantką wiele nie zdziałam. Pozawieszałem jeszcze tylko matulki na sznurze do bielizny w piwnicy i zeszedłem do kuchni, by przyrządzić kolację. Teraz już tylko sjesta, sielanka, dolce far niente — rzekłem twardo. Co prawda ocean wspomnień dalej wypełniał mnie, natarczywy jak martwa fala po ustaniu burzy. Roztłukując jaja spojrzałem na błękitny płomyk kuchenki gazowej — niby nic, lecz całkiem podobnie wyglądała Nowa Perseusza. Popatrzyłem na firankę — białą, jak płat azbestu, którym okrywałem stos atomowy, kiedy... Dość tego! — rzekłem sobie. Lepiej rozważyć, co miłsze — jajecznicą, czy jaja sadzone? Zdecydowałem się właśnie na oczka, kiedy dom zadygotał. Jajka, jeszcze nie ścięte, chlupnęły na podłogę, a jednocześnie, wpółzwrócony ku schodom, usłyszałem przeciągły rumor, jakby lawiny. Rzuciłem patelnię i pognałem na górę. Czyżby dach runął? Meteor?... Nie może być! To się nie zdarza!

Jedynym pokojem, którego nie zawałiłem pakunkami, była moja pracownia, i stamtąd właśnie niósł się hurkot. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była góra książek u stóp przechylonej biblioteki. Spod grubych tomisk Encyklopedii kosmicznej wyczołgiwał się tyłem, na kolanach, jakiś człowiek, tłamsząc zwalone książki, jakby mu jeszcze nie dość było uczynionej rujnacji i chciał je dodatkowo podeptać. Nim się odezwałem, wyrwał spod siebie jakiś długi, metalowy drąg, ciągnąc go za rękę, przypominającą kierownicę roweru bez kół; kaszlnąłem, lecz intruz, wciąż na czworakach, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zakaszlałem głośnie, a już wtedy jego sylwetka wydała mi się dziwnie znajoma, lecz dopiero gdy powstał, poznałem go. To byłem ja. Zupełnie jakbym patrzył w lustro. Zresztą kiedyś

przeżyłem już całą serię takich spotkań, co prawda w gęstwie wirów grawitacyjnych, nie w spokojnym mieszkaniu!

Rzucił na mnie roztargnionym okiem i pochylił się nad swym przyrządem; zarówno to, że się tak szarogęsił, jak to zwłaszcza, że nie raczył się odezwać, wytrąciło mnie na koniec z równowagi.

— Co to wszystko znaczy! — nie podnoszę jeszcze głosu.

— Zaraz ci wyjaśnię... czekaj... — bormocze. Wstał, ciągnie tę rurę ku lampie, przekrzywia abażur, żeby mieć lepsze światło, poprawia papierek, podtrzymujący wysięgnik — wie, bestia, że abażur opada, więc to ani chybi ja naprawdę — i dotyka palcem jakichś pokręteł, najwyraźniej niespokojny.

— Wypadałoby się choć wytłumaczyć! — nie ukrywam już wzbierającej pasji. Uśmiecha się. Odstawia swój aparat, to jest opiera go o ścianę. Siada na moim fotelu, wyciąga drugą szufladę, wyjmuje z niej moją ulubioną fajkę i nieomylnie sięga po kapciuch z tytoniem. Tego mi już nadto.

— Bezwstydniku!! — mówię.

Okrągłym gestem ręki prosi mnie siadać. Mimo woli oceniając wzrokiem wyrządzone szkody — złamały się okładki dwu ciężkich atlasów nieba! — przysuwam sobie krzesło i zaczynam kręcić młynka palcami. Dam mu pięć minut na usprawiedliwienie i przeprosiny, a jeśli nie będę usatysfakcjonowany, to się inaczej porachujemy.

— Nonsens! — odzywa się mój nieproszony gość. — Zachowuj że się jak człowiek inteligentny! Jakże się chcesz ze mną rachować? Przecież każdy mój terazniejszy siniec będzie potem twoim!

Milczę, a coś mi świta. W samej rzeczy, jeśli on to ja i wydarzyła mi się (ale jakim sposobem, u diabła?) pętla czasowa (lecz dlaczego właśnie ja muszę mieć takie przygody?!), może rościć sobie niejakię prawa do mojej fajki i nawet mieszkania. Ale po co było zwałać bibliotekę?

— To nieumyślnie — rzecze przez kłęby wonnego dymu, patrząc w koniec bucika, wcale eleganckiego. Huśta nogą założoną na nogę. — Chronocykl zarzucił mi przy hamowaniu. Zamiast w ósmą trzydzieści, wleciałem w ósmą trzydzieści i z jedną setną sekundy. Gdyby lepiej ustawili celownik, znalazłbym się na samym środku pokoju.

— Jak to? (Nic nie rozumiem). Po pierwsze: czy jesteś telepatą? Jak możesz odpowiadać na pytania, które sobie tylko myślę? A po wtóre: jeżeli rzeczywiście jesteś mną i przybyłeś w czasie, to co on ma do miejsca? Dlaczego poniszczyłeś książki?!!

— Gdybyś trochę pomyślał, sam byś zrozumiał wszystko. Jestem późniejszy od ciebie, więc muszę pamiętać wszystko, co sobie myślałem, tj. myślałeś, boż jestem tobą, tylko z przyszłości. A co do czasu i miejsca, to się przecież Ziemia kręci! Pośliznąłem się o jedną setną sekundy, może nawet nieco mniej, i przez to mgnienie zdążyła się razem z domem przesunąć o te cztery metry. Mówiłem Rosenbeisserowi, że lepiej będzie lądować w ogródku, ale namówił mnie na ten wariant celowania.

— Dobrze. Powiedzmy, że jest, jak mówisz. Ale co to wszystko razem znaczy?

— Pewno, że ci powiem. Będzie jednak lepiej przyrządzić kolację, bo to dłuższa historia i nadzwyczajnej wagi. Przybyłem do ciebie jako poseł w misji historycznej.

Od słowa do słowa, przekonał mnie. Zeszliśmy na dół, przygotowało się tę kolację, tyle że otworzyłem sardynki (w lodówce zostało zaledwie parę jaj). Potem zostaliśmy już w kuchni, bo nie chciałem sobie psuć humoru oglądaniem biblioteki. Nie palił się do mycia naczyń, ale przemówiłem mu do sumienia, więc zgodził się wycierać. Siedliśmy potem przy stole, spojrział mi poważnie w oczy i rzekł:

— Przybywam z roku 2661, aby przedłożyć ci propozycję, jakiej żaden człowiek nigdy jeszcze nie słyszał i żaden nie usłyszy. Rada Naukowa Instytutu Temporystyki pragnie, żebym ja, to jest, żebyś ty został Naczelnym Dyrektorem Programu TEOHIPHIP. Skrót ten oznacza:

„Telechroniczna Optymalizacja Historii Powszechnej Hyperputerem”. Jestem dogłębnie przekonany, że obejmiesz to zaszczytne stanowisko, bo oznacza niezwykle odpowiedzialność przed ludźmi i historią, a jestem, tj. jesteś człowiekiem dzielnym i pełnym prawości.

— Pierwej jednak chciałbym usłyszeć coś bardziej konkretnego — a już zwłaszcza nie pojmuję, dlaczego nie przybył do mnie po prostu jakiś delegat tego instytutu, tylko ty, to jest ja? Skąd się tam wziąłeś, to jest wziąłem?

— To ci wytłumaczę na końcu i osobno. Co się tyczy sprawy głównej, pamiętasz naturalnie owego biedaka Molterisa, który wynalazł ręczną maszynkę do wędrowania w czasie i chcąc ją zademonstrować, zginął mamie, bo się na śmierć postarzał tuż po starcie?

Skinąłem głową.

— Takich prób będzie więcej. Każda nowa technika pociąga za sobą w fazie wstępnej ofiary. Molteris wynalazł jednoosobowy czasolazik bez żadnych zabezpieczeń. Zrobił to samo, co ów chłop średniowieczny, który wlaź ze skrzydłami na wieżę cerkiewną i zabił się na miejscu. W XXIII wieku powstały, to jest, z twego stanowiska powstaną chronotraki, czasowce i tempobile, lecz prawdziwa rewolucja chronomocyjna nastąpi dopiero trzysta lat później dzięki ludziom, których nie będę wymieniał — poznasz ich osobiście. Wędrowanie w czasie na mały dystans to jedno, a wyprawy w głąb milionoleci to znów inna sprawa. Proporcje są mniej więcej takie, jak między spacerem za miasto a kosmonautyką. Przybywam z Epoki Chronotrakcji, Chronomocji i Telechronii. O podróżowaniu w czasie wypisano góry białaluków, tak jak poprzednio o astronautyce — że jakiś wynalazca, dzięki jakiemś bogaczowi, w jakimś ustroniu buduje od razu raketę, którą obaj, a jeszcze w towarzystwie znajomych pań, lecą na drugi koniec Galaktyki. Technologia Chronomocyjna, jak Kosmonautyczna, wymaga olbrzymiego przemysłu, kolosalnych inwestycji, planowania... ale z tym też sam się zapoznasz na miejscu, tj. w swoim czasie. Mniejsza teraz o stronę techniczną. Chodzi o główny cel tej roboty; nie wkłada się w nią tyle po to, żeby ktoś mógł straszyć faraonów albo zbić własnego prapradziadka. Wyregulowało się ustrój, uregulowany jest klimat Ziemi, w XXVII wieku, z którego przybywam, jest tak dobrze, że lepiej nie może być, ale nie mamy wciąż spokoju ze względu na historię. Wiesz, jak ona wygląda; najwyższy czas z tym skończyć!

— Czekajże — w głowie mi szumiało. — Historia się wam nie podoba? Więc co z tego? Przecież taka, jaka była, musi zostać, nie?

— Nie pleć głupstw. Na porządku dnia stoi właśnie TEOHIPHIP, czyli Telechroniczna Optymalizacja Historii Powszechnej Hyperputerem. Mówiłem ci już. Dzieje powszechne wyreguluje się, oczyści, naprawi, wyrówna i udoskonali, zgodnie z zasadami humanitaryzmu, racjonalizmu i ogólnej estetyczności; rozumiesz chyba, że mając taką masarnię i jatkę w rodowodzie, wstyd pchać się pomiędzy wysokie kosmiczne cywilizacje!

— Regulacja Historii?... — powtórzyłem osłupiały.

— Tak. Jeśli zajdzie potrzeba, zrobi się poprawki nawet przed powstaniem człowieka, żeby powstał lepszy. Zgromadzono już środki i fundusze, wciąż jednak wakuje stanowisko Naczelnego Dyrektora Projektu. Wszystkich odstrasza ryzyko połączone z tą funkcją.

— Nie ma chętnych? — moje zdumienie jeszcze wzrosło.

— To nie ta przeszłość, w której każdy osioł chciał światem rządzić. Bez odpowiednich kwalifikacji nikt się nie pali do trudnego zadania. Tak więc stanowisko jest nie obsadzone, a rzecz nagli!

— Kiedy ja się na tym nie znam. I dlaczego właśnie ja?

— Będziesz dysponował całymi sztabami fachowców. Strona techniczna to nie twoja dziedzina; jest wiele różnych planów działania, wiele projektów, metod, konieczne są pełne rozważania, odpowiedzialne decyzje. Ja, to znaczy ty masz je podjąć. Nasz Hyperputer przebadał psychosondowaniem wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek żyli, i uznał, że ja, czyli ty — jest to jedyna nadzieja Projektu.

Po dobrej chwili odezwałem się:

— Sprawa, widzę, poważna. Być może, przyjmę to stanowisko, a może go i nie przyjmę. Dzieje powszechne, ba! To wymaga namysłu. Ale jak to się stało, że ja, to znaczy ty właśnie się u mnie zjawiłeś? Co do mnie, nie ruszałem się nigdzie w czasie. Dopiero wczoraj wróciłem z Hyjad.

— Jasne! — przerwał mi. — Przecież jesteś wcześniejszy! Gdy przyjmiesz propozycję, oddam ci mój chronocykl, i udasz się gdzie, tj. kiedy należy.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Powiedz mi, skąd się wziąłeś w XXVII wieku?

— Udałem się tam odpowiednim wehikułem czasu, rzecz jasna. A potem, stamtąd, przybyłem do twojego teraz i tutaj.

— Ale jeżeli ja się nigdzie nie udawałem żadnym wehikułem czasu, to i ty, który jesteś m

n ą ...

— Nie pleć. Jestem późniejszy od ciebie, więc nie możesz jeszcze wiedzieć, co takiego tobie się zdarzy, że wyruszysz w dwudziesty siódmy wiek.

— Ej, coś kręcisz! — mruknąłem. — Jeżeli zaakceptuję tę propozycję, dostanę się od razu w dwudziesty siódmy wiek. Czy nie tak? Będę tam dyktował tym Teohhipem i tak dalej. Ale skąd ty się tam wzię...

— W ten sposób możemy przegadać całą noc! Nie przelewaj z pustego w próżne. Zresztą, wiesz co? Poproś Rosenbeissera, niech ci to wytłumaczy. Ostatecznie to on jest fachowcem— czasownikiem, nie ja. Zresztą ta sprawa, chociaż trudna do uchwycenia, jak zawsze bywa z pętlą czasową, jest niczym w zestawieniu z moją, to jest twoją misją. Przecież to Misja Dziejowa! Więc jak? Godzisz się? Chronocykl jest sprawny. Nic mu się nie stało, sprawdziłem.

— Co tam chronocykl. Nie mogę tak od razu.

— Powinieneś! To twój obowiązek! Musisz!

— O ho ho! Tylko nie tak do mnie. Nic „musisz!” Wiesz, jak tego nie lubię. Mogę, jeśli zechcę, gdy uznam, że sytuacja tego wymaga. Kto to jest ten Rosenbeisser.

— Dyrektor naukowy INT-u. Będzie twoim pierwszym podwładnym.

— INT-u.

— Instytutu Temporystycznego.

— A co się stanie, jeśli się nie zgodzę?

— Nie możesz się nie zgodzić... nie zrobisz tego... znaczyłoby to, żeś stchórzył...

Na wargach błąkał mu się jakby powściągany uśmiezek przy tych słowach. To mnie nastroiło podejrzliwie.

— Proszę. A to czemu?

— Ponieważ... e, co ci będę tłumaczył. To się wiąże ze strukturą samego czasu.

— Nie opowiadaj bzdur. Jeżeli się nie zgodzę, to nie ruszę się stąd donikąd, więc ani mi jakiś Rosenbeisser niczego nie wyjaśni, ani żadnej historii nie będę regulować.

Mówiłem tak, po części, żeby zyskać na czasie, gdyż nie decyduje się o podobnych problemach na jednej nodze, ale też, jakkolwiek nie domyślałem się wcale, czemu on, to jest ja, do mnie przybył, czułem niejasno, że w tym tkwi jakaś inna finta, jakiś kruczek.

— Dam odpowiedź do czterdziestu ośmiu godzin! — rzekłem.

Począł napierać, żeby się zdecydował od razu, lecz im bardziej nastawa!, tym mniej mi się to podobało. Wreszcie jałem nawet powątpiewać w jego identyczność ze mną. Mógł to w końcu być jakiś ucharakteryzowany nasłaniec! Ledwom to pomyślał, wziąłem go na spytki. Trzeba było wynaleźć kwestię sekretną, której poza mną nie znał nikt.

— Dlaczego numeracja podróży w moich Dziennikach gwiazdowych ma luki? — rzuciłem mu zniemacka pytanie.

— A cha! cha! — zaśmiał się — to już we mnie nie wierzysz? Dlatego, kochanku, ponieważ jedne wyprawy odbywały się w przestrzeni, a inne w czasie, więc nie może być

nawet i pierwszej; zawsze przecież można się cofnąć wstecz tam, gdzie żadnej nie było i pojechać gdzieś, wówczas ta, co była pierwsza, stanie się drugą, i tak bez końca!

To się zgadzało. Lecz sprawa była jednak wiadoma paru osobom, co prawda moim zaufanym znajomym z zespołu tichologicznego profesora Tarantogi; zażądałem tedy dowodu tożsamości. Papiery miał w porządku, lecz to o niczym jeszcze nie świadczyło; można je wszak sfałszować. Podważył moje powątpiewanie tym, że umiał zaśpiewać wszystko, co wtedy tylko śpiewam, kiedy lecę daleko, sam jak palec; zauważyłem jednak, że w refrenie „Meteoryty, meteoryty!” — paskudnie fałszował. Powiedziałem mu to; obraził się i rzekł, iż to ja zawsze fałszuję, nie on; rozmowa, dotąd prowadzona dość spokojnie, zamieniła się w sprzeczkę, potem w gwałtowną kłótnię, aż tak mnie rozeźlił, że kazałem mu się zabierać do diabła. Było to powiedziane w złości, wcale nie myślałem tego, lecz bez jednego słowa wstał, poszedł na górę, wyrzucił swój chronocykl, siadł nań jak na rower, coś tam poruszył i w mgnieniu oka rozwiął się w mgłę, a właściwie w dymek jak z papierosa. Po minucie i tego już nie było — został tylko stos porzrzucanych na wszystkie strony książek. Stałem sam, z dość głupią miną, bom się tego nie spodziewałem, ale gdy podjął przygotowania do odjazdu, nie chciałem już ustąpić. Porozmyślawszy, zeszedłem znowu do kuchni, bo przegadaliśmy bez mała trzy godziny, i znowu poczułem głód. Miałem jeszcze parę jajek w lodówce, a też skrawek boczku, ale gdy zapaliłem gaz i sadziłem oczka, rozległ się z pietra wielki rumor.

Tak mnie zaskoczył, że zmarnowałem jajecznicę: wylała się razem ze skwarkami prosto w płomień kuchenki, a ja, klnąc na czym świat stoi, pogałem biorąc po trzy stopnie na górę.

Na półkach nie było już ani jednej książki; ich ostatek tworzył wielką kupę, spod której gramolił się, ciągnąc spod siebie chronocykl, bo przygniótł go ciałem, padając.

— Co to ma znaczyć! — krzyknąłem wściekły.

— Zaraz ci wyjaśnię... czekaj... — mamrotał, wlokąc chronocykl ku lampie. Obejrzał go, skupiony, nie racząc się nawet usprawiedliwiać z tego kolejnego najścia. Miałem tego doprawdy dość.

— Wypadałoby się choć wytłumaczyć!! — wrzasnąłem w pasji.

Uśmiechnął się. Odstawił chronocykl, to jest oparł go o ścianę, poszukał fajki, nabił ją z mego kapciucha, zapalił, zakładając nogę na nogę, aż mnie poniosło.

— Bezwstydniku!! — krzyknąłem. Jakkolwiek nie ruszyłem się z miejsca, powziąłem solenny zamiar zbicia go na kwaśne jabłko. Żarty jakieś będzie sobie stroił, ze mnie, w moim domu!

— Nonsens — odezwał się flegmatycznie. Nie poczuwał się najwyraźniej do winy. A przecież do reszty pozwalał mi wszystkie książki na podłogę!

— To nieumyślnie — rzekł, wypuszczając dym z ust. — Chronocykl znów mi się pośliznął...

— Ale dlaczego wróciłeś?

— Musiałem.

— Jak to?

— Znajdujemy się, mój drogi, w k o l e czasowym — rzekł spokojnie. — Będę cię teraz od nowa namawiał, żebyś zgodził się zostać dyrektorem. Jeżeli odmówisz, odjadę sobie, niebawem wrócę i wszystko zacznie się od początku...

— Nie może być! Jesteśmy w zamkniętym obiegu czasu?

— Otóż właśnie.

— Nieprawda! Gdyby tak było, wszystko, co mówimy i robimy, musiałyby się idealnie, jota w jota, powtarzać, a to, co ja mówię teraz, i to, co ty mówisz, już nie jest zupełnie takie samo jak za pierwszym razem!!

— Różne duby smalone plotą ludzie o podróży w czasie — rzekł — a te, któreś wymienił, należą do najbardziej nonsensownych. W kołowym czasie wszystko musi przebiegać podobnie, lecz wcale nie tak samo, ponieważ zamknięcie czasu, analogicznie jak

zamknięcie przestrzenne, nie pozbawia wszelkiej swobody, a tylko bardzo mocno ją ogranicza! Jeżeli przyjmiesz propozycję, udasz się w rok 2661, i tym samym koło zamieni się w pętlę otwartą. Ale jeśli odmówisz i znów mnie wygonisz, wrócę... i wiesz, co będzie!

— A więc nie ma innego wyjścia!?! — zakipiałem. — O, coś mi od razu podszeptało, że się w tym wszystkim ukrywa jakieś oszukaństwo! Zabieraj mi się stąd! Żebyś cię więcej na oczy nie widział!!

— Nie mów głupstw — odparł chłodno. — To, co się dzieje, zależy teraz wyłącznie od ciebie, bo nie ode mnie, a mówiąc ściślej, ludzie Rosenbeissera zamknęli za nami obu, to jest zatrzasnęli pętlę, i będziemy się w niej kołotali, aż zostaniesz dyrektorem!

— Ładna mi „propozycja”! — krzyknąłem. — A co będzie, jeśli ci porachuję wszystkie gnaty?

— To tylko, że sam je będziesz potem opatrywał we właściwym czasie. Nie musisz przyjąć propozycji, w tym sensie, że możemy się tak bawić, póki życia starczy...

— Też coś! Mogę cię zamknąć w piwnicy i pójść sobie, gdzie mi się spodoba!

— To raczej ja ciebie tam zamknę, bo jestem silniejszy!

— O?

— Żebyś wiedział. Byłem na wikcie w roku 2661, a jest on o wiele pożywniej szy niż teraz, toteż nie wytrzymasz ze mną ani minuty.

— To się zobaczy... — mruknąłem groźnie, wstając z krzesła. Nawet się nie ruszył.

— Znam „dżurdzudo” — zauważył flegmatycznie.

— Co to jest?

— Rodzaj udoskonalonego dżudo z roku dwutysięcznego sześćset sześćdziesiątego pierwszego. Unieszkodliwię cię w jednej chwili.

Byłem wściekły, lecz długoletnie doświadczenia życiowe nauczyły mnie opanowywać nawet skrajną pasję. Toteż, rozmówiwszy się z nim, to jest z sobą, doszedłem do wniosku, że doprawdy nie mam innego wyjścia. Zresztą dziejowa misja, czekająca w przyszłości, odpowiadała zarówno moim poglądom, jak mej naturze. Oburzał mnie tylko zadany przymus, uznałem jednak, że porachować się trzeba nie z nim, narzędziem, lecz z jego mocodawcami.

Pokazał mi, jak kierować chronocyklem, dał parę praktycznych wskazówek, zająłem więc miejsce na siodełku i chciałem mu jeszcze powiedzieć, by posprzątał po sobie i wezwał stolarza dla naprawy półek bibliotecznych, ale i tego nie zdążyłem zrobić, bo nacisnął starter. On, światło lamp, cały pokój, wszystko szczezło jak zdmuchnięte. Maszyna pode mną, ten metalowy drąg z rozszerzającym się lejkowato wylotem, roztrzęsała się, chwilami skakała tak mocno, że ścisnąłem co sił rękojęści, by nie wypaść z siodła, niczego nie widziałem, a tylko miałem wrażenie, jakby mnie ktoś po twarzy i ciele tarł drucianymi szczotkami; gdy mi się wydało, że pęd w czasie wzrasta nad miarę, ciągnąłem za hamulec, a wtedy z czarnego kotłowiska wylaniały się niewyraźne kształty.

Były to jakieś olbrzymie budowle, raz baniaste, raz wysmukłe, przez które przelatywałem na wylot jak wiatr przez parkan. Każdy taki najazd zdawał się grozić zderzeniem z murami, więc przymykałem odruchowo oczy i znów zwiększałem szybkość, to jest tempo. Parę razy maszyną rzuciło tak, że głowa mi skakała, a zęby dzwoniły. W jakiejś chwili poczułem trudną do nazwania zmianę, zdawało mi się, że jestem w ośrodku gęstym jak syrop, kleistym i zastygającym; przemknęło mi, że przedzieram się przez jakąś przegrodę, która może w końcu stać się mi grobem i uwięziony w betonie zastygnę razem z chronocyklem jak dziwny owad w bursztynie. Lecz znów targnęło do przodu, chronocykl zadygotał, a ja upadłem na coś elastycznego, co poddało się i zakotłowało. Maszyna wypadła spode mnie, w oczy buchnął biały blask, musiałem je zamknąć, oślepiony.

Gdy je otwarłem, ogarnął mnie gwar głosów. Leżałem pośrodku wielkiej tarczy z pianoplastyku, pomalowanej w koncentryczne koła niczym cel na strzelnicy; przewrócony chronocykl spoczywał o krok, a wokół stało kilkudziesięciu ludzi w błyszczących

kombinezonach. Mały, łysawy blondyn wstał na materac tarczy, pomógł mi wstać i kilkakrotnie potrząsnął moją ręką ze słowami:

— Witam pana jak najserdeczniej! Rosenbeisser.

— Tichy — odpowiedziałem automatycznie. Rozejrzałem się. Staliśmy w hali wielkiej jak miasto, bez okien, nakrytej wysoko stropem o barwie nieba; jedna za drugą rozpościerały się rzędem takie same tarcze, jak ta, na której wylądowałem, niektóre puste, przy innych pracowano; nie skrywam, że miałem przygotowanych parę kąśliwych uwag pod adresem Rosenbeissera i innych twórców temporalne—go saka, którym wyciągnęli mnie z domu, lecz zmilczałem, bo przyszło nagle uświadomienie, do czego podobna jest ta ogromna hala. Wyglądało w niej niczym w gigantycznym studiu filmowym! Obok nas przeszli trzej ludzie w zbrojach; pierwszy z kitą pawią na szyszaku, w połączonym puklerzu, laboranci poprawiali mu ryngraf wysadzany klejnotami, lekarz robił zastrzyk w obnażone przedramię, ktoś inny pospinał szybko rzemienie blach, podano mu dwuręczny koncerz i szeroki płaszcz tkany w herby z gryfami; dwaj następni, w zwykłym żelazie, pewno giermkowie, sadowili się już na siodelkach chronocykla w centrum tarczy i rozległ się głos z megafonu: „Uwaga... dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście...”

— Co to? — spytałem zdezorientowany, bo jednocześnie kilkadziesiąt kroków dalej szła procesja chudzielców w ogromnych białych turbanach, im też robiono zastrzyki, a z jednym klócił się technik, odkryto bowiem, że podróżny miał ukryty pod burnusem mały pistolet; widziałem Indian pomalowanych w wojenne barwy, ze świeżo wyostrzonymi tomahawkami, którym laboranci gorączkowo poprawiali pióropusze, a na małym drewnianym wózku posługacz w białym fartuchu pchał ku innej tarczy koszmarnie brudnego, obdartego żebraka bez nóg, kubek w kubek podobnego do monstualnych kalek Breughla.

— Zero! — obwieścił megafon. Trójka pancernych znikła z chronocyklem w małym błysku, który rozpląnął się w powietrzu białawym dymem, przypominającym dymek magnezji spalonej: znałem już ten efekt.

— To nasi ankieterzy — wyjaśnił Rosenbeisser. — Badają opinię publiczną w różnych wiekach, to statystyczne materiały, wie pan, materiał informacyjny, nic więcej: nie podjęliśmy jeszcze żadnych kroków naprawczych, bo czekaliśmy z tym na pana!

Wskazał mi ręką drogę i pospieszył za mną: słyszałem głosy odliczania, to tu, to tam błyskało, rozwiewały się smugi białawego dymu, kolejne partie eksploatatorów znikaly, szli już tymczasem nowi, zupełnie jak w olbrzymim atelier podczas zdjęć superkiczu historycznego. Zorientowałem się, że nie wolno zabierać w przeszłość żadnych anachronicznych rzeczy, ankieterzy jednak starali się szmuglować czy to z przekory, czy dla wygody i pomyślałem, że trzeba będzie zaprowadzić ład żelazną miotłą, lecz spytałem tylko:

— A długoż trwa takie zbieranie danych? Kiedy wróci ten wojak z giermkami?

— Utrzymujemy się w planie — rzekł z zadowolonym uśmiechem Rosenbeisser. — Ci trzej wrócili już we zoraj.

Nic nie rzekłem, myśląc, że nie będzie mi łatwo przywyknąć do warunków życia w chronomocyjnej cywilizacji. Ponieważ elektromobil laboratoryjny, który miał nas przewieźć do budynku dyrekcji, popsuł się, Rosenbeisser kazał zsiąść z wielbłądów kilku ankieterom — Beduinom — i tym zaimprovizowanym sposobem dostaliśmy się na miejsce.

Gabinet mój był ogromny, urządony w stylu nowoczesnym, to jest przezroczytym: i to mało powiedziane, bo większości foteli nie można było dostrzec, a gdy siedziałem przy moim biurku, tylko zwały papierów wskazywały, gdzie znajduje się blat; ponieważ zaś, schylając głowę podczas pracy, wciąż widziałem własne nogi w prążkowanych spodniach i widok tych prążków utrudniał koncentrację, kazałem potem wszystkie meble pociągnąć farbą, aby się stały nieprzenikliwe dla wzroku. Okazało się wtedy, że mają wręcz idiotyczne kształty, ponieważ nie były zaprojektowane dla oglądania; w końcu zmieniono mi je na komplet antyków z drugiej połowy XXIII wieku i wtedy dopiero poczułem się swojsko. Mówiąc o

tych błahostkach nie tylko wyprzedzam fakty, ale kreślę zarazem niedociągnięcia Projektu. Co prawda, moje dyrektorskie życie byłoby rajem, gdyby ograniczało się do spraw meblowo—dekoracyjnych.

Encyklopedii by trzeba dla przedstawienia wszystkiego, co zdziałał Projekt pod moim kierownictwem. Toteż tylko w największym skrócie opiszę główne etapy prac. Co do struktury organizacyjnej, była dwoista. Miałem pod sobą PION—TEK (Pion Techniczno—Kalendarzowy) z działami temporystyki udarowo—kwantowej i dyspersyjnej oraz pion historyczny, podzielony na resorty Ludzki i Nieludzki. Szefem technologów był dr R. Bosković, dziejoczyńcami zaś zawiadywał prof. P. Latton. Ponadto stały do mej osobistej dyspozycji oddziały histomandosów i czasochroniarzy (chrono—szutystów) z brygadą awaryjnego zdejmowania z tronów i aparatem nadzoru. To pogotowie alarmowe, rodzaj straży pożarnej dla nieprzewidzianych a groźnych okazji, nosiło skrótowe miano MOIRY (Mobilna Inspekcja Ratunkowa). Kiedy przybyłem, technologowie—czasownicy byli gotowi do rozpoczęcia operacji telechronicznych na wielką skalę, podczas gdy w resorcie do spraw Ludzkich (kierownikiem był doc. Harry S. Totteles) fachowcy opracowywali setki HAREMÓW (Harmonogramów Edukacji Melioracyjnej). Równolegle resort do spraw Nieludzkich (inż. ciał O. Goodlay) projektował warianty naprawienia systemu słonecznego, to jest planet z Ziemią na czele, przebiegu Ewolucji Życia, antropogenezy itp. Wszystkich wymienionych tu moich podwładnych musiałem się po kolei pozbyć; z każdym z nich łączą się w mej pamięci inne kryzysy w łonie Projektu; wspomnę o nich we właściwym czasie, aby ludzkość wiedziała, komu zawdzięcza swe tarapaty.

Zrazu byłem pełen najlepszych nadziei. Przeszedłszy skrócony kurs wprowadzający w elementy telechronii i chronomutacji, opanowawszy też zagadnienia organizacyjne (kompetencji resortowej, podziału prac itd.), przy czym już wówczas przyszło do sporu z głównym księgowym (Eug. Clydesem), na dobre zorientowałem się, jak tytaniczne mam zadanie. Nauka XXVII wieku dostarczyła mi wielu rozmaitych technologii działania w czasie, a jakby tego było jeszcze mało, decyzji mej oczekiwały setki rozmaitych planów historycznej naprawy. Za każdym stała wiedza i autorytet znakomitych fachowców i ja miałem wybierać w tym embarras de richesse! Nie było bowiem jeszcze zgody ani co do tego, jaką metodą polepszać przeszłość, ani od jakiego czasu to robić, ani nawet, jak wiele interwencji podejmiemy.

W pierwszej, nacechowanej optymizmem fazie robót, zamierzaliśmy historii ludzkości jeszcze nie tykać, lecz wy—porządzić to, co ją eonami poprzedziło; nasz monumentalnie zakrojony program przewidywał — wyliczam przykładowo — dewulkanizację planet, naprostowanie osi Ziemi, przygotowanie na Marsie i Wenerze korzystnych warunków pod ich przyszłą kolonizację, przy czym Księżyc służyć miał za rodzaj pomostu czy stacji przejściowej dla emigracyjnej kosmonautyki, która by powstała za trzy do czterech miliardów lat. Z imieniem Lepszej Przeszłości na ustach nakazałem uruchomienie Generatorów Zespołu Izochronicznego (GENEZIS). Na stanowiskach znajdowały się trzy ich typy — BREKEKEK, KOAKS i KWAK. Już nie pamiętam dokładnie, co oznaczały te skróty; KOAKS pracował koaksjalnie, ostatni zaś określał Kwantowaną Korekcję.

Wyniki rozruchu przeszły najgorsze oczekiwania; awaria szła za awarią. Zamiast wyhamować łagodnie i zsynchronizować się z normalnym upływem czasu, KWAK wyzarzył Marsa eksplozją i obrócił go w jedną pustynię; wszystkie oceany wyparowały i ulotniły się w przestwór, a spieczona skorupa planety popękała, tworząc sieć niesamowitych, szerokich na setki mil rowów. Stąd poszła w XIX wieku hipoteza kanałów marsjańskich. Ponieważ nie życzyłem sobie, aby wcześniejsza ludzkość doszła naszej akcji, bo mogło to w niej zrodzić szkodliwe kompleksy, kazałem wszystkie kanały dokładnie zacementować, co też inż. Lavache zrobił koło 1910 roku; późniejszych astronomów nie zdziwiło ich zniknięcie, bo złożyli rzecz na karb złudzenia optycznego poprzedników. KOAKS, który miał użyźnić

Wenerę, był już zabezpieczony przed awarią KWAKA dzięki AMORKOWI (Amortyzator Energii Kinechronicz—nej), lecz zawiodły DUPKI (Dyssypatory Układowe Powolnej Kompensacji) i całą Wenus otoczyła trująca atmosfera powstała skutkiem chronoklazmu. Inżyniera Waden—leckera, odpowiedzialnego za te operacje, zdjąłem ze stanowiska, lecz po wstawiennictwie Rady Naukowej zezwoliłem mu na przeprowadzenie ostatniego członu doświadczeń. Tym razem nastąpiła już nie awaria, lecz katastrofa w skali kosmicznej. Rozpędzony ruchem pod włos trwania BREKEKEK werznął się w terażniejszość sprzed 6,5 miliarda lat, tak blisko Słońca, że wyrwał zeń olbrzymi płat materii gwiazdnej, który, skręciwszy się pod wpływem ciężenia, dał początek wszystkim planetom.

Wadeniecker usiłował się bronić, twierdząc, że dzięki niemu powstał system słoneczny, bo gdyby nie awaria głowicy choralnej, szansa powstania planet byłaby praktycznie równa zeru. Późniejsi astronomowie dziwowali się, jaka gwiazda mogła przejść tak blisko Słońca, żeby wyrwać zeń protoplanetarną materię, bo istotnie, tak bliskie pasaże gwiazd należą do zjawisk prawie niemożliwych; zdjąłem zuchwalca ostatecznie z kierownictwa technochronicznego, ponieważ nie w tym upatrywałem sens i cele Projektu, żeby takie rzeczy miało się robić niechcący, dzięki niedbalstwu i niedopatrzonom. Gdyby już na to przyszło, moglibyśmy byli ukształtować planety znacznie porządniej. Zresztą doprawdy nie miał się czym chwalić pion techniczny — po zrujnowaniu Wenery i Marsa.

Pozostał na porządku dnia plan wyprostowania osi obrotów Ziemi; szło o to, żeby klimat jej uczynić bardziej równomiernym, bez biegunowych mrozów i spiekoty równikowej. Cel operacji był humanitarny: więcej gatunków miało przetrwać w walce o byt. Skutek okazał się odwrotny do zamierzonego. Największą epokę lodowcową Ziemi, okresu kambryjskiego, spowodował inżynier Hansjacob Plötzlich odpaleniem ciężkiej jednostki „prostowniczej”, która dała osi ziemskiej tak zwanego dubla. Pierwszy glacjał, zamiast przestrzec pochopnego czasownika, stał się pośrednio przyczyną drugiego, widząc bowiem, co narobił, inż. Plötzlich, odpalił bez mej wiedzy następny ładunek „korekcyjny”. Doszło do chronoklazmu i nowej epoki lodowcowej, tym razem w plejstocenie.

Zanim zdjąłem go ze stanowiska, ten niepoprawny człowiek zdażył wywołać trzecią chronokolizję; odtąd, przez niego, biegun magnetyczny Ziemi nie pokrywa się z osią obrotu, bo planeta nie przestaje się jeszcze chwiać. Jeden odprysk czasowy „Korektora” wleciał w rok milionowy przed naszą erą — na miejscu tym znajduje się dziś Wielki Krater Arizony; nikt nie poniósł na szczęście śmierci, boć jeszcze ludzi wtedy nie było; spłonęła tylko puszcza. Drugi odłamek wyhamowało dopiero przy roku 1908 — tamtejsi znają go jako „upadek meteorytu tunguskiego”. Nie były to więc żadne meteoryty, lecz rozlatujące się w czasie kawały niezdarne sporządzonego „Optymalizatora”. Wyrzuciłem Plötzlicha nie oglądając się na nikogo, a gdy przychwycono go nocą w chronoratorium — miał wyrzuty sumienia, uważacie, i chciał „poprawić” to, co narobił — zażądałem dlań jako kary relegowania w czasie.

Ustąpiłem w końcu, czego teraz żałuję, i za podszeptem Rosenbeissera obsadziłem wakat inżynierem Dyndallem. Nie miałem pojęcia, że to szwagier profesora. Skutki nepotyzmu, w którego praktykowanie zostałem bezwiednie wmanewrowany, nie dały na siebie czekać. Dyndali był wynalazcą HAMUŁY (Hamulcowy Układ Łagodzący), który udoskonalił inż. czasu Bummeland. Rozumowali tak: jeśli potworna energia gigachroniczna wyzwoli się nawet przy chronoklazmie, niechże przynajmniej, zamiast działać falą wybuchową (taką, co Marsa wyzarzyła), obróci się w czyste promieniowanie. Ta nie dopracowana (intencje się nie liczą!) idea przysporzyła mi dużego zmartwienia. HAMUŁA wprawdzie przetransformował energię kinetyczną na radiacyjną, ale cóż z tego, kiedy od promieniowania — w samym środku ery mezozoicznej — wyginęły co do nogi wszystkie jaszczury i Bóg wie ile innych jeszcze gatunków.

Bummeland usiłował bronić się twierdzeniem, że nie było w tym nic złego, ponieważ na

opustoszałą scenę ewolucyjnego procesu mogły dzięki niemu wejść ssaki, z których i człowiek się wywodzi. Jak gdyby to już było przesądzone! Zaurocydem pozbawili nas swobody antropogenetycznego manewru i jeszcze się tym chcieli chlubić! Dyndali okazał pozorną skruchę i nawet złożył samokrytykę, ale to nieprawda, jakoby ustąpił dobrowolnie ze stanowiska. Powiedziałem bowiem Rosenbeisserowi, że dopóki jego szwagier jest w Projekcie, noga moja nie postanie w dyrekcji.

Po tej serii fatalnej zebrałem całą załogę i wygłosiłem do niej przemówienie, ostrzegając, iż widzę się zmuszony stosować odtąd drakońskie środki wobec wykraczających przeciwko bezpieczeństwu przeszłości. Nie skończy się już tylko na utracie ciepłej posadki!

Mówiono, że awarie są zrozumiałe, wręcz nieuniknione przy rozruchu tak bezprecedentalnej technologii; ileż rakiet ongiś rozleciało się w zaraniu ery kosmonautycznej; lecz nasza działalność, jako odbywająca się w czasie, przedstawiała niebezpieczeństwo nieporównanie większe. Rada Naukowa zaleciła mi nowego czasoznacę; był nim profesor L. Nardeau de Yince. Jego i Boskovicia przestrzegłem przed następnym eksperymentem, że żadna siła nie skłoni mię już do okazywania pobłażliwości przy poważnych, nie—sumiennieścią zawinionych wypadkach.

Pokazałem im memoriały, jakie Wadeniecker, Bummeland i Dyndali wystosowali do Rady Naukowej poza mymi plecami, pełne sprzeczności, bo raz powoływali się na trudności obiektywne, a raz przemianowywali skutki swych błędów na zasługi. Powiedziałem im, że myślą się ci, co biorą mnie za analfabetę. Dość znajomości arytmetyki w zakresie czterech działań, by podrachować, ile materii Słońca zmarnowano już bezproduktywnie, bo wszak wszelkie planety uranowe, istotne usypiska odpadów, co tam, kloaki pełne amoniaku, są nie do użycia; na Marsie i Wenerze też postawiłem krzyżyk i dałem zielone światło ostatniej próbie naprawy systemu słonecznego. Program przewidywał przeróbkę Księżyca w oazę dla strudzonych kosmonautów przyszłości, a zarazem w stację przesiadkową na drodze do Ateny.

Nie wiecie, co to jest Atena? Nie dziwię się temu wcale. Planetę tę miała udoskonalić ekipa Gestimera, Starshita i Astroianniego. Projekt nie miał jeszcze takich niezgułów. TUMAN (Telechroniczny Układ Mimośrodowej Automatyki Nawodzenia) zawiódł, ZADEK (Zabezpieczenie De—kolizyjne) pękł, Atena zaś, krążąca dotąd na orbicie między Ziemią i Marsem, rozprysła się na dziewięćdziesiąt tysięcy kawałków i został po niej tak zwany Pas Asteroidów. Co do Księżyca, panowie optymalizatorzy zmasakrowali jego powierzchnię. Dziwne, że i on się cały nie rozleciał. Tak powstała słynna łamigłówka astronomów XIX — i XX—wiecznych, bo pojąć nie mogli, skąd się wzięło takie mnóstwo kraterów. Wymyślili na ten temat dwie teorie — wulkaniczną i meteorytową.

Śmieszne rzeczy. Autorem tak zwanych kraterów wulkanicznych jest inż. czasu Gestimer, odpowiedzialny za ZADEK, a sprawcą „meteorytowych” — Astroianni, który złożył się do Ateny trzy miliardy lat temu, puścił ją na rozkurz, a odrzut chronoklazmu kołatając się we wszystkie strony wyhamował do reszty ruch obrotowy Wenus, dorobił Marsowi dwa fałszywe satelity idące wariackim ruchem, odwrotnym, niż przewidziany, tak że doprawdy głupstwem już było przerobienie przez tego specjalistę powierzchni Księżyca w istny poligon artyleryjski, na który kawałki Ateny spadały w ciągu miliarda lat. Gdy dowiedziałem się, że jeden odprysk chronotraktora, rozsmarowanego eksplozją na 2 950 000 000 lat, dopadł czasów prehistorycznych, wleciał do oceanu i przedziurawił jego dno, zatapiając po drodze Atlantyde, osobiście wyrzuciłem sprawców kompleksowej katastrofy z Projektu, wobec odpowiedzialnych zaś za całość operacji zastosowałem sankcje zgodnie z moim uprzednim postanowieniem. Odwoływanie się do Rady nic im nie pomogło.

Profesora Nardeau de Vince zesłałem w wiek XVI, a Boskovicia w XVII, żeby nie mogli się zetknąć i intrygować. Jak wiecie, Leonardo da Vinci usiłował przez całe życie sporządzić sobie chronołaz, ale mu się nie udało; tak zwane helikoptery Leonarda i inne maszyny, tyleż dziwaczne, co niezrozumiałe dla jego współczesnych, były poronionymi płodami wysiłków

ucieczki z zesłania w czasie.

Bosković zachował się, jeśli można tak rzec, rozsądniej. Był to człowiek niesamowicie zdolny, o precyzyjnym umyśle, bo matematyk z wykształcenia; został w siedemnastym wieku znakomitym wprawdzie, lecz powszechnie zapoznanym myślicielem. Próbował popularyzować idee fizyki teoretycznej, ale nikt ze współczesnych me pojmował jednego słowa w jego traktatach. Żeby mu osłodzić wygnanie, skierowałem go do Raguzy (Dubrownik), bo prywatnie z nim sympatyzowałem, lecz widziałem się zmuszony karać surowo ludzi odpowiedzialnych, jakkolwiek Rada Naukowa miała mi to za złe.

Pierwsza faza Projektu zakończyła się tedy kompletnym fiaskiem, ponieważ założywszy bezwzględne weto, udaremniłem podjęcie jakichkolwiek dalszych prób serii GENE—ZIS. Dość było już zaprzepaszczonych inwestycji. Kolosalne nieużytki globów jowiszowych, na amen wypalony Mars, dubeltowo zatruta Wenus, zrujnowany Księżyc (tak zwane maskony, koncentracje masy pod jego powierzchnią to głęboko zaryte w grunt, zakrzepłe w lawie szczątki głowic TUMANA i ZADKA), skrzywiona oś ziemską, dziura w dnie oceanu, wywołane tym pęknięciem rozejście się lądów Eurazji i dwu Ameryk — stanowiły niewesoły raczej bilans podjętych dotąd operacji. Mimo to zakazawszy sobie popadania w niewiarę, otworzyłem pole twórczej optymalizacji ekipom pionu Historycznego.

Miał, przypominam, dwa resorty, do spraw Ludzkich (doc. Harry S. Totteles) i Nieludzkich (inż. ciał Goodlay);

na czele pionu znajdował się profesor P. Latton, który budził we mnie od początku pewną nieufność radykalizmem i bezkompromisowością swych poglądów. Dlatego wołałem wciąż jeszcze nie ruszać historii właściwej, bo wszak słusniejsze było sporządzenie takich rozumnych osobników, które by sobie samą ją należycie ucywilizowały. Powstrzymałem więc Lattona i Tottelesa (co nie przyszło łatwo, tak ich ręce świerzbiły do dziejoczyństwa) i zleciłem Goodlayowi rozruch Ewolucji Życia na Ziemi. By nie pomawiano mnie o krępowanie twórczości, obdarzyłem projekt HOPSA (Homo Perfectus Sapiens) znaczną autonomią. Zaapelowałem jedynie do kierowników (Z. Goodlay, H. Ohmer, H. Bosch, v. Eyck), by uczyli się na błędach Przyrody, która wykoślawiła wszystko żywe i sama sobie zatkała najkorzystniejsze drogi wiodące do Rozumu, za co zresztą nie można jej winić, boć działała na ślepo, z dnia na dzień. My natomiast musimy pracować docelowo, mając trwale w pamięci metę, czyli HOPSA; oświadczyli, że zastosują się do tych wytycznych, ręczyli za sukces i ruszyli do akcji.

Skoro dostali tę swoją autonomię, me wtrącałem się i nie kontrolowałem ich przez półtora miliarda lat, lecz masy anonimów, jakie otrzymywałem, skłoniły mnie do przeprowadzenia remanentu. Osiwieć można było od tego, co zastałem. Najpierw jak dzieci bawili się przez bodaj czterysta milionów lat puszczając rybki pancerne i jakieś trylobity;

widząc zaś, jak mało zostaje czasu do końca miliardolatki, poszli na szturmówkę. Montowali elementy bez ładu i składu, jedne bardziej wydziwaczne od innych, wypuszczając raz jakieś mięsne góry na czworakach, raz same ogony, raz jakieś pyłki; jedne egzemplarze pobrukowali grubą kostką, innym wtykali rogi, kły, rury, trąby, macki, gdzie popadło; a brzydkie to było, odrażające, bez sensu, aż strach patrzeć: czysty abstrakcjonizm i formalizm spod znaku antyestetyczności.

Do wściekłości doprowadziło mnie ich samozadowolenie; mówili, że teraz nie czasy ulizanej kreacji, że się na tym nie znam, że „nie czuję formy” itd. Zmilczałem jeszcze: gdybyż się do tego ograniczyli! Gdzie tam. W tym dobranym zespole wszyscy podgryzali wszystkich. Nikt nie myślał nawet o Rozumnym Człowieku, lecz o tym, by utracić projekty kolegów, ledwo więc szedł w Przyrodę nowy okaz, już szykowano monstrum tak wyporządzone, żeby zatłukło produkt rywala, dowodząc jego lichoty. To, co nazwano „walką o byt”, wynikało z zawiści i intryganctwa. Kły i pazury Ewolucji są tylko skutkiem stosunków panujących w resorcie. Zamiast współpracy ujrzałem masowe marnotrawstwo i podstawianie nogi

gatunkom kolegów; a już największą satysfakcję miał każdy, gdy mu się udało zagwoździć dalszy rozwój na jakiejś linii, należącej do gestii kooperantów; stąd tyle ślepych uliczek w państwie życia. Co mówię, życia; urządzili coś pośredniego między panoptikum a cmentarzem. Nie kończąc jednej inwestycji, rzucali się w następną; po kolei roztrwonili szansę dwudysznych i członkonogich. bo wykończyli je tchawkami; gdyby nie ja, w ogóle nie doszłoby do wieku pary i elektryczności, bo „zapomnieli” o kartonie, tj. o rozsadzaniu tych drzew, z których miał powstać węgiel dla przyszłych maszyn parowych.

Podczas lustracji tylko ręce łamałem; cała planeta była zavalona truchłami i wrakami, specjalnie zaś dokazywał Bosch — gdy go pytałem, po co ten Rhamphomychus z ogonem ściągniętym z dziecinnego latawca, czy mu nie wstyd za Proboscidae, po co jaszczurkom na plecach kolce jak sztachety, mówił, że nie rozumiem twórczej pasji. Zażądałem ukazania, gdzie się wobec tego stanu rzeczy ma wylęgnąć rozum; było to pytanie retoryczne, bo nawzajem pozagwaźdzali sobie wszystkie obiecujące kierunki. Nie narzucałem im gotowych rozwiązań, lecz wspomniałem uprzednio o ptakach, o orłach, tymczasem temu, co latało, zmikrominiaturyzowali już głowy, a to, co jak struś biegło, doprowadzili do kompletnego zidiocenia. Nie zostało nic prócz alternatywy: albo wyrób Człowieka Rozumnego z marginalnych odpadów, albo tak zwana ewolucja z przepychem, tj. z przebijaniem siłą zaczipowanych linii rozwoju. Lecz przepych był niedopuszczalny, bo takie wyraźne ingerencje zostałyby potem rozpoznane przez paleontologów jako cudowne; tymczasem dawno już zabroniłem wszelkiego cudotwórstwa, by nie wprowadzać w błąd przyszłych pokoleń.

Wszystkich wyuzdanych projektantów rozesłałem na cztery wiatry, to jest czasy; potem doszło do hekatombi ich poronionych płodów, bo — nie dopracowane — powyzydychały milionami. To, co mówiono, jakobym kazał wytłuc te gatunki, należy do repertuaru oszczerstw, jakich mi nie skąpiono. To nie ja przesuwalem życie z kąta w kąt procesu ewolucyjnego jak szafę, nie ja zdublowałem trąbę amebododoni, nie ja rozdmuchałem wielbłąda (*Gigantocamelus*) do rozmiarów słonia, nie ja bawiłem się w wieloryby, nie ja doprowadziłem mamuty do samozagłady, bo żyłem ideą Projektu, a nie rozpustnej zabawy, w jaką zespół Goodlaya obrócił sobie Ewolucję. Eycka i Boscha zesłałem w średniowiecze, Ohmera zaś, za to, że parodiował temat HOPSA (sporządził m. innymi człekonia i kobietę—rybę, a jeszcze wyposażoną w wysoki s o p r a n), aż w starożytność, do Tracji. I znowu zaszło to, z czym się i później jeszcze nieraz spotykałem. Wygnańcy, zdjęci ze stanowisk, nie mogąc tworzyć realnie, rozładowywali frustrację w tworzeniu zastępczym, namiastkowym. Kto ciekaw, co jeszcze miał w zanadru Bosch, może się o tym dowiedzieć oglądając jego obrazy. Oczywiście był to wielki talent. Widać to choćby po tym, jak umiał się dostosować do ducha epoki, stąd pretekstowa tematyka religijna jego płócien, te wszystkie sądy ostateczne i piekła. Zresztą Bosch nie powstrzymał się od niedyskrecji. W „Ogrodzie uciech ziemskich”, w „piekle muzycznym” (prawe skrzydło tryptyku) stoi w samym środku dwunastoosobowy chronobus. I co miałem z tym robić?

Co się tyczy H, Ohmera, postąpiłem chyba słusznie, zesyłając go w ślad za jego kreaturami do Grecji starożytnej. To, co malował, zaginęło, zachowały się jednak pisma. Nie wiem, czemu nikt nie poznał się na ich anachroniczności. Czyż nie widać, że nie brał poważnie mieszkańców Olimpu, którzy nawzajem się podgryzają, jednym słowem zachowują się dokładnie tak jak jego koledzy w instytucie? Iliada z Odyseją to opowieści z kluczem; co do choleryka — Zeusa. Jest to paszkwil na mnie.

Goodlaya nie usunąłem od razu, bo się za nim Rosenbeisser wstawił: jeśli ten człowiek zawiedzie, rzekł mi, mogę jego, dyrektora naukowego Projektu, zesłać choćby i w archeozoik. Goodlay miał ponoć ukryte rezerwy produkcyjne, a że sprzeciwiałem się koncepcji wykorzystania małych resztek, przystąpił do DRABA (Doskonalenie Racjonalne Antropogenezą Binarną). Nie wierzyłem w jego DRABA, lecz nie oponowałem, bo mówiono

już, że utracam wszystkie projekty. Następna lotna kontrola wykazała, że wmusił parę małych ssaków do morza, upodobił je do ryb, dorobił im radar czołowy i był właśnie na etapie delfina. Ubrdał sobie, że dla nastania harmonii potrzebne są dwa rozumne gatunki: lądowy i wodny. Co za idiotyzm! Toż musiałyby dojść do konfliktów! Powiedziałem mu: „Zadnej rozumnej istoty podwodnej nie będzie!” Delfin został więc już, jaki był, z tym swoim mózgiem na wyrost, i popadliśmy w kryzys.

Cóż było robić, zaczynać ewolucję jeszcze raz od samego początku? Nie miałem na to nerwów. Powiedziałem Goodlayowi, żeby działał wedle własnego uznania, czyli zaaprobowałem małpę jako półprodukt, lecz zobowiązałem go do uestetycznienia modelu, by zaś nie mógł się wykręcać później sianem, posłałem mu wytyczne na piśmie, oficjalną drogą służbową, nie wchodząc co prawda we wszystkie szczegóły. Podkreśliłem jednak, w jak złym smaku są tyse pośladki i zaleciłem kulturalne podejście do spraw płci, sugerując coś z kwiatów, niezapominajek, pączków, i jeszcze na wyjezdnym — musiałem uczestniczyć w posiedzeniu Rady — osobiście prosiłem go, żeby nie paskudził po swojemu, lecz poszukał jakichś ładnych motywów. W pracowni jego panował dziki bałagan, sterczały tam jakieś tramy, tarcice, piły, w związku z miłością? Czyś pan zwariował powiedziałem, miłość na zasadzie piły tarczowej? Musiał mi dać słowo honoru, że porzuci tę piłę, gorliwie przytakiwał, śmiejąc się w kułak, bo już się dowiedział, że jego zwolnienie leży w mojej szufladzie, więc było mu wszystko jedno.

Postanowił zrobić mi na złość. Odgrażał się, opowiadając na prawo i lewo, że dyrektorowi (to znaczy mnie) oko zbieleje, jak wróci; jakoż w samej rzeczy zatrząsałem się;

mocny Boże, wezwałem go niezwłocznie, udawał służbistę: twierdził, że trzymał się wytycznych! Zamiast zlikwidować tę łysinę z tyłu, ogolił całą małpę, czyli zrobił na odwrót, no a co do miłości i płci, to już był z jego strony sabotaż. Sam wybór miejsca! Zresztą cóż się będę rozwodził nad tą dywersją. Jaki był jej efekt, każdy widzi. Natrudził się pan inżynier! Jakie te małpy były, takie były, ale przynajmniej jarosze. Przydał im mięsożerność.

Zwołałem nadzwyczajne zebranie Rady w sprawie benignizacji homo sapiens, na którym usłyszałem, że tego się już nie odrobi za jednym zamachem; trzeba by zwinąć ze dwadzieścia pięć, a to i trzydzieści milionów lat; przegłosowano mnie, nie skorzystałem z prawa weta, może i źle zrobiłem, ale już byłem na ostatnich nogach. Zresztą miałem sygnały z XVIII i XIX wieku; żeby sobie ułatwić życie, funkcjonariusze MOIRY, którym nie chciało się jeździć wciąż tam i z powrotem w czasie, pourządzali się w różnych starych zamkach, pałacach, po piwnicach, nie zachowując najmniejszych środków ostrożności, aż poszły gadki o duszach potępionych, o dzwonieniu łańcuchami (odgłos zapuszczanego chronocykla); o widmach (bo się nosili biało, jakby nie można było znaleźć lepszej barwy dla mundurów), namęcili ludziom w głowach, powystraszcili przenikaniem przez ściany i mury (odjazd w czasie zawsze tak wygląda, bo chronocykl stoi, a ziemia się dalej kręci), jednym słowem narozrabiali tak, aż się z tego narodził romantyzm. Po ukaraniu winnych wzięłem się do Goodlaya i Rosenbeissera.

Zesłałem ich obu. Wiedziałem, że tego mi Rada Naukowa nie zapomni. Zresztą jestem lojalny: Rosenbeisser, który wobec mnie zachował się potem w sposób skandaliczny, na zesłaniu postępował dosyć przyzwoicie (jako Julian Apostata). Zrobił niejedno, żeby poprawić w Bizancjum byt najuboższych. Jak z tego widać, zawiódł na swoim stanowisku, bo do niego nie dorósł. Cesarzować jest łatwiej, niż kierować naprawą całych dziejów.

Tak zamknęła się druga faza Projektu. Przekazałem prawa działania resortowi do spraw socjalnych, bo doskonalić mogliśmy już tylko cywilizowaną historię. Biorąc się do rzeczy, Totteles i Latton nie posiadali się z radości, że ich poprzednikom tak się noga powinęła, a jednocześnie z góry zastrzegali się, asekuranci, że teraz nie można już oczekiwać nazbyt wiele po TEOHIPHIPfi, przy takim homo sapiens!

Harry S. Totteles powierzył wykonanie pierwszego eksperymentalnego programu naprawy

chronalergistom. Byli to Khand el Abr, Canne de la Breux, Guirre Andaule i G.I.R. Andoll. Zespołem zawiadywał bezpośrednio inż. dziejoczyńca Hemdreisser. On i jego koledzy zaplanowali przyspieszenie kulturalizacji przez akcelerację urbanizacyjną. W dolnym Egipcie XII czy też XIII Dynastii, bo już nie pamiętam, nagromadzili zwały budulca przy pomocy czasowych nasłańców, zwanych u nas potocznie „temporalnymi wtyczkami”, podnieśli poziom budowlanych technik, ale przez niedostatek nadzoru plan uległ wypaczeniom. Krótko mówiąc, zamiast do masowego budownictwa mieszkaniowego, doszło w ramach kultu jednostek do budowania na diabła nikomu niepotrzebnych grobowców różnym faraonom. Zesłałem cały zespół na Krete; stąd się wziął pałac Minosa. Nie wiem, czy to prawda, co mówił mi Betterpart, że zesłańcy zwaśnili się, poszli hurmą na byłego szefa i zamknęli go w labiryncie. Nie wejrzałem w akta, więc, jak mówię, nie mam pewności, ale Hemdreisser nie wyglądała mi na Minotaura.

Postanowiłem skończyć z partyzantką i zażądałem przedłożenia projektów o kompleksowym charakterze. Należało się zdecydować, czy działamy jawnie, czy skrycie, to jest, czy ludzie różnych epok mogą w ogóle dojść tego, że im ktoś pomaga spoza historii. Totteles, raczej liberał, opowiadał się za kryptochronią, której i ja byłem zwolennikiem. Podług alternatywnej strategii trzeba było bowiem wziąć ludy Przeszłości pod jawny Protektorat, co musiało im dać poczucie ubezwłasnowolnienia. Powinniśmy więc byli działać zarazem pomocnie, ale i tajnie. Latton się temu sprzeciwiał, miał bowiem w głowie idealny plan państwa, do którego chciał dociągnąć wszystkie społeczności.

Przeważylem szalę na rzecz Tottelesa, który przedstawił mi jednego z młodszych, ponoć najlepszych swoich pracowników; ten jego asystent, mgr A. Donnai, był wynalazcą monoteizmu. Bóg, tłumaczył mi, nikomu jako czysta idea nie zaszkodzi, a nam, optymalizatorom, rozwiąże ręce, bo zgodnie z Projektem decyzje Boże są nieodgadnione: ludzie pojąc ich nie mogą, więc nie będą się niczego czepiali, a zarazem nie będą podejrzewali, że im się ktoś w historię wtrąca — telechronicznie. Brzmiała ta koncepcja niby nieźle, na wszelki wypadek jednak dałem młodemu magistrowi tylko mały próbny poligon, i to jeszcze w odległym zakątku świata, bo w Azji Mniejszej; w ten sposób dostał do dyspozycji plemię Judy. Jego pomocnikiem był inż. dziejoczyńca H. Yobb. Kontrola wykazała, że dopuścili się ciężkich wykroczeń. Już mniejsza, że Donnai polecił wykonać zrzut 60 000 ton pęcaku podczas jakiejś pustynnej wędrówki Żydów; „dyskretna pomoc”, jaką miał im świadczyć, sprowadzała się do tyłu ingerencji (otwierał i zamykał Morze Czerwone, na wrogów Judy wysyłał zdalnie sterowaną szarańczę), że podopiecznym się od tego w głowach przewróciło; uznali się za naród wybrany.

Było rzeczą typową, że gdy jakiś plan zawodził w realizacji, jego autor, zamiast zmienić taktykę, stosował coraz potężniejsze bodźce materialne. A. Donnai przeszedł wszystkich, bo zastosował napalm. Czemu na to zezwoliłem? Też mi pytanie! Po prostu o niczym nie wiedziałem. Na poligonie Instytutu demonstrował tylko zdalne podpalanie krzaka i zapewniał, że podobnie będzie działał w przeszłości, ot, spali się trochę suchych kaktusów na pustyni; pokazy te miały wspomóc uwewnętrznienie norm moralnych. Po zesłaniu go na Półwysep Synajski najsurowiej zabroniłem wszystkim kierownikom zespołów udzielania koncesji na akcje z nadprzyrodzoną przykrywką. Inna rzecz, że to, czego Donnai i Yobb zdążyli dokonać, miało historyczne przedłużenia.

Ale tak jest zawsze. Każda ingerencja telechroniczna zapoczątkowuje lawinę zjawisk, której nie stłumi się bez użycia odpowiednich środków; wywołują one inną z kolei perturbację, i tak bez końca. A. Donnai zachowywał się na zesłaniu nader niewłaściwie, wykorzystał bowiem famę, jakiej poprzednio dorobił się na stanowisku dziejoczyńcy. Nie mógł już wprawdzie robić „cudów”, lecz przetrwała o nich pamięć. Co do H. Yobba, wiem, że mówiono, jakoby nasyłał nań histomandosów, lecz jest to oszczerstwo. Nie znam szczegółów sprawy, boż nie mogłem się zajmować takimi detalami; podobno poróżnił się z A.

Donnaiem i ten tak mu dopiekał, aż poszła stąd legenda Hioba. Najgorzej wyszli na tym eksperymencie Żydzi, bo uwierzyli w swą wyjątkową pozycję, więc kiedy się zwinęło Projekt, zakosztowali niejednej goryczy tak w ojczyźnie, jak podczas diaspory. Już nie będę mówił, co na ten temat o mnie opowiadali moi przeciwnicy w Projekcie.

Zresztą wchodził on w fazę najcięższych przesileń. Ponoszę za nie o tyle winę, że ustąpiwszy Tottelesowi i Lattonowi pozwoliłem ulepszać historię na szerokim froncie, to jest nie w izolowanych miejscach i momentach, lecz na całej długości temporalnej dziejów. Strategia owej melioracji, zwanej integralną, doprowadziła do zamącenia obrazu działań; by temu zapobiec, poumieszczałem w każdym stuleciu grupy obserwatorów, Lattonowi zaś dałem pełnomocnictwa do zorganizowania tajnej chronicji, która miała zwalczać chuligaństwo w czasie.

Chuligaństwo to, którego bym i w koszmarnym śnie sobie nie wystawił, łączy się z tak zwaną aferą mioteł. Dopuściły się jej grupy rozwydrzonych wyrostków, po części rekrutujących się z naszego personelu pomocniczego, laborantów, sekretarek itp. Bezlik średniowiecznych bająn o konszachtach z diabłami, o inkubach i sukkubach, o sabatach, procesy czarownic, kuszenia świętych itp., wzięły się z „dzikiej” chronomocji, uprawianej przez młodzież wyzbytą pionu moralnego. Chronocykl indywidualny stanowi rurę z siodełkiem i lejem wylotowym, toteż, zwłaszcza przy niedostatecznym oświeceniu, można go wziąć za miotłę. Różne bezwstydnice wypuszczały się na przejażdżki, najchętniej nocą, by straszyć wieśniaków wczesnego średniowiecza. Mało, że jeździły im lotem koszącym nad głowami, śmiały wyruszać w XIII czy XII wiek w drastycznym dezabilu (topless), cóż więc dziwnego, że brano je w braku lepszych określeń za gołe wiedźmy, pędzące okraciem na miotłach. Dziwnym zbiegiem okoliczności w śledztwie i wykryciu winnych dopomógł mi H. Bosch, przebywający już na zesłaniu, nie tracił bowiem przytomności na widok byle czasownika, i jak żywych sportretował w swym cyklu „piekielnym”, nie żadnych diabłów, lecz dziesiątki nielegalnych chronocyklistów z towarzyszami, co przyszło mu tym łatwiej, że wielu znał osobiście.

Zważywszy, ile ofiar pociągnęły za sobą wybryki chronoligańskie, zesłałem winnych siedemset lat wstecz („Kontestatorzy XX-wieczni”). Tymczasem, ponieważ front robót rozszerzył się na z górą czterdzieści wieków, N. Betterpart, naczelny szef MOIRY, oświadczył mi, że nie panuje nad sytuacją i domaga się specjalnych posiłków w postaci awaryjnych brygad czasochroniarzy. Jęliśmy angażować mnóstwo nowych pracowników, których wysyłało od razu tam, skąd szły sygnały alarmowe, chociaż często byli to funkcjonariusze nie doszkoleni. Ich koncentracje w kilku wiekach doprowadziły do poważnych incydentów w rodzaju wędrówek ludów; a chociaż usiłowaliśmy maskować pojawienie się każdego takiego desantu, w XX wieku (wokół jego połowy) rozpowszechniły się pogłoski o „talerzach latających”, ponieważ cyrkulacji wieści sprzyjała już rozwinięta tam technika masowych środków przekazu.

Było to jednak niczym w porównaniu z nową aferą, której sprawcą, a potem główną postacią okazał się sam szef MOIRY. Otrzymywałem meldunki z czasu, że ludzie jego nie tyle obserwują postępy melioracji, ile aktywnie włączają się w historyczny proces, i to nie po myśli wskazań Lattona i Tottelesa, lecz w oparciu o własną politykę temporalną, jaką uprawiał w najlepsze Betterpart. Nim zdążyłem zdjąć go ze stanowiska, ulotnił się, to jest uciekł w XVIII wiek, bo mógł tam liczyć na swoich chronicjantów; ani się obejrzałem, a został cesarzem Francji. Ten obrzydły występek domagał się surowej kary; Latton radził mi rzucić brygadę odwodową na Wersal w 1807, lecz były to pomysły nie do przyjęcia, wszak taki najazd musiałby wywołać niesłychaną perturbację w całej historii późniejszej — ludzkość uświadomiłaby sobie odtąd, że znajduje się pod kuratelą. Roztropniejszy Totties opracował plany „naturalnego”, to jest kryptochronicznego ukarania Napoleona, zaczęło się montowanie koalicji antybonapartystycznej, wojenne pochody, cóż, kiedy szef MOIRY od

razu poczuł pismo nosem i, nie czekając, sam przeszedł do ataku; nie darmo był strategiem zawodowym, teorię miał w małym palcu, więc pobił po kolei wszystkich wrogów, których mu Totteles sprowadził na kark; wyglądało na to, że się go przytrzaśnie w Rosji, lecz i z tej wyprawy wykaraskał się jakoś, a tu pół Europy leżało już w ruinie i zgliszczach; dopiero odsunawszy moich panów dziejoczyńców na bok, sam dałem Napoleonowi radę pod Waterloo. Byłoż mi się zresztą czym chwalić!

Napoleon uciekł z Elby, bo nie mogłem dopilnować porządniejszego zesłania, tyle innych spraw nagliło; teraz już winni wykroczeń nie siedzieli biernie na swych stołkach, lecz uciekali pierwsi w głęboką przeszłość, szmuglując środki ułatwiające zdobycie famy czy aureoli niebываłych potęg (stąd się wzięli alchemicy, Cagliostro, Szymon Mag i dziesiątki innych). Dochodziły mnie informacje, jakich nie mogłem w ogóle sprawdzić, np. że Atlantydy wcale nie zatopił rykoszet operacji GENEZIS, lecz dr Boloney, z premedytacją, bym nie mógł dojść tego, co tam narozrabiał. Jednym słowem, wszystko mi się waliło. Straciłem wiarę w sukces, a co najgorsze, stałem się podejrzliwy. Nie wiedziałem już, co jest skutkiem optymalizacji, co wynikiem jej zaniechania, a co malwersacją i samowolą sekularnych chronicjantów.

Postanowiłem zabrać się do rzeczy od drugiego końca. Wziąłem Wielką Historię Powszechną w dwunastu tomach i jąłem ją studiować, a gdzie tylko coś mi wyglądało podejrzanie, wysyłałem lotną kontrolę. Było tak np. z kardynałem Richelieu; sprawdziwszy w MOIRZE i upewniwszy się, że nie był to nasz agent, kazałem Lattonowi posłać tam inteligentnego kontrolera. Powierzył tę misję niejakiemu Reichplatzowi; coś mnie tknęło, żeby zajrzeć do słownika; zdrętwiałem, przekonawszy się, że Richelieu i Reichplatz znaczy to samo — mianowicie „Bogate miejsce” — ale było już za późno, bo już się wtargnął w wyższe sfery dworskie i został szarą eminencją Ludwika XVI. Nie ruszyłem go, bo po wojnach napoleońskich wiedziałem już, czym pachną takie próby.

Nabrzmiewał tymczasem inny problem. W poszczególnych wiekach wprost roiło się od zesłańców; chronicja nie mogła ich upilnować — gdy siali plotki, zabobony, żeby mi robić na złość, albo wręcz usiłowali przekupić kontrolerów;

jąłem więc kierować wszystkich, którzy coś przeskrobali, w jedno miejsce i w jeden czas, mianowicie do starożytnej Grecji, efekt zaś był taki, że właśnie tam najprędzej rozwinęła się wysoka kultura; w takich Atenach okazało się więcej filozofów niż w całej reszcie Europy. Było to już po zesłaniu Lattona i Tottelesa; obaj nadużyli mego zaufania;

Latton, jeden z najbardziej twardegłowych radykałów, sabotując moje polecenia, uprawiał własną politykę (wykład jej można znaleźć w jego Republice), skrajnie antydemokratyczną, co tam, opartą na ucisku, ot, Państwa Środka, kastowa struktura Indii, Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, a nawet to, że od 1868 roku Japończycy wierzą w boskość Mikada, jest jego sprawką. Co do tego, czy wyswatał niejaka Schicklgruber, aby urodziło się wiadome dziecko, które pół Europy puściło z dymem, nie mam zupełnej pewności, bo mi to Totteles mówił, a darli z Lattonem koty.

Latton był projektantem państwa Azteków, Totteles zaś nasał mu tam Hiszpanów; w ostatniej chwili otrzymawszy raporty MOIRY, kazałem opóźnić wyprawę Kolumba, a w Południowej Ameryce podchodzić konie, bo jazda Corteza nie wytrzymałaby konnicy Indian, lecz nawalili kooperanci, konie powyzdychały jeszcze w czwartorzędzie, kiedy żadnych Indian nie było, więc nie miał kto ciągnąć wozów bojowych, jakkolwiek koło dostarczono w porę; co do Kolumba, udało mu się w 1492, bo posmarował kogo należało. Tak wyglądała ta optymalizacja. Zarzucano mi nawet to, że jakby mały jeszcze był natłok filozofów w Grecji, skierowałem tam H. S. Tottelesa i P. Lattona. Kłamstwo! Właśnie, by okazać ludzkość, pozwoliłem im wybrać czas i miejsce zesłania; co prawda osadziłem P. Lattona nie całkiem tam, gdzie się pchał, lecz w Syrakuzach, wiedziałem bowiem, że w mieście tym, na skutek toczących się wojen, nie będzie mógł wcielić w życie swojej ukochanej idejki „Państwa Filozofów”.

Harry S. Totteles został, jak wiadomo, preceptorem młodego Aleksandra Macedońskiego. Winien był niedopatrzeń o koszmarnych skutkach, bo zawsze miał tego swojego feblika do układania wielkich encyklopedii i bawił się w klasyfikowanie oraz ogólną metodologię Teorii Doskonałego Projektu, podczas gdy za jego plecami działy się dzikie rzeczy: główny księgowy uciekł przed kontrolą, zmówiwszy się ze znajomym płetwonurkiem, wyłowili złoto Montezumy z tego kanału, w którym zatoneło podczas ucieczki ludzi Corteza, i zaczęli w 1922 roku grać na giełdzie; kradzione nie tuczy i doprowadzili do słynnego krachu w r. 1929. Nie uważam, żebym skrzywdził Arystotelesa, bo mnie zawdzięcza sławę, która za niedociągnięcia w Projekcie na pewno mu się nie należała. Toteż z kolei mówiono, że pod pozorem zsyłek i rotacji zaprowadziłem nepotyczną karuzelę i mam dla starych kumpli luksusowe synekury po wszystkich wiekach. Lecz tak już wieszano na mnie psy, że cokolwiek bym zrobił, miano mi za złe.

Nie mogę wdawać się w szczegóły, nie będę się więc rozwodził nad aluzjami do mojej osoby, zawartymi w pismach Platona i Arystotelesa. Oczywiście nie odczuwali wdzięczności za zesłanie, ale nie dbałem o niczyje resentymenty, skoro ważyły się losy ludzkości. Inna sprawa z Grecją, której upadek ciężko przeżyłem. To nieprawda, że spowodowałem go masówkami filozofów; Latton opiekował się nią, przez wzgląd na Spartę, bo chciał ją wykierować na modłę swej ukochanej utopii, więc po jego zdjęciu nikt już nie wspierał Spartan i ulegli perskiej nawale; cóż jednak mogłem na to poradzić? Protekcyjizm lokalny był nie do przyjęcia, toż mieliśmy roztoczyć opiekę nad całą ludzkością, a tu już zagadnienie zesłań nadwierało największe plany; w przyszłość nikogo wygnać nie mogłem, boż się tam pilnowali, a ponieważ kto żyw ze skazanych prosił się na Lazurowe Wybrzeże, uległem, moc osób posiadających wyższe wykształcenie skoncentrowała się wokół Morza Śródziemnego, i ot, skąd się wziął właśnie tam wschód cywilizacji, a potem i kultury Zachodu.

Co do Spinozy, był to, przyznaję, bardzo porządny człowiek, ale dopuścił do krucjat, to znaczy, nie sam je spowodował; Spinozą obsadziłem wakant po Lattonie, sam miał kryształowy charakter, lecz dystrakt, jakich mało, podpisywał, nie patrząc, co mu podsunęto, dał nieograniczoną plenipotecję Lówenherzowi (Lwie Serce), ktoś tam w XIII wieku coś zmajstrował, i jak się zaczęło szukanie winnego, Lówenherz rzucał tam chronobus za chronobusem tajniaków, więc poszukiwany, nie pamiętam, kto to był, doprowadził do krucjat, by schować się w powstałym zamęcie. Nie wiedziałem, co robić ze Spinozą, Grecja już trzeszczała od podobnych mu myślicieli, najpierw kazałem go puścić tam i z powrotem przez wszystkie stulecia, żeby się huśtał z czterdziestowiekową amplitudą, stąd poszła legenda o Żydzie Wiecznym Tułaczem, za każdym jednak pasażem przez naszą teraźniejszość uskarżał się na fatygę, więc w końcu skierowałem go do Amsterdamu, bo lubił majsterkować, a tam mógł sobie szlifować diamenty.

Rozpytywano mnie nieraz, czemu żaden z zesłańców nie przyznaje się do tego, skąd przybywa. Ładnie by na tym wyszedł. Toż każdy, kto by prawdę mówił, zaraz powędrowałby do czubków. Czy nie wzięto by przed XX wiekiem za wariata człowieka rozpowiadającego, że ze zwykłej wody można zrobić bombę, zdolną rozerwać cały glob na kawałki? A przecież przed XXIII wiekiem nie znano chronomocji. Ponadto takie wyznania obnażyłyby plagiatowość prac wielu zesłańców. Mieli zakaz przepowiadania przyszłości, lecz i tak niejedno wypaprali. W średniowieczu nie zwracano na to na szczęście uwagi (myślę o wzmiankach na temat odrzutowców i batyskałów u Bacona i o komputerach w ARS MAGNA Lulla), gorzej było z nieopatrznie zesłanymi w XX wiek; nazwawszy się „futurologami”, jęli zdradzać tajemnice służbowe.

Na szczęście A. Tylla, nowy szef MOIRY po Napoleonie, zastosował tak zwaną taktykę systemu Babel. Z nią była taka sprawa. Szesnastu inżynierów czasu, zesłanych karnie do Azji Mniejszej, postanowiło zbudować chronociąg dla ucieczki, pod pozorem wznoszenia jakiejś baszty czy wieży, nazwa jej oznaczała kryptonimowe hasło spisku (Budujemy Agregat

Bezprzewodowej Emisji Ludzi); MOIRA, wypatrzywszy ich prace w dość zaawansowanym stadium, skierowała tam jako „nowych zesłańców” własnych specjalistów, którzy rozmyślnie wprowadzili w konstrukcyjny plan takie błędy, że urządzenie rozleciało się przy pierwszej próbie rozruchu. Tylla powtórzył ten manewr „pomieszania języków”, rzucając grupy dywersyjne w XX wiek; zdyskredytowały one kandydatów na przepowiada—czy przyszłości, produkując rozmaite bajędy — tak zwaną science fiction — i wprowadziwszy w szereg futurologów naszego tajniaka, niejakiego McLuhana.

Co prawda, kiedy przeczytałem banialuki spreparowane przez MOIRE, które McLuhan miał rozpowszechnić jako „prognozy”, za głowę się złapałem, bo nie wydawało mi się możliwe, żeby ktokolwiek z mózgiem na właściwym miejscu mógł choć przez sekundę wziąć serio androny o „globalnej wsi”, ku jakiej świat niby zmierza, i dalsze nonsensy tkwiące w owym pasztecie. Tymczasem okazało się, że McLuhan zrobił znacznie większą furorę niż wszyscy faceci zdradzający szczerą prawdę; pozyskał taką sławę, że w końcu zaczął, jak się wydaje, sam wierzyć w absurdy, które kazaliśmy mu rozgłaszać. Nie ruszyliśmy go zresztą, boż to nam wcale nie szkodziło. Co do Swifta i jego Podróży Gulliwera, w których jak wół stoi wzmianka o dwóch małych księżycach Marsa ze wszystkimi elementami ruchu, jakich nikt nie mógł znać w jego czasie, rzecz była skutkiem idiotycznego nieporozumienia. Dane orbitalne księżyców Marsa stanowiły wówczas hasło rozpoznawcze grupy naszych kontrolerów w Anglii południowej i jeden z nich, krótkowidz, wziął w szynku Swifta za nowego agenta, z którym miał się tam spotkać; nie zameldował o pomyłce, bo myślał, że Swift nie rozumiał nic z jego słów, tymczasem parę lat później (1726) w pierwszym wydaniu Podróży Gulliwera przeczytaliśmy dane dotyczące obu marsjańskich księżyców; rozpoznawcze hasło uległo niezwłocznej zmianie, lecz passus ten musiał już pozostać w druku.

Tego rodzaju drobiazgi nie miały w końcu znaczenia; inna rzecz z Platonem; zawsze przejmuję mnie litość, gdy czytam jego opowieść o jaskini, w której siedzi się plecami do świata, widząc na ścianach ledwo jego cienie. Cóż dziwnego w tym, że miał XXVII wiek za jedyną autentyczną rzeczywistość, a prymitywny czas, w jakim go uwięziłem, wydawał mu się „mroczną jaskinią”? A jego doktryna o wiedzy, stanowiącej tylko „przypominanie sobie” tego, co kiedyś, „przed życiem”, wiedziało się znacznie l e —piej, jest aluzją jeszcze bardziej jaskrawą.

Tymczasem waliły się na mnie coraz cięższe kłopoty. Musiałem zesłać Tyllę, bo pomógł Napoleonowi uciec z Elby; wybrałem tym razem na miejsce zesłania Mongolię, bo okropnie wściekły odgrażał się, że go popamiętam; nie wyobrażałem sobie, co by też mógł narobić wśród tych pustkowi, a jednak dotrzymał słowa. Widząc, co się dzieje, projektanci prześcigali się w wymyślaniu coraz dziwniej—szych planów. Na przykład, żeby dostarczać potrzebującym ludom masy towarowej całymi chronociągami — lecz to wstrzymałoby wszelki postęp. To znów, by wziąć jaki milion światłych obywateli naszej współczesności i rzucić desantem w paleolit; wyborna myśl, lecz co miałem począć z ludzkością już siedzącą tam w jaskiniach?

Lektura tych planów wzbudziła we mnie podejrzenia przy lustracji XX wieku. Czy nie podtykano tam masowych środków zagłady? Podobno paru radykałów w Instytucie chciało skrócić czas w koło, żeby się nowożytność gdzieś po XXI wieku zrosła z prehistorią. W ten sposób wszystko miało ruszyć jeszcze raz od samego początku, a lepiej. Idea chorobliwa, fantastyczna, szalona, ale widziałem jakby oznaki przygotowań. Zrost wymagał uprzedniego wyburzenia cywilizacji istniejącej, „powrotu do Natury”, jakoż od połowy XX wieku narastało zdziczenie, porywanie, wysadzanie, młodzież z roku na rok kudłaciała, zezwierzęczeniu ulegała cała erotyka, pojawiały się hordy obrosłych łachmaniarzy, oddające rykami cześć nie Słońcu już, lecz jakimś gwiazdom czy gwiazdorom, rozlegały się nawoływania do destrukcji techniki, nauki, nawet zwani naukowcami futurologowie głosili —

z czyjego poduszczenia?! — nadchodzącą katastrofę, upadek, kres, tu i tam budowano już nawet jaskinie, nazywając je, chyba dla niepoznaki, schronami.

Postanowiłem więc skoncentrować się na następnych stuleciach, bo mi to pachniało robotą zawrotową, to jest zwracającą czas z powrotem, właśnie w myśl teorii koła, kiedy otrzymałem zaproszenie na nadzwyczajną sesję Rady Naukowej. Przyjaciele powiedzieli mi w sekrecie, że ma się tam odbyć sąd nade mną. Nie oderwało mnie to od pełnienia obowiązków. Ostatnią czynnością moją było rozstrzygnięcie sprawy niejakiego Adia, który, pracując jako funkcjonariusz nadzoru, przywiózł sobie z XII wieku dziewczę porwane w szczerym polu; dopadniętą, na oczach tłumu, w jasny dzień wciągnął na chronocykl; poczytano ją za świętą, a uwiedzenie w czasie — za wniebowzięcie. Dawno już powinienem był go wydalić, był to skończony brutal, o powierzchowności niezwykle odpychającej, podobny do goryla z tymi swoimi głęboko osadzonymi oczkami i ciężką szczęką, ale obawiałem się posądzenia o awersję osobistą. Teraz jednak zesłałem go, i to na wszelki wypadek bardzo daleko — o 65 000 lat wstecz; został jaskiniowym Casanovą i zrodził neandertalczyków.

Poszedłem na sesję z podniesionym czołem, bo nie poczuwałem się do żadnych win. Trwała ponad dziesięć godzin; nasłuchiwałem się co niemiara oskarżeń. Zarzucano mi samowolę, komenderowanie uczonymi, lekceważenie opinii ekspertów, faworyzowanie Grecji, upadek Rzymu, sprawę Cezara (i to było oszczerstwem: żadnego Brutusa nigdzie nie wysyłałem), aferę Reichplatza, to jest kardynała Richelieu, nadużycia w pionie MOIRY i tajnej chronicii, papieży i antypapieży (w istocie „mroki średniowiecza” spowodował Betterpart, który, zgodnie ze swoją ulubioną regułą „silnej ręki”, powtykał między VIII a XIII wiekiem tylu konfidentów, że doszło do zamordyzmu i upadku kultury).

Lektura aktu oskarżenia, sformułowanego w 7 000 paragrafów, była w gruncie rzeczy publicznym czytaniem podręcznika historii. Nasłuchiwałem się za A. Donnaia, za krzak ognisty. Sodomę i Gomorę, za wikingów, za koła bojowych wozów małoazjatyckich, za brak kół u wozów południowoamerykańskich, za krucjaty, rzeź albigensów, Bertholda Schwarza z jego prochem (a gdzie go miałem zesłać, w starożytność, żeby się już w niej kartaczowano?), i tak dalej — bez końca. Nic się teraz szanownej radzie nie podobało, ani Reformacja, ani Kontreformacja, a ci, którzy przedtem pchali się do mnie właśnie z tymi projektami, zapewniając o ich zbawiennym charakterze (Rosenbeisser niemal z klęczek błagał o zezwolenie na Reformację), siedzieli teraz jak na tureckim kazaniu.

W ostatnim słowie, gdy mi go udzielono, oświadczyłem, że w ogóle nie zamierzam się bronić. Przyszła historia nas rozsądzi. Pozwoliłem sobie, wyznaję, na jedną szyderczą uwagę pod koniec wystąpienia. Powiedziałem mianowicie, że jedyny postęp i dóbr o, jakie wykazują Dzieje po robotach Projektu, jest wyłącznie moją zasługą. Idzie bowiem o dodatnie skutki masowych zsyłek, jakie podejmowałem. Mnie zawdzięcza ludzkość Homera, Platona, Arystotelesa, Boskovicia, Leonarda da Vinci, Boscha, Spinozę i niezliczonych anonimów, co wsparli jej twórczy wysiłek w stuleciach. Jakkolwiek srogi bywał los wygnańców, zasłużyli nań, a zarazem odkupili dzięki mnie swe winy przed Historią, bo wspierali ją podług sił — ale dopiero p o zdjęciu z wysokich stanowisk w Projekcie! Gdyby natomiast ktoś chciał sprawdzić, co równolegle działo się fachowcy Projektu, niechże popatrzy na Marsa, Jowisza, Wenere, na zmasakrowany Księżyc, niech sobie obejrzy grób Atlantydy na dnie Atlantyku, niech podliczy ofiary obu wielkich epok lodowcowych, plag, epidemii, morów, wojen, religijnych fanatyzmów —jednym słowem, niechże się przypatrzy Historii Powszechnej, która po „naprawieniu” stała się jednym pobojuwiskiem planów melioracyjnych, chaosem i zakłóceniem. Historia jest ofiarą Instytutu, panującej w nim atmosfery rozrabiactwa, bałaganu, krótkowzroczności, improwizowania, ciągłych intryg, niekompetencji, i gdyby to ode mnie zależało, wysyłałbym wszystkich pp. dziejoczyńców tam, gdzie brontozaury zimują.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że moje słowa zostały przyjęte raczej kwaśno. Chociaż miało

to być ostatnie słowo, do głosu zapisało się jeszcze kilku godnych czasowników, ot, jak I. G. Noranz, M. Taguele i sam Rosenbeisser, obecny na sesji, bo już go zdążyli godni koledzy ściągnąć na powrót z Bizancjum; znając z góry wynik głosowania, co miało przesądzić o mym dyrektorstwie, zainscenizowali „śmierć na polu bitwy” Juliana Apostaty (363), bo tak mu zależało na obecności w tym widowisku. Nim się odezwał, poprosiłem o głos w kwestii formalnej, by spytać, od kiedy to jacyś bizantyńscy cesarze mają prawo uczestniczenia w obradach Instytutu, lecz nikt nie raczył mi nawet odpowiedzieć.

Rosenbeisser przygotował się specjalnie, musiał jeszcze w Konstantynopolu otrzymać materiały; tej znowy, szytej grubymi nićmi, nikt nie starał się nawet przede mną ukryć. Oskarżał mnie o dyletantyzm i udawanie znawcy muzyki, które przy mym dębowym słuchu spowodowało poważne wypaczenia rozwoju fizyki teoretycznej. Miało z tym być według słów pana profesora tak: przebadawszy zdalnym sondowaniem inteligencję wszystkich dzieci na przełomie XIX i XX wieku, nasz Hyperputer wykrył malców zdolnych w wieku młodzieńczym do sformułowania zasady równoważności materii i energii, kluczowej dla wyzwolenia mocy atomu. Byli to między innymi Pierre Solitaire, T. Adnokamenjak, Stanisław Razgłaz, John Onestone, Trofim Odincew–Bułyżnikow, Arystydes Monolapides i Giovanni Unopetra — oprócz małego Albertka Einsteina. Ośmieliłem się faworyzować tego ostatniego, bo mi się spodobała jego gra na skrzypcach; po latach doszło przez to do zrzucenia bomb w Japonii.

Rosenbeisser poprzekręcał fakty w sposób tak bezwstydny, że mi dech zaparło. Gra na skrzypcach nie miała tu nic do rzeczy. Oszczerca zwałił na mnie własną winę. Hyperputer, modelując prognostycznie dalszy bieg zajęć, przepowiedział bombę atomową we Włoszech Mussoliniego dla teorii względności Unopetry i serię jeszcze gorszych kataklizmów dla pozostałych malców. Zdecydowałem się na Einsteina, bo był grzecznym dzieckiem, a za to, do czego doszło później z atomami, ani on, ani ja nie możemy odpowiadać. Postąpiłem wbrew radom Rosenbeissera, który zalecał „profilaktyczne ogołocenie Ziemi z dzieci w wieku przedszkolnym po to, żeby energię atomową wyzwolono w bezpiecznym wieku XXI, i nawet sprezentował mi chronicjanta, który gotów był podjąć się tej akcji. Oczywiście natychmiast zesłałem tego niebezpiecznego człowieka, nazwiskiem H. Errod, do Azji Mniejszej, gdzie się też dopuścił potwornych czynów; figurowały zresztą w którymś punkcie aktu oskarżenia. A co z nim miałem zrobić? Przecież w jakiś czas musiałem go zesłać? Ale nie powinienem wdawać się w polemikę z górami tak spreparowanych oszczerstw.

Kiedy przegłosowano usunięcie mnie z Projektu, Rosenbeisser kazał mi stawić się niezwłocznie w dyrekcji; zastałem go już siedzącego na moim fotelu jako p.o. dyrektora. Jak myślicie, kogo ujrzałem w jego otoczeniu? Ależ tak, Goodlaya, Gestimera, Astroianniego, Starshita i pozostałych partaczy; Rosenbeisser zdążył już powyciągać ich ze wszystkich wieków, w których siedzieli. Jemu samemu pobyt w Bizancjum zrobił doskonale; podczas wyprawy przeciw Persom schudł i opalił się, przywiózł monety z wytłoczonym na nich własnym profilem, złote brosze, sygnety i masę ciuchów, które pokazywał właśnie swojej klice, ale zaraz schował je do szuflady, kiedym wszedł, a nadymał się, a siedział, a cedził słowa półgębkiem, nie patrząc na mnie, jak jaki cesarz. Ledwo powściągając poczucie triumfu, które go rozpierało, rzekł mi z wysoka, że mogę wracać do domu, jeżeli zobowiązę się wykonać pewne zlecenia. Mam mianowicie, przybywszy do siebie, namówić tego Ijona Tichego, który przez cały czas mieszkał u mnie, żeby objął kierownictwo TEOHIPHIPU.

Nagły błysk zrozumienia przewiercił mi umysł. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, czemu właśnie mnie wybrano, żeby do samego siebie posłował! Przecież prognoza Hyperputera pozostawała w mocy, nikt więc nie nadawał się lepiej na stanowisko dyrektora Naprawy Dziejów. Nie działali ze szlachetności, tej nie mieli za grosz, lecz z czystego wyrachowania; jakoż, w samej rzeczy, I. Tichy, który namówił mnie na tę imprezę, pozostał w przeszłości i zamieszkiwał mój dom. Zrozumiałem więc, że koło czasowe zamknie się

dopiero z chwilą, gdy wpadnę — ja teraz — do biblioteki i hamując chronocykl zwałę wszystkie książki z półek. Tamtego Ijona zastanę w kuchni, z patelnią w ręku, i zaskoczę go niespodziewanym pojawieniem, ja bowiem wystąpię teraz w roli posła przyszłości, podczas gdy on, lokator domu, będzie tym, do którego posłuję. Pozorny paradoks sytuacji jest wynikiem nieuchronnego relatywizmu czasów, jaki niesie z sobą opanowanie technologii chronomocyjnej. Perfidia planu, ukutego przez Hyperputer, polegała na tym, że utworzył dubeltowe koło w czasie: małe w dużym. W małym kółku kręciliśmy się na początku z mym sobowtórem, dopóki nie wyraziłem wreszcie zgody na wyjazd w przyszłość. Lecz i potem duże koło nadal pozostało otwarte; dlatego nie rozumiałem podówczas, skąd on się wziął w tej jakiejś przyszej epoce, z której, jak brzmiały jego słowa, przybywał.

W małym kółku ja byłem wciąż wcześniejszym, a on późniejszym I. Tichym. Dopiero obecnie role miały się odwrócić, ponieważ czasy się przestawiły: ja teraz przybywałem do niego z przyszłości jako poseł; on, obecnie już wcześniejszy, miał wziąć stery Projektu w ręce. Jednym słowem — mieliśmy się ostatecznie zamienić miejscami w czasie. Nie pojmowałem już tylko, czemu mi wówczas w kuchni tego nie zdradził, lecz i to zaraz zrozumiałem, gdyż Rosenbeisser zażądał od mnie słowa honoru, że zachowam grobowe milczenie o wszystkim, co się działo w Projekcie.

Jeśli odmówię zachowania sekretu, zamiast chronocykla otrzymam pensję emerytalną i nigdzie nie wyruszę. Co miałem robić? Wiedzieli, szalbierze, że im nie odmówię. Odmówiłbym, gdyby kandydatem na moje miejsce był każdy inny człowiek, lecz jakże mogłem nie ufać, jako następcy, sobie samemu? A więc z myślą o takiej ewentualności ukuli swój wyrafinowany plan!

Bez honorów, bez pompy, bez jednego dobrego słowa podziękowania, bez jakiegokolwiek uroczystości pożegnalnej, w martwym milczeniu niedawnych współpracowników, co dotąd prawili mi od rana do wieczora same dusery i prześcigali się w podziwianiu mych horyzontów myślowych, a teraz odwracali się na mój widok plecami — poszedłem do hali startowej. Niska złośliwość kazała byłym podwładnym dać mi najbardziej rozchwierutany chrono—cykl, jaki mieli. Pojmowałem już, czemu na pewno nie zahamuję jak należy i przewrócę wszystkie półki z książkami! Lecz za nic miałem i tę ostatnią wyrządzoną mi zniewagę. Choć chronocyklem koszmarnie rzucało na stykach wieków (są to tak zwane przełomy sekularne), bo amortyzatory nie działały, opuszczałem XXVII wiek bez gniewu czy goryczy, myśląc o tym tylko, jak się też powiedzie Telechroniczna Optymalizacja Historii Powszechnej — mojemu następcy.

PODRÓŻ DWUDZIESTA PIERWSZA

Gdy po powrocie z XXVII wieku wysłałem I. Tichego do Rosenbeissera, by objął opróżnione przeze mnie stanowisko w TEOHIPHIPIE, co uczynił zresztą z największą niechęcią, i to dopiero po tygodniu gonitwy i awantur w małym kole czasowym, znalazłem się wobec poważnego dylematu.

Czego jak czego, ale naprawiania historii miałem zupełnie dość. Tymczasem było wcale możliwe, że ten Tichy znów zawali Projekt i Rosenbeisser wyśle go po mnie jeszcze raz. Postanowiłem więc nie czekać z założonymi rękami, lecz udać się w Galaktykę, i to możliwie daleko. Wyruszyłem w największym pośpiechu, z obawy, że MOIRA pokrzyżuje mi plany, ale widać zapanował tam po moim odejściu kompletny bałagan, bo nikt się jakoś mną specjalnie nie interesował. Oczywiście nie chciałem czmychnąć byle gdzie, wziąłem więc do rakiety moc najświeższych przewodników i rocznik „Almanachu Galaktycznego”, który narósł pod moją nieobecność. Odsądziwszy się zaś od Słońca na ładnych kilka parseków, już spokojny, jąłem wertować tę literaturę.

Jak się wnet przekonałem, przynosiła sporo nowego. I tak dr Hopfstosser, brat tego Hopfstossera, który jest znanym tichologiem, opracował tablicę periodyczną cywilizacji Kosmosu w oparciu o trzy zasady, pozwalające nieomylnie wykrywać społeczności najwyżej rozwinięte. Są to Reguły Śmieci, Szumu i Plam. Każda cywilizacja w fazie technicznej zaczyna z wolna tonąć w odpadkach, które sprawiają jej ogromne kłopoty, aż wyprowadzi śmietniska w przestrzeń kosmiczną; żeby zaś nie przeszkadzały zbyt w kosmonautyce, umieszcza się je na specjalnie wyosobnionej orbicie. W ten sposób powstaje rosnący pierścień wysypisk, i właśnie po jego obecności można rozpoznać wyższą erę postępu.

Jednakowoż po pewnym czasie wysypiska zmieniają swój charakter, w miarę bowiem rozwoju elektroniki trzeba się pozbywać coraz większych ilości złomu komputerowego, do którego przyłączają się stare sondy, sputniki itp. Te myślące odpady nie chcą kręcić się po wieczność w pierścieniowym śmietniku i pierzchają z niego, zapelniając okolice planety, a nawet cały jej system; faza ta doprowadza do zanieczyszczenia środowiska — intelektem. różne cywilizacje usiłują zrazu rozmaicie zwalczać ten problem; bywa, że dochodzi do komputerocydu, np. umieszcza się w próżni specjalne pułapki, sidła, wnyki i zgniatacze psychicznych wraków, lecz efekt podobnych akcji jest jak najgorszy, wyłapaniu ulegają bowiem tylko wraki najniżej stojące pod względem umysłowym, więc taktyka ta preferuje przetrwanie śmieci najbystrzejszych; łączą się one w gromady i szajki, rządzą naloty i kontestacje, wysuwając trudne do spełnienia postulaty, bo domagają się części zamiennych i przestrzeni życiowej. Gdy im odmówić, złośliwie zagłuszają łączność radiową, włączają się do audycji, nadają własne proklamacje, przez co planetę na tym etapie otacza strefa takich trzasków i wycia w eterze, że bębunki pękają. Właśnie po tym trzeszczeniu można z wielkiej nawet odległości rozpoznać cywilizacje udręczane plagą polucji intelektualnej. Dziwne, jak długo astronomowie ziemscy nie mogli pojąć, czemu Kosmos, podsłuchiwany radioteleskopami, pełen jest szumu i innych bezsensownych odgłosów; są to właśnie zakłócenia będące skutkiem nazwanych konfliktów, które utrudniają poważnie nawiązywanie międzygwiazdnej łączności.

I wreszcie plamy słońc, ale o specyficznym ukształtowaniu, jak i składzie chemicznym, który można ustalić spektroskopowe, zdradzają obecność cywilizacji najwyżej rozwiniętych, które przebiły już zarówno Bariere Śmieci, jak i Szumu. Plamy te powstają, kiedy olbrzymie chmary narosłych wiekami odpadów same rzucają się jak ćmy w płomienie miejscowego Słońca, żeby w nich zginać samobójczo. Tę manię wzniecają specjalne środki depresyjne, którym ulega wszystko, co myśli elektrycznie. Metoda rozsiewania owych środków jest nad wyraz okrutna, ale też bytowanie w Kosmosie, a już zwłaszcza budowanie w nim cywilizacji,

nie stanowi niestety sielanki.

Podług doktora Hopfstossera te trzy kolejne etapy rozwoju są żelazną prawidłowością cywilizacji człokształtnych. Co się tyczy innych, periodyczna tablica doktora wykazuje jeszcze pewne luki. Nic mi to jednak nie szkodziło, bo dla zrozumiałych względów interesowałem się właśnie bytem istot najbardziej do nas podobnych. Toteż, sporządziwszy sobie na podstawie opisu, jaki opublikował Hopfstosser w „Almanachu”, detektor „WC” (wysokich cywilizacji), zagłębiłem się rychło w wielkiej gromadzie Hyjad. Stamtąd bowiem dobiegały szczególnie silne zagłuszenia, tam najwięcej planet opasywały pierścienie śmiecia i tam też kilka słońc pokrywała plamista wysypka z widmem rzadkich pierwiastków, będąca niemyym wyrazem zagłady sztucznego rozumu.

Ponieważ zaś ostatni numer „Almanachu” przynosił fotografie istot z Dychtonii jak dwie krople wody podobnych do ludzi, na tej planecie właśnie postanowiłem wylądować. Co prawda, ze względu na spory dystans 1 000 lat świetlnych, zdjęcia te, odebrane radiowo przez drą Hopfstossera, mogły być nieco przestarzałe. Mimo to pełen optymizmu zbliżyłem się hiperbolą do Dychtonii i wszedłszy na kołową orbitę poprosiłem o pozwolenie lądowania.

Otrzymanie takiego zezwolenia bywa rzeczą trudniejszą niż pokonanie galaktycznych przestworzy, ponieważ biurokrację cechuje rozwój o wyższym wykładniku potęgowym niż nawigację, toteż od reaktora fotonowego, ekranów, zapasów paliwa, tlenu itp. daleko ważniejsze są załączniki, bez których nie ma co myśleć o wizie wjazdowej. Z wszystkim tym jestem otrząskany, przygotowałem się więc na długie, być może wielomiesięczne krążenie wokół Dychtonii, ale nie na to, co mnie spotkało.

Planeta, jak zdążyłem spostrzec, błękitem przypominała Ziemię, pokryta oceanami, opatrzona w trzy duże kontynenty, na pewno ucywilizowane: już na dalekim perymetrze przyszło mi porządnie lawirować między sputnikami kontrolnymi, obserwacyjnymi, zaglądnymi i zachowującymi głucho milczenie; tych ostatnich unikałem na wszelki wypadek z wyjątkową starannością. Na moje petycje nikt nie odpowiedział; trzykrotnie składałem podania, lecz nikt nie żądał telewizyjnego okazania papierów, a tylko z kontynentu o kształcie nerki wystrzelono mi naprzeciw coś w rodzaju bramy triumfalnej z syntetycznej choiny, owiniętej różnobarwnymi wstęgami i proporcami, zaopatrzonej w napisy jakby zachęcające, lecz sformułowane tak ogólnikowo, że nie zdecydowałem się przez tę bramę przelecieć. Następny kontynent, cały pokryty miastami, gruchnął we mnie mlecznobiałą chmurą jakiegoś proszku, który zatumaniał wszystkie moje komputery pokładowe tak, że usiłowały niezwłocznie skierować statek ku Słońcu, musiałem więc wyłączyć je i przejść na sterowanie ręczne. Trzeci ląd, jakby słabiej zurbanizowany, tonący w bujnej zieleni, największy, niczego w mą stronę nie wystrzelił, niczym mnie nie witał, więc wyszukawszy ustronne miejsce, zahamowałem i ostrożnie posadziłem raketę w roztoczu malowniczych wzgórz i łąnów, porosłych ni to kalarepą, ni to słonecznikami: trudno się w tym było wyznać z wysokości.

Jak zwykle, drzwi zacięły mi się od rozgrzania tarciami atmosferycznym i musiałem czekać dobrą chwilę, nim udało mi się je otworzyć. Wyrzuciłem na zewnątrz, wciągnąłem w płuca ożywcze, świeże powietrze i z zachowaniem niezbędnej rozwagi postawiłem stopę na nieznanym świecie.

Znajdowałem się na skraju jakby uprawnego pola, lecz to, co na nim rosło, nie miało nic wspólnego ze słonecznikami czy kalarepą; nie były to w ogóle żadne rośliny, lecz nachtkastliki, więc gatunek mebli. A jakby tego było jeszcze mało, tu i tam widniały między ich dość równymi szeregami serwantki i taborety. Po namyśle doszedłem do wniosku, że są to produkty cywilizacji biotycznej. Z takimi już się niegdyś spotkałem. Koszmarne wizje, jakie roztaczają niekiedy futurologowie, o świecie przyszłości zatrutym spalinami, zadymionym, ugrzęzłym w barierze energetycznej, termicznej itp., są bowiem nonsensem: w postindustrialnej fazie rozwoju powstaje inżynieria biotyczna, likwidująca problemy tego

typu. Opanowanie zjawisk życia pozwala produkować syntetyczne plemniki, które zasadzasz w byle czym, skraplasz garścią wody i wnet wyrasta z nich potrzebny obiekt. O to, skąd taki plemnik bierze wiadomości i energię dla radio— czy szafogenezy, nie trzeba się troszczyć tak samo, jak nie interesujemy się tym, skąd ziarno chwastu czerpie siłę i wiedzę dla wzejścia.

Tak więc nie sam łań serwantek i nachtkastlików mnie zadziwił, lecz to, że były kompletnie wynaturzone. Najbliższy stolik nocny, kiedym próbował go odemknąć, omal mi ręki nie odgryzł zębata szufladą; drugi, rosnący obok, chwiał się w łagodnych podmuchach wiatru jak studzienina, a taboret, obok którego przechodziłem, podstawił mi nogę, że rymnałem jak długi. Otóż tak meble na pewno nie powinny się zachowywać; coś było z tą uprawą nie w porządku; idąc dalej, teraz już z wyjątkowymi ostrożnościami i z palcem na cynglu blastera, trafiłem w płytkim zagłębieniu terenu na gąszcz w stylu Ludwika XV, z którego wypadła na mnie dzika kozetka i może by mnie stratowała złoconymi kopytami, gdybym jej nie położył na miejscu celnym strzałem. Łaziłem jakiś czas między kępami meblowych kompletów, zdradzającymi hybrydyzację nie tylko stylów, lecz sensów; panoszyły się tam mieszańce kredensów z otomanami, rosochate regały, a otwarte szeroko i jakby zapraszające do głębokiego wnętrza szafy były chyba drapieżne, sądząc po niedogryzkach, co leżały u ich nóg.

Widząc coraz wyraźniej, że to nie żadna uprawa, lecz jeden chaos, zmęczony i rozgrzany spiekotą, bo słońce stało w zenicie, wyszukałem po kilku próbach wyjątkowo spokojny fotel i siadłem na nim, żeby się zastanowić nad położeniem. Siedziałem tak w cieniu kilku dużych, chociaż zdziczałych komód, które wypuściły liczne pędy wieszaków, gdy w odległości może stu kroków wychynęła spomiędzy wysoko rozbijałych karniszy głowa, a w ślad za nią tułów jakiejś istoty. Nie wyglądała mi na człowieka, lecz na pewno nie miała nic wspólnego z meblami. Wyprostowana, lśniła blond futerką, twarzy nie widziałem, bo ocieniało ją szeroko rondo kapelusza, zamiast brzucha miała jak gdyby tamburyn, ramiona spiczaste, przechodzące w zdublowane ręce; nucąc cicho, akompaniowała sobie na tym jakimś bębenku brzuszny. Zrobiła jeden i drugi krok do przodu, tak że ukazał się jej ciąg dalszy. Teraz przypominała nieco centaury, choć bosego i bez kopyt; wnet za drugą parą nóg pojawiła się trzecia, potem czwarta, a kiedy ruszyła skokiem i zapadłszy w gąszcz znikła mi z oczu, pomyliłem rachubę. To tylko wiedziałem, że nie była aż stunoga.

Spoczywałem na tym wyściełanym fotelu, porządnie ogłupiały od dziwnego spotkania, wreszcie wstałem i poszedłem dalej, zważając na to, by się zanadto nie oddalić od rakiety. Pomiędzy roslami kanapami, co do jednej stojącymi dęba, ujrzałem kamienny gruz, a dalej — ocembrowanie typowego ujścia kanałowego. Gdy postąpił bliżej, żeby zajrzeć w ciemną głąb, usłyszałem za sobą szmer, chciałem się odwrócić, lecz jakaś płachta spadła mi na głowę, zaszamotałem się, daremnie, bo już objęły mnie stalowe ramiona. Ktoś podciął mi kolana i wierzgając bezskutecznie poczułem, jak unoszą mnie w górę, a potem chwytają za barki i nogi. Niesiono mnie jakby w dół, słyszałem odgłos kroków na kamiennych płytach, zazgrzytały drzwi, rzucono mnie na kolana i zdarto z głowy krepującą tkaninę.

Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu, oświetlonym przyczepionymi do sufitu białymi lampami, które miały zresztą wąsiki i nóżki i od czasu do czasu zmieniały miejsce pobytu. Klęczałem, trzymany za kark przez kogoś, kto stał za mną, przed stołem z nie heblowanego drewna; siedziała za nim postać w szarym kapturze, który zakrywał i twarz; kaptur miał otwory dla oczu, zamknięte przezroczystymi szybkami. Postać ta, odsunawszy księgę, którą dotąd czytała, spojrzawszy na mnie przelotnie, rzekła głosem spokojnym temu, kto wciąż mnie dzierzył;

— Wyciągnąć mu strunę.

Ktoś złapał mnie za ucho i pociągnął, aż wrzasnąłem z bólu. Jeszcze dwa razy usiłowano wyrwać mi małżowinę, lecz gdy nie szło, zapanowała niejaka konsternacja. Ten, co mnie trzymał i rwał za uszy, tak samo spowity w grube szare płótno, rzekł tonem

usprawiedliwienia, że to pewno nowy model. Podszedł do mnie inny drab i starał się po kolei odkręcić mi nos, brwi, wreszcie całą głowę; gdy i to nie dano oczekiwanych efektów, siedzący kazał mnie puścić i spytał:

— Jak głęboko jesteś schowany?

— Że jak, proszę? — spytałem w osłupieniu. — Nigdzie się nie chowam i nic nie rozumiem. Dlaczego mnie męczycie?

Siedzący wstał wówczas, obszedł stół i ujął mnie za ramiona — rękami ludzkiego kształtu, ale w sukiennych rękawicach. Domacawszy się moich kości, wydał mały okrzyk zdziwienia. Na dany znak przeprowadzono mnie korytarzem, po którego suficie łążyły sobie znudzone najwyraźniej lampy, do innej celi, a właściwie komórki, ciemnej jak mogiła. Nie chciałem tam wejść, lecz zostałem wepchnięty przemocą, drzwi zatrzęsły się, coś zaszumiało i zza niewidzialnej przegrody doszedł mnie głos wołający jakby w niebiańskiej ekstazie: „Chwała Panu! Mogę mu porachować wszystkie kości!” Po wysłuchaniu tego okrzyku jeszcze gwałtowniej się opierałem tym, którzy zaraz wyciągnęli mnie z ciemnej klitki, lecz widząc, jak usiłują okazać mi niespodziewane całkiem względy, jak zapraszają uprzejmymi gestami, całą postawą objawiając rewerencję, dałem się prowadzić w głąb podziemnego korytarza, dziwnie podobnego do zbiorczego kanału miejskiego, jakkolwiek był schludnie utrzymany, o bielonych ścianach, z dnem wysypanym delikatnym, czystym piaseczkiem. Ręce miałem już wolne i po drodze masowałem sobie wszystkie obolałe miejsca twarzy i ciała.

Dwaj osobnicy w długich do ziemi, szarych sukniach i kapturach, przepasani sznurem, otwarli przede mną zbite z prostych desek drzwi, a w głębi celi, nieco większej niż ta, w której mi nos i uszy odkręcano, stał już najwyraźniej poruszony, zerkający mnie, zamaskowany człowiek. Po kwadransie rozmowy taki mniej więcej utworzyłem sobie obraz sytuacji: Znajdowałem się w przybytku zakonu miejscowego, który ni to ukrywał się przed niewiadomym prześladowaniem, ni to podlegał banicji; zostałem mylnie wzięty za przynętę „prowokującą”, ponieważ mój wygląd, będący przedmiotem uznania oo. destrukcjantów, jest ustawowo wzbroniony; przeor, bo jego miałem przed sobą, wyjaśnił mi, że gdybym był przynętą, składałbym się z segmentów, które po wyciągnięciu, w ślad za uchem, wewnętrznej struny, rozleciałyby się w drobny mak. Co do następnego pytania, jakie zadał mi indagujący mnich (starszy brat furtian), sądził on, że przedstawiam rodzaj plastikowego manekina z wbudowanym komputerem; dopiero prześwietlenie promieniami Roentgena wyjaśniło stan rzeczy.

Przeor, o. Dyzz Darg, przeprosił mnie gorąco za skutki przykrego nieporozumienia i dodał, że zwraca mi wolność, lecz nie radzi wyjść na powierzchnię gruntu, bo popadłbym w poważne niebezpieczeństwo: jestem bowiem niecenzuralny w całości. Nie zabezpieczyłoby mnie nawet zaopatrzenie w bebesznię i rypciny z przyssawką, ponieważ nie umiem się tym kamuflażem posługiwać. Nie ma więc dla mnie lepszego wyjścia, jak tylko pozostać u oo. destrukcjantów jako ich cenny i miły gość; w miarę swych, skromnych niestety możliwości, postarają się osłodzić moje przymusowe położenie.

Nie bardzo mi się to widziało, lecz przeor wzbudził we mnie zaufanie godnością, spokojem, rzeczowym wysłowieniem, jakkolwiek nie mogłem przywyknąć do jego zamaskowanej postaci; nosił się bowiem tak, jak wszyscy zakonnicy. Nie śmiałem zasypywać go od razu pytaniami, więc porozmawialiśmy o pogodzie na Ziemi i na Dychtonii, bo już wiedział ode mnie, skąd przybyłem, potem i o mordędzie podróży kosmicznej, wreszcie rzekł mi, że domyśla się mej ciekawości miejscowych spraw, ale z tym nie ma pośpiechu, skoro i tak muszę się ukrywać przed organami cenzury. Otrzymam, jako szacowny gość, własną celę, będę miał przydanego młodego braciszka ku wszelkiej pomocy i radzie, nadto zaś cała biblioteka zakonna stoi przede mną otworem. A ponieważ zawiera niezliczone prohibita i białe kruki znajdujące się na czarnych listach, przez przypadek, jaki mię zawiódł w katakumby, skorzystam może więcej niż gdziekolwiek indziej.

Myślałem, że już się rozstaniemy, bo przeor wstał, ale jakby z pewnym wahaniem spytał, czy pozwolę mu dotknąć, jak się wyraził, mego jestestwa. Wzdychając głęboko jakby w przystępie największego żalu czy niepojętej zgoła nostalgii dotykał twardymi palcami w rękawicach mego nosa, czoła i policzków, a gdy pogładził mnie po włosach (miałem wrażenie, że pięść tego duchownego jest z żelaza), nawet cicho załkał. Te objawy hamowanego wzruszenia otumaniały mnie do reszty. Nie wiedziałem, o co najpierw pytać, czy o zdziczałe meble, czy o centaury wielonogie, czy o tę jakąś cenzurę, ale nakazawszy sobie roztropną cierpliwość, zmilczałem. Przeor zapewnił mnie, że bracia zakonu zajmą się kamuflażem rakiety, którą upodobni się do chorych na słonowaciznę organów, po czym rozstaliśmy się wymieniając grzeczności.

Celkę otrzymałem niedużą, lecz przytulną, z posłaniem twardym niestety jak diabli. Sądziłem, że oo. destrukcjanie mają taką surową regułę, lecz potem okazało się, że nie wymoszczono mi legowiska przez czyste roztargnienie. Na razie nie odczuwałem innego głodu, jak tylko informacji; młody braciszek, który się mną opiekował, przyniósł mi całe naręcze dzieł historycznych i filozoficznych; utonałem w nich do późnej nocy. Zrazu przeszkadzało mi w lekturze to, że lampa raz zbliżała się, a raz szła gdzieś w drugi kąt pokoju. Potem dopiero dowiedziałem się, że szła za potrzebą i by wróciła na poprzednie miejsce, trzeba na nią pocmokać.

Braciszek poradził mi zacząć studia od małego, lecz instruktywnego zarysu dziejów dychtońskich, pióra Abuza Gragza, historiografa oficjalnego, lecz „względnie dość obiektywnego”, jak się wyraził. Poszedłem za tą sugestią.

Jeszcze koło roku 2300 byli Dychtończycy bliźniaczymi podobiznami ludzi. Jakkolwiek postępowi nauki towarzyszyła laicyzacja życia, przeciw duizm, wiara, co panowała prawie niepodzielnie na Dychtonii przez dwadzieścia wieków, wycisnęła swe piętno i na dalszym ruchu cywilizacji. Duizm głosi, że każde życie zna dwie śmierci, przednią i tylną, to jest tę sprzed narodzin i tę po agonii. Teologowie dychtońscy za szperklapy się brali ze zdziwienia słysząc potem od mnie, że my tak na Ziemi nie myślimy i że są kościoły, interesujące się tylko jednym, mianowicie przednim bytowaniem pośmiertnym. Nie mogli pojąć, czemu ludziom przykro myśleć o tym, że ich kiedyś nie będzie, a nie jest im tak samo przykro rozmyślać o tym, że ich przedtem nigdy nie było.

Duizm zmieniał w toku stuleci swój trzon dogmatyczny, ale zawsze okazywał wielkie zainteresowanie problematyce eschatologicznej, co za profesorem Gragzem doprowadziło właśnie do wczesnych prób rozruchu technologii unieśmiertelniającej. Jak wiadomo, umieramy od starzenia się, a starzejemy się, czyli ulegamy rozchwierutaniu cielesnemu — tracąc niezbędną informację; komórki zapominają z czasem, co robić, żeby się nie rozpaść. Przyroda dostarcza trwale takiej wiedzy tylko komórkom rozrodczym, bo inne guzik ją obchodzą. Tak więc starzenie się jest trwonieniem życiowo ważnej informacji.

Bragger Pizz, wynalazca pierwszego immortalizatora, zbudował agregat, który, opiekując się organizmem człowieka (będę używał tego terminu, mówiąc o Dychtończykach, boż tak jest poręczniej), zbierał każdą szczyptę informacji, gubionej przez komórki cielesne, i wprowadzał im ją na powrót. Pierwszy Dychtończyk, Dgunder Brabz, na którym przeprowadzono doświadczenie uwieczniające, został nieśmiertelnym tylko na rok. Dłużej nie mógł wytrzymać, bo czuwał nad nim zespół sześćdziesięciu machin, miriada—mi niewidzialnych złotych drucików wnikałych we wszystkie zakątki jego organizmu. Nie mógł się ruszyć z miejsca i wiódł smutny żywot pośrodku istnej fabryki (tak zwanej perpetualni). Dobder Gwarg, następny immortal, mógł się już wprawdzie przechadzać, lecz towarzyszyła mu na spacerach kolumna ciężkich traktorów objuczonych unieśmiertelniającą aparaturą. I on popełnił samobójstwo na skutek frustracji.

Panowała jednak opinia, że powstaną dzięki dalszym postępowi tej techniki mikroperpetuatory, lecz Haz Berdergar udowodnił matematycznie, że PUPA (Personalny

Unieśmiertelniając Perpetuujać Automatycznie) musi ważyć co najmniej 169 razy więcej niż waży unieśmiertelniany, o ile sporządzony został zgodnie z typowym planem ewolucji. Gdyż, jakem rzekł i jak to wiedzą i nasi uczeni, przyroda troszczy się o garstkę komórek rozrodczych u każdego, a resztę ma gdzieś.

Dowód Haza wywołał ogromne wrażenie i wtrącił społeczeństwo w głęboką depresję, pojęto bowiem, że Bariery Śmiertelności nie przekroczy się bez jednoczesnego porzucania ciała danego Naturą. W filozofii stanowiła reakcję na dowód Berdegara słynna doktryna wielkiego myśliciela dychtońskiego Donderwarsa. Pisał on, że śmierci spontanicznej nie wolno zwać naturalną. Naturalne jest to, co godziwe, natomiast śmiertelność to skandal i hańba w kosmicznej skali. Powszechność występkę ani o włos nie umniejsza jego szkarady. Dla oceny występkę nie ma też najmniejszego znaczenia, czy jego sprawcę da się schwytać. Przyroda postąpiła z nami jak łotr, wysyłający niewinnych na misję ponoć lubą, w istocie zaś straceńczą. Im kto bardziej w życiu zmądrzeje, tym bliżej ma do jamy.

Ponieważ nikt moralny nie ma prawa stowarzyszać się z mordercami, niedopuszczalna jest też kolaboracja z łajdacką Naturą. Tymczasem pogrzeb to kolaboracja przez grę w chowanego. Idzie o to, by ofiarę gdzieś ukryć, jak to czynią zwykle współnicy zbrodni; na grobowych kamieniach wypisuje się różne nieważne rzeczy, oprócz jedynej istotnej: gdyby bowiem ludzie śmieli spojrzeć prawdzie w oczy, to ryliby tam parę co silniejszych przekleństw pod adresem Przyrody, boż to ona tak nas wykierowała. Tymczasem nikt słowa nie piśnie, jakby mordercy tak zręcznemu, że się zawsze ulotni, należały się za to jeszcze specjalne względy. Zamiast „memento mori” należy powtarzać „erite ultores”, zmierzajcie ku nieśmiertelności, nawet za cenę utraty wyglądu tradycyjnego; taki był ontologiczny testament tego wybitnego filozofa.

Gdym to przeczytał, pojawił się braciszek, by w imieniu przeora zaprosić mnie na kolację. Spożyłem ją w wyłącznym jego towarzystwie. O. Darg sam nic nie jadł, a tylko od czasu do czasu popijał wodę z kryształowego pucharka. Posiłek był skromny, noga stołowa w potrawce — dość łykowata; jak się wtedy o tym przekonałem, dziczejac, meble okolicznej puszczy stawały się przeważnie mięsne. Nie pytałem jednak o to, czemu raczej nie drewnieją, zwrócony po lekturze umysłem ku sprawom wyższym; doszło tak do pierwszej rozmowy z przeorem na tematy teologiczne.

Wyjaśnił mi, że duizm jest wiarą w Boga, wyzbytą dogmatów, które skruszały stopniowo w toku rewolucji biotycznych. Najcięższy był kryzys Kościoła, wywołany zniweczeniem dogmatu o duszy nieśmiertelnej, pojmowanej w sensie perspektywy wiecznego żywota. Dogmatykę zaatakowały w XXV wieku trzy kolejne techniki: zamrażania, odwracania i uduchowania. Pierwsza polegała na ścinaniu człowieka w lód, druga na odwracaniu kierunku rozwoju osobniczego, trzecia zaś na dowolnym manipulowaniu świadomością. Atak frygidacji dało się jeszcze odeprzeć utrzymując, jakoby śmierć, w jaką zapada człowiek zamrożony, a potem wskrzeszony, nie była identyczna z tą śmiercią, o której mówi Pismo Święte, że dusza ulatuje po niej w zaświaty. Taka wykładnia była niezbędna, bo wszak gdyby szło o zwykłą śmierć, to zmartwychpowstały powinien by coś wiedzieć na temat, gdzie się podziewał duszą podczas stu czy i sześciuset lat zgonu.

Niektórzy teologowie, np. Gauger Drebdar, sądzili, że prawdziwa śmierć zachodzi dopiero po rozkładzie („w proch się obrócisz”), lecz wersja ta nie utrzymała się po uruchomieniu tak zwanego pola rezurekcyjnego, które składało żywego człowieka z prochu właśnie, to jest z ciała rozpylonego na atomy, i wtedy bowiem wskrzeszony nie wiedział nic o tym, jakoby jego dusza gdzieś przebywała w międzyczasie. Dogmat zachowano strusią taktyką, unikając określenia, kiedy śmierć jest tak dokumentna, że po niej na pewno już dusza ulatnia się z ciała. Potem jednak przyszła ontogeneza odwracalna; jej technika nie była umyślnie wymierzona w dogmatykę wiary, lecz okazała się niezbędna przy likwidacji wypaczeń rozwoju płodowego: nauczono się rozwój ten wstrzymywać i cofać, po odwróceniu o 180

stopni, by go jeszcze raz zainicjować od zapłodnionej komórki. W opały dostał się rychło dogmat niepokalanego poczęcia z drugim, o nieśmiertelności duszy, za jednym zamachem, bo dzięki technologii retroembrionalizacyjnej można ustrój cofać przez wszystkie poprzednie stadia, a nawet uczynić tak, żeby zapłodniona komórka, z jakiej powstał, na powrót rozdzieliła się na jajeczko i na plemnik.

Był z tym duży kłopot, bo dogmat głosił, że Bóg stwarza duszę w momencie zapłodnienia, a jeśli można było zapłodnienie odwrócić i tym samym anulować, rozłączając obie jego składowe, to co się wtedy miało dziać z już stworzoną duszą? Ubocznym produktem tej techniki była kłona—cja, czyli pobudzanie do rozwinięcia się w normalny organizm dowolnych komórek, wziętych z żywego ciała, na przykład z nosa, pięty, nabłonka jamy ustnej itp.; jako że się to działo w ogóle bez zapłodnienia, ani chybi działała biotechnika niepokalanego poczęcia, którą też uruchomiono w skali przemysłowej. Embriogenezę można już także było zawracać, przyspieszać czy odchylać tak, żeby płód ludzki obrócił się na przykład w małpi; jakże tedy, co się wtedy działo z duszą, czy była ścisłana i rozciągana jak harmonia, czy po przewekslowaniu rozwoju płodowego z drogi ludzkiej na małpią gdzieś po tej drodze zniknęła?

Ale podług dogmatu nie mogła dusza ani zniknąć, gdy raz powstała, ani maleć, bo była jednością niepodzielną. Przemyśliwano już nad tym, czy nie obłożyć płodowlanych inżynierów kłatwą kościelną, lecz nie uczyniono tego, i słusznie, bo rozpowszechniła się ektogeneza. Pierwej mało kto, potem nikt już nie rodził się z męża i niewiasty, lecz z komórki, zamkniętej w uteratorze (sztucznej macicy), a trudno było odmówić całej ludności sakramentów na tej podstawie, że powstała dzieworódczym sposobem. Na domiar złego przyszła następna technologia — świadomości. Z problemem ducha w maszynie, zrodzonym przez intellektronikę i jej rozumne komputery, jeszcze sobie dano radę, lecz za nią przybyły następne, świadomości i psychiki w płynach; syntetyzowano mądre i myślące roztwory, które można było butelkować, rozlewać, zlewać, a za każdym razem powstawała osobowość, nieraz bardziej uduchowiona i mądrzejsza niż wszyscy Dychtończycy razem wzięci.

O to, czy maszyna lub roztwór mogą mieć duszę, toczyły się dramatyczne spory na Soborze 2479 roku, aż ustanowiono na nim nowy dogmat. Kreacji Pośredniej, powiadający, że Bóg nadał stworzonym przez siebie istotom rozumnym moc poczynania rozumów następnego rzutu, lecz i to nie był kres przemian, bo się wnet okazało, że sztuczne inteligencje mogą produkować inne, następne, albo też syntetyzować podług własnej rachuby istoty człękoksztaltne czy wręcz normalnych ludzi z byle kupy materii. Podejmowano później dalsze próby ratowania dogmatu o nieśmiertelności, lecz załamały się w ogniu następnych odkryć, które istnymi lawinami schodziły na XXVI wiek; ledwo się podparło dogmat odmienioną wykładnią, już powstawała negująca ją technologia świadomości.

Doszło przez to do szeregu herezji i powstania sekt, które po prostu przeczyły powszechnie znanym faktom, lecz Kościół duistyczny utrzymał w mocy tylko jeden dogmat, Kreacji Pośredniej, co się zaś tyczyło pośmiertnego trwania, wiary w kontynuację osobowości indywidualnych, nie dało się już uchronić przed zagładą, ponieważ ani osobowość, ani indywidualność docześnie się nie zachowały. Można już było zlewać dwa lub więcej umysłów w jeden, tak u maszyn czy roztworów, jak u ludzi, można było dzięki personetyce produkować zamknięte w maszynach całe światy, w których powstawały byty rozumne, które z kolei potrafiły w tym uwięzieniu konstruować sobie następny rzut osobników inteligentnych, można było umysłowości potęgować, dzielić, mnożyć, redukować, cofać itd. Upadkowi dogmatyki towarzyszył upadek autorytetu wiary, zgasły też nadzieje na poręczane dawniej obietnice światłości wiekuistej, przynajmniej poszczególnych indywidualów.

Widząc, że nie nadąża w ruchu teologicznym za postępem technicznym, powołał Sobór 2542 roku zakon oo. prognozytów, który miał się zajmować pracami futurologicznymi w zakresie wiary świętej. Potrzeba antycypowania jej dalszych kolei była bowiem paląca.

Niemoralność wielu nowych biotechnologii przerażała nie tylko wiernych; dzięki takiej klonizacji np. można było produkować obok osobników normalnych — istoty biologiczne, lecz niemal bezmózgie, zdadne do mechanicznych prac, a wręcz nawet wyścielać hodowanymi odpowiednio tkankami, pochodzącymi z ludzkiego bądź zwierzęcego ciała, komnaty, ściany, produkować wstawki, wtyczki, wzmacniacze bądź osłabiacze inteligencji, budzić mistyczne stany wzlotów w komputerze, w płynie, obrócić jajko żabiego skrzeku w mędrca opatrzonego ciałem ludzkim, zwierzęcym bądź takim, którego dotąd w ogóle nie było, bo je zaprojektowali umyślnie eksperci płodowlani. Budziło to opory, bardzo silne też ze strony świeckich, lecz nadaremnie.

Wszystko to opowiedział mi o. Darg z najzupełniejszym spokojem, jakby mówił o rzeczach oczywistych, zresztą były dlań oczywistością, bo częścią historii dychtońskiej. Choć cisnęły mi się na usta niezliczone pytania, trudno było okazać natarczywość, wróciłem więc po kolacji do celi i zagłębiłem się w drugim tomie pracy prof. A. Gragza, który, jak świadczyła o tym adnotacja na pierwszej stronie, był prohibitem.

Dowiedziałem się, że w roku 2401 Byg Brogar, Dyrr Daagard i Merr Darr otwarli wrota na przestwór nieograniczonej swobody autoewolucyjnej; uczeni ci wierzyli gorąco, że powstały dzięki ich odkryciu Homo Autofac Sapiens, czyli Samorób Rozumny, osiągnie pełnię harmonii i szczęścia, nadając sobie takie formy ciała i przymioty duszy, jakie uzna za najdoskonalsze, że przebije Bariere Śmiertelności, o ile tak postanowi — jednym słowem okazali w toku Drugiej Rewolucji Biotycznej (pierwszej zawdzięczano plemniki wytwarzające dobra konsumpcyjne) maksymalizm i optymizm typowy dla historii nauk. Wszak podobne nadzieje wiąże się zazwyczaj z pojawieniem się każdej wielkiej a nowej technologii.

Zrazu inżynieria autoewolucyjna, czyli tak zwany ruch płodowlany, rozwijała się jakby po myśli swych światłych odkrywców. Ideały zdrowia, harmonii, piękna duchowo—cielesnego uległy rozpowszechnieniu, ustawy konstytucyjne gwarantowały każdemu obywatelowi prawo posiadania takich cech psychosomatycznych, jakie uważano za najcenniejsze. Wnet też wszelkie deformacje i kalectwa wrodzone, szpetota i głuptactwo stały się przeżytkami. Lecz rozwój to ma do siebie, że wciąż go dalej pcha naprzód ruch postępowy, więc się na tym nie skończyło. Początki dalszych przemian były z pozoru niewinne. Dziewczęta upiększały się dzięki hodowli biżuterii skórnej i innych wykwitów ciała (uszka—serduszka, perły z paznokci), chłopcy pysznili się boko— i tyłobrodami, nagłownymi grzebieniami, szczękami o dubeltowym zgryzie itp.

W dwadzieścia lat później powstały pierwsze partie polityczne. Nie od razu zorientowałem się, czytając, że „polityka” oznacza na Dychtonii coś innego niż u nas. Przeciwnieństwem programu politycznego, postulującego powielanie cielesnych ukształtowań, jest program monotyczny, który głosi redukcjonizm, czyli potrzebę wyzbywania się narządów uznawanych przez monotyków danego stronnictwa za zbędne. Gdy dotarłem do tego miejsca fascynującej lektury, wpadł bez pukania do celi mój braciszek i pełen nie ukrywanego lęku kazał mi natychmiast się zbierać, ponieważ furtian sygnalizuje niebezpieczeństwo. Pytałem jakie; poganiał mnie jednak wołając, że nie ma chwili do stracenia. Nie miałem żadnych rzeczy osobistych, więc ścisnąwszy tylko książkę pod pachą, pobiegłem w ślad za mym przewodnikiem.

W podziemnym refektarzu krzatali się już gorączkowo wszyscy oo. destrukcjanie; kamienną rynną zjeżdżały całe zwałiska ksiąg spychanych z góry dragami przez braci bibliotekarzy, ładowano je do pojemników i w największym pośpiechu opuszczano w głąb studni, wykutej w szczerzej skale; na moich osłupiałych oczach zakonnicy, w mig rozdziawszy się do naga, czym prędzej powrzucaли także swoje habity i kaptury do ocembrowanego otworu; byli co do jednego z grubsza tylko człekokształtnymi robotami. Następnie całą hurmą wzięli się do mnie, przyklepiając mi do ciała dziwaczne wypustki baloniastego i węzowego

kształtu, ogony czy kończyny, nie mogłem się w tym wyznać, tak się spieszyli; przeor osobiście założył mi na głowę bebesznię, wyglądającą jak powiększony nadmuchianiem i rozpękły karaluch; jedni jeszcze lepili, a już inni malowali mnie w pasy czy pręgi; ponieważ wokół nie było żadnego lustra ani błyszczącej powierzchni, nie wiem, jak wyglądałem, lecz wydawali się dość z siebie zadowoleni.

Popychany, znalazłem się w kącie i dopiero wtedy zauważyłem, że przypominam raczej czworonoga, a może i sześcionoga, niż istotę o postawie wyprostnej. Kazali mi kucnąć i na wszystkie pytania, gdyby je ktokolwiek do mnie kierował, odpowiadać wyłącznie beczeniem. Ledwo się to stało, załomotano przeraźliwie w drzwi; oo. roboty rzucili się do jakichś wywleczonych na środek refektarza aparatów, przypominających (ale nie bardzo) maszyny do szycia i całe pomieszczenie wypełnił hurkot ich pozorowanej pracy. Po kamiennych stopniach zesłała do nas lotna kontrola. Mysiałem, że nie ustoję nawet na moich czterech nogach, gdy z bliska przyjrzałem się jej członkom. Nie wiedziałem, czy są ubrani, czy nadzy; każdy przedstawiał się inaczej.

Ogony mieli bodaj wszyscy, zakończone włosianym buńczukiem, który ukrywał solidną pięść; nosili je na ogół niedbale przerzucone przez ramię, o ile ramieniem można nazwać baniastą wypukłość okoloną dużymi brodawkami; pośrodku tej bani była skóra biała jak mleko; pojawiały się na niej barwne stygmaty — nie od razu pojąłem, że porozumiewają się zarówno głosem, jak też wyświetlając sobie, owym cielesnym ekranem, rozmaite napisy i skróty. Starłem się policzyć im bodaj nogi; mieli co najmniej po dwie, ale było paru trójnogi i jeden popiątny; odniosłem wszelako wrażenie, że im kto więcej miał nóg, tym mu się niewygodniej chodziło. Obeszli całą salę, przyjrzeni się od niechcienia braciszkom, pochylonym nad maszynami i pracującym z największą zawziętością, aż kontroler wyższy od innych, z ogromną pomarańczową kryzą wokół bebeszni, która mu się nadymała i lekko świeciła, gdy mówił, kazał małemu, ledwie dwunogiemu z kusym ogonkiem, pewno kanceliście, zbadać trywutnie. Coś tam pisali, mierzyli, nie odzywając się ni słowem do robotników—zakonników i mieli już odejść, gdy zielonkawy trójnogi dostrzegł moją obecność; pociągnął mnie za jedną z frędzlistych wypustek, więc na wszelki wypadek z cicha beknąłem.

— E, to ten stary gwamdlista, ma osiemnastkę, zostawić go! — rzekł większy, zajaśniawszy, mały zaś odparł szybko:

— Tak jest. Wasza Ciałość!

Z aparatem, podobnym do latarki, obeszli jeszcze wszystkie kąty refektarza, ale do studni żaden się nawet nie zbliżył. Coraz wyraźniej wyglądało mi to na niedbale przeprowadzaną formalność. Jakoż po dziesięciu minutach już ich nie było, maszyny poszły w ciemny kąt, zakonnicy jęli bisować pojemniki, wyżymali swoje przemoczone habity, rozwieszali je na sznurku, by podeschły, ojcowie bibliotekarze zamartwiali się, bo do jednego nieszczelnego pojemnika dostała się woda, więc trzeba było zaraz przekładać bibułą przemoczone kartki starodruków, przeor zaś, to jest ojciec robot, a jużem sam nie wiedział, jak i co mam o nim myśleć, odezwał się do mnie z życzliwością, że się, chwała Bogu, wszystko dobrze skończyło, lecz na przyszłość muszę się pilnować: tu pokazał podręcznik historii, który uroniłem w ogólnym rozgardiaszu. Sam na nim siedział przez cały czas rewizji.

— A więc posiadanie książek jest wzbronione? — spytałem.

— Zależy komu! — odparł przeor. — Nam tak! A już specjalnie — takich! Uchodzimy za przestarzałe maszyny, zbędne od czasów Pierwszej Rewolucji Biotycznej; toleruje się nas, podobnie jak wszystko, co schodzi w katakumby, bo taki jest, nieoficjalny zresztą, obyczaj od rządów Glaubona.

— A co to jest „gwamdlista”? — spytałem. Przeor zmieszał się nieco.

— To zwolennik Bghiza Gwarndla, wielkorządcy sprzed dziewięćdziesięciu lat. Niezręcznie mi o tym mówić... schronił się u nas ten nieszczęsny gwamdlista, więc udzieliliśmy mu przytułku; siedział zawsze w tym kącie, udawał, biedak, pomieszanego na

umyśle; dzięki temu uchodził za nieodpowiedzialnego i mógł mówić, co chciał... przed miesiącem kazał się zamrozić, żeby doczekać „lepszych czasów”... więc pomyślałem, że, w razie nagłej potrzeby, moglibyśmy przebrać pana... nieprawdaz?... chciałem pana uprzedzić o tym, ale nie zdążyłem. Nie przypuszczałem, że kontrola nastąpi akurat dziś, bywają nieregularne, lecz ostatnio raczej rzadkie...

Nicem z tego nie zrozumiał. Zresztą czekały mnie, dopiero teraz, przykre fatygi, bo klej, jakiego użyli oo. destrukcjanie, by zakamuflować mnie pod owego gwamdlistę, trzymał okropnie mocno i miałem wrażenie, że wrywają mi sztuczne rypciny oraz grząśłe razem z kawałkami żywego ciała; spełniałem, stękałem, nim wreszcie, jako tako przywrócony do ludzkiego wyglądu, udałem się na spoczynek. Przeor sugerował potem, że można by mnie przemienić cielesnie, w sposób, rozumie się, odwracalny, lecz gdy pokazano mi na rycinie, jak miałbym wyglądać, wybrałem już raczej dalsze ryzyko niecenzuralności; ustawowo zalecane kształty były nie tylko monstrialne w moich oczach, ale w najwyższym stopniu niewygodne, tak np. lec przy nich było niepodobieństwem: należało się powiesić do snu.

Ponieważ późno udałem się na spoczynek, nie wyspałem się jak należy, gdy mój młody opiekun zbudził mnie śniadaniem przyniesionym do celi; teraz pojmowałem lepiej, jak znaczną mi tu okazują gościnność, boż sami ojcowie nie jedli nic, a co do wody, to być może, mieli akumulatorowy napęd i potrzebowali destylowanej, lecz na cały dzień i tej wystarczało im parę kropli, by zaś mnie wyżywić, musieli urządzać wyprawy w zagajnik meblowy. Dostałem tym razem niezłe przyrządzoną poręcz; jeśli mówię, że ją dobrze ugotowano, to nie dlatego, że była naprawdę smaczna, ale jedząc umiałem już zrobić poprawkę na wszystkie okoliczności towarzyszące kulinarnym zabiegom.

Wciąż jeszcze przebywałem pod znacznym wrażeniem nocnej kontroli i nie umiałem uzgodnić jej z tym, co dotąd zdążyłem wyczytać w podręczniku historii, toteż zaraz po śniadaniu wziąłem się do dalszych studiów.

Od zarania autoewolucji rozdzierały obóz postępu cielesnego głębokie różnice zdań w kwestiach zasadniczych. Opozycja konserwatystów znikła już po czterdziestu latach od chwili wielkiego odkrycia; zwano ich ponurymi wstecznikami. Postępowcy natomiast dzielili się na zamachowców, docelitów, powielan, liniuchów, rozlewitów i wiele innych partii, których nazw ani programów już nie pamiętam. Zamachowcy żądali, by władza ustaliła doskonały prototyp cielesny, który wprowadzi się w życie od jednego zamachu. Docelici, bardziej krytycznie nastawieni, sądzili, że się takiej doskonałości nie da natychmiast utworzyć, opowiadali się tedy raczej za drogą do idealnego ciała, lecz nie było jednoznaczne, jaka to ma być droga, przede wszystkim zaś, czy dla generacji przejściowych może być przykra? W tym względzie rozpadali się na dwa odłamy. Inni, np. liniuchowie i powielanie, utrzymywali, że warto wyglądać rozmaicie na różne okazje, czy też, że człowiek nie jest gorszy od owadów — skoro one przechodzą w ciągu życia metamorfozy, to i on mógłby tak postępować: dziecko, wyrostek, młodzian, człek dojrzały byłiby upostaciowaniami wzorców zasadniczo odmiennych. Co do rozlewitów, byli radykałami; potępiali szkielet jako przeżytek, głosili odejście od budowy kręgowcowej i zachwalali miękką wszechplastyczność. Rozlewita mógł się tak sam wymodelować czy też ugnieść cielesnie, jak mu dusza pragnęła; było to co najmniej praktyczne w tłoku, a też w stosunku do gotowej odzieży rozmaitych wymiarów; niektórzy z nich wałkowali się i turlali do najdziwaczniejszych form, chcąc podług sytuacji i stanu ducha wyrażać swe nastroje samouczłonkowaniem; przeciwnicy poli- i mono-tyczni nadali im pogardliwe przydomki kałużan.

Aby zapobiec groźbie anarchii cielesnej, powołano do życia BIPROCIAPS, Biuro Projektów Ciała i Psyche, które miało dostarczać na rynek, w rozmaitych, lecz zawsze wypróbowanych wariantach, planów przecieleńczych. Wciąż jednak nie było zgody co do kierunku głównego autoewolucji: czy należy sporządzać ciała, dzięki którym będzie się żyło najprzyjemniej, czy takie, co ułatwiają jednostkom najsprawniejsze włączanie się w

społeczny byt, czy preferować funkcjonalizm, czy estetykę, potęgować siłę ducha, czy mięśni; albowiem dobrze było gadać ogólnikami o harmonii i perfekcji, kiedy tymczasem praktyka wykazywała, że nie wszystkie wartościowe cechy są do zjednoczenia; liczne wykluczały się nawzajem.

W każdym razie odwrót od naturalnego człowieka trwał w pełni. Eksperci prześcigali się w dowodzeniu niebywałego prymitywizmu i lichoty jego wykonania przez Przyrodę; ciałometria oraz somatyczna inżynieria czasu wykazują w swym piśmiennictwie jawne wpływy zainspirowania doktryną Donderwarsa; zawodność ustroju naturalnego, jego senilizacyjny ruch ku śmierci, tyrania starych popędów nad później powstałym rozumem podlegały zaciekłym krytykom, a przyczynkarskie prace roily się od zarzutów pod adresem płaskostopia, nowotworów, wypadania dysków i tysięcy innych cierpień wywołanych ewolucyjnym partactwem i niedbalstwem, zwanym krecią robotą marnotrawczo-bezideowej, bo wszak ślepej ewolucji życia.

Późni potomkowie zdawali się brać na Przyrodzie odwet za to ponure milczenie, z jakim ich pradziadowie musieli przełknąć rewelacje o małym pochodzeniu Dychtończyka; wyszydzano tak zwany pasaż arborealny, czyli to, że najpierw jakieś zwierzęta jeły się na drzewach chronić, a potem, gdy lasy wyginęły od stepowienia, musiały zleść na ziemię zbyt szybko. Podług niektórych krytyków spowodowały antropogenezę trzęsienia ziemi, bo kto był żyw, leciał od nich z gałęzi, więc ludzie powstałi niejako metodą ulęgałek. Były to oczywiście grube uproszczenia, lecz wymyślanie na ewolucję należało do dobrego tonu. Tymczasem BIPROCIAPS udoskonaliał narządy wewnętrzne, podresorował i wzmocnił kręgosłup, dorabiał rezerwowe serca, nerki, lecz nie zadowalało to ekstremistów, występujących pod demagogicznymi hasłami „precz z głową” (że niby za ciasna), „mózg do brzucha!” (bo w nim miejsca więcej) itd.

Najgorętsze spory rozgorzały wokół spraw płciowych, bo gdy jedni uważali, że wszystko tam wysoce niesmaczne i trzeba tu wziąć coś z kwiatów i motyli, inni, gromiąc zakłamanie platoników, domagali się właśnie amplifikacji i eskalacji tego, co już jest. Pod naciskiem skrajnych ugrupowań otworzył BIPROCIAPS skrzynki pomysłów racjonalizatorskich po miastach i siołach, projekty runęły lawiną, etaty rosły do potęgi i po dekadzie biurokracja tak przycisnęła autokreację, że BIPROCIAPS rozpadł się na zjednoczenia, a potem instytucje takie, jak KUC (Komisja ds. Cudnych Lic), CIPEK (Centralny Instytut Pełnej Estetyzacji Kończyn), IURNA (Instytut Upowszechniania Radykalnie Nowej Anatomii) i mnóstwo innych. Zaroilo się od zjazdów i kursokonferencji w sprawie ukształtowania palców, dyskutowano o randze i przyszłości nosa, o perspektywach krzyży, zatracając z pola widzenia całość, aż wreszcie to, co projektował jeden pion, nie pasowało do produkcji innych. Nikt już nie ogarniał nowej problematyki, zwanej skrótowo AU (Eksplozja Automorficzna), więc aby zlikwidować cały ów bałagan, oddano w końcu władzę nad obszarem biotyki SOMPSU-TEROWI (Somatyczno-Psychiczny Komputer).

Tą wiadomością zamykał się kolejny tom Historii Powszechnej. Gdym sięgał po następny, wszedł do celi braciszek, by zaprosić mnie na obiad. Krępowalem się jeść przy ojcu przeorze, bom już wiedział, jaka to z jego strony grzeczność i jakie marnowanie cennego czasu. Zaproszenie było jednak tak zniewalające, że poszedłem bez ociągania. W małym refektarzu, obok o. Darga, który czekał już przy stole, znajdował się niski wózek podobny do tych, na jakich u nas rozwożą bagaże; był to o. Memnar, generał zakonu prognozytów; źle mówię, nie wózek był, rozumie się, ojcem i generałem zakonu, lecz sześciennego komputera, który spoczywał na tym podwoziu. Myślę, że nie okazałem niegrzeczności zdębeniem ani się nawet nie zająkałem podczas zapoznania. Jadło mi się niezręcznie, lecz wymagał tego organizm. Aby mnie rozruszać i ośmielić, zacny przeor podczas posiłku wciąż pił wodę małymi łykami, i to aż z dwóch kryształowych dzbanów naraz, ojciec Memnar zaś mrucał cicho; myślałem, że pacierze, lecz gdy rozmowa zesłała znów na teologię, okazało się, że

byłem w błędzie.

— Wierzę — rzekł mi o. Memnar — a jeśli moja wiara jest zasadna, ten, w którego wierzę, wie o tym pod nieobecność mych oficjalnych deklaracji. Umysł sporządza sobie w historii różne modele Boga, mające każdy kolejny za jedynie właściwy, co jest błędem, bo modelowanie to kodyfikacja, a skodyfikowana tajemnica przestaje być tajemnicą. Dogmaty zdają się wiecznotrwale jeno na początku drogi w dal cywilizacyjną. Zrazu wystawiano sobie Boga jako srogiego Ojca, potem jako Pasterza–Hodowcę, potem jako Artystę rozmiłowanego w Stwarzanym, więc ludzie mieli grać odpowiednio role grzecznej dziatwy, posłusznych owieczek, a wreszcie zachwyconej Bożej klaki. Lecz dziecinadą jest mniemać, że Bóg po to stworzył, żeby mu stworzone od rana do wieczora bakę świeciło, żeby go na wyrost miłowało za to, co Tam będzie, jeśli nie w smak to, co Tu jest, jakby był wirtuozem, a w zamian za wciąż nowe porcje modlitewnych braw przygotowywał bisy wieczne żywota po przedstawieniu doczesnym, czyli najlepszy numer zachowywał na zapadnięcie śmiertelnej kurtyny. Ta wersja teatralna Teodycei jest zamierzchną naszą przeszłością.

Jeśli Bóg ma wszechwiedzę, to wie o mnie wszystko i to na czas nieskończenie długi, nim się wyłoniłem z niebytu. Wie też, co postanowi o moim czy twoim lęku albo oczekiwaniu, bo ma doskonałe wiadomości także co do wszystkich własnych decyzji przyszłych: w przeciwnym razie nie byłby wszechwiedny. Nie ma dlań żadnej różnicy między myślą Jaskiniowca i umysłu, jaki zbudują inżynierowie za miliard lat tam, gdzie dziś jest tylko lava i płomień. Nie wiem, czemu miałyby mu sprawiać szczególną różnicę zewnętrzną oprawa wyznań wiary, a nawet to, czy ktoś kieruje doń uwielbienie, czy niechęć. Nie uważamy go za producenta oczekującego aprobaty ze strony produktu, ponieważ historia doprowadziła nas tam, gdzie naturalna autentyczność myśli nie różni się niczym od myśli sztucznie wznieconej, co oznacza, że nie ma żadnej różnicy pomiędzy sztucznym i naturalnym; granica ta leży już poza nami. Pamiętaj o tym, proszę, że możemy stwarzać dowolne osoby i umysłowości. Moglibyśmy na przykład wszczynać istoty, czerpiące mistyczną ekstazę z bytu, metodą krystalizacji, klonacji lub setką innych, i niejako w ich uwielbieniach, adresowanych do Transcendencji, zmaterializowałyby się intencja, właściwa dawnym aktom strzelistym i modłom. Lecz takie powielanie wiernych wyglądałoby nam na czeze urągawisko. Pamiętaj o tym, że nie raniemy się o mury stawiane naszym pragnieniom przez ograniczenie cielesne i przyrodzone, ponieważ strzaskaliśmy je i wyszliśmy w przestwór bezwzględnej kreacyjnej swobody. Dziecko może teraz wskrziesić zmarłego, tchnąć ducha w proch i złom, niszczyć i zapalać słońca, ponieważ takie techniki istnieją, to zaś, że nie każdy ma do nich dostęp, nie jest, jak chyba pojmujesz, problemem dla myśli teologicznej. Pułap sprawstwa bowiem, wyznaczony literą Pism, został osiągnięty i tym samym naruszony. Okrucieństwa starych ograniczeń zastąpiły okrucieństwa ich zupełnego braku. Otóż nie sądzimy, że Stwórca skrywa miłość do nas maską obu tych alternatywnych mąk, dając nam po to szkołę, żeby go było trudniej odgadnąć; i nie w tym zadanie Kościoła, żeby obie klęski, niewoli i wolności, zwał weksłami, żyrowanymi objawieniem, które z nadwyżką pokryje buchalteria niebieska. Wizja nieba jako kasy wypłat, a piekła jako kryminału dłużników niewypłacalnych — to chwilowy omam w historii wiary. Teodycea nie jest sofistycznym praktykanctwem obrońców Pana Boga ani wiara dodawaniem otuchy, że jakoś to tam w końcu będzie. Kościół zmienia się i wiara się zmienia; obie spoczywają bowiem w historii: trzeba więc antycypować nadchodzące i temu zadaniu służy mój zakon.

Słowa te porządnie mnie skonfundowały. Spytałem, jak godzi duistyczna teologia to, co się dzieje na planecie (chyba nic dobrego, choć nie wiem dobrze co, tkwiąc w lekturach ledwie w XXVI wieku), z Pismami Objawionymi (których też nie znam)?

O. Memnar rzekł mi na to, przy milczącym przeorze:

— Wiara jest zarazem absolutnie konieczna i doskonale niemożliwa. Niemożliwa jest jako utwierdzania raz na zawsze, bo nie ma takiego dogmatu, w który myśl może się wkorzeni z

pewnością, że to już na zawsze. Broniliśmy Pism przez dwadzieścia pięć wieków, taktyką odwrotów elastycznych, ogólniejącymi interpretacjami litery, aż przegraliśmy. Nie mamy już buchalteryjnej wizji Transcendencji. Bóg to ani Tyran, ani Pasterz, ani Artysta, ani Policjant, ani Główny Księgowy Bytu. Wiara w Boga musi wyzbyć się wszelkiej interesowności, choćby przez to, że nic jej nigdzie nie wynagrodzi. Gdyby się okazało, że Bóg mocen jest sprawić to, co sprzeczne ze zmysłami i logiką, będzie to ponurym zaskoczeniem. Przecież to on, bo któż inny, dał nam te formy logicznego myślenia, oprócz których nie mamy nic w poznawaniu, jakże więc możemy sądzić, jakoby akt wiary miał być aktem wyrzeczenia się rozumu logicznego? Po cóż było najpierw dawać rozum, a potem urągać mu sprzecznościami, jakie sam znajduje na swej drodze?

Żeby się dotajemniczyć i uzagadkować? Żeby pozwalać nam pierwszej na postawienie diagnozy, że Tam nic nie ma, a potem dobyć raję, jak szuler wyciąga kartę z rękawa? Tak nie myślimy. Dlatego nie domagamy się od Boga żadnych świadczeń z tytułu żywionej wiary, nie wysuwamy pod jego adresem żadnych roszczeń, gdyż pogrzebaliśmy teodyceę opartą na modelu transakcji handlowej i wymiany usług: ja cię do bytu powołałem, ty mnie będziesz służył i chwalił.

Wobec tego, pytałem coraz bardziej natarczywie, co wy właściwie, mnisi i teologowie, robicie, jak się ustosunkowujecie do Boga, skoro nie pielęgnujecie ani dogmatyki, ani liturgii, ani nabożeństw, jeśli dobrze rozumiem?

— Ponieważ w samej rzeczy nie mamy już nic — odparł mi generał prognozytów — mamy wszystko. Zechciej, drogi przybyszu, przeczytać dalsze tomy historii dychtońskiej, aby pojąć, co to właściwie znaczy —pozyskanie zupełnej wolności w sferze ciała— i duchosprawstwa, którą dały obie rewolucje biotyczne. Uważam za nader prawdopodobne, że w głębi ducha śmiesz cię widoma tu sytuacja, istoty bowiem, krew z krwi i kość z kości powstałe jak ty, zdobywszy pełnię władzy nad samymi sobą, przez to, że już mogą gasić i wzniecać w sobie wiarę jak lampę, wiarę straciły. Przejęły ją zaś od nich ich narzędzia, myślące dlatego, bo właśnie takie były potrzebne w pewnej fazie przemysłowego rozwoju. Obecnie jesteśmy już zbędni, i właśnie my, z ich tam na górze stanowiska złom, wierzymy. Tolerują nas, bo mają ważniejsze sprawy na swych bebeszniach, lecz od władzy dozwolone jest nam wszystko prócz wiary.

— To bardzo dziwne — rzekłem. — Nie wolno wam wierzyć? Czemu?

— To bardzo proste. Wiara jest jedyną rzeczą, której nie można odebrać świadomemu istnieniu dopóty, dopóki ono świadomie w niej trwa. Władza mogłaby nas nie tylko zdruzgotać, ale przerobić tak, byśmy z przeprogramowania nie wierzyli; nie czyni tego, zapewne, wskutek lekceważenia i pogardy albo obojętności. Łaknie ona panowania wprost, ponieważ wszelki wyłom w tym panowaniu uznałaby za swoje uszczuplenie. Dlatego musimy kryć się z wiarą. Pytałeś o jej istotę. Jest ona, jak by ci to rzec, zupełnie naga, ta wiara nasza, i zupełnie bezbronna. Nie żywimy żadnych nadziei, nie domagamy się niczego, nie prosimy o nic, na nic nie liczymy, lecz wierzymy po prostu.

Nie stawiaj mi, proszę, dalszych pytań, lecz zastanów się raczej nad tym, co oznacza taka wiara. Jeśli ktoś wierzy dla jakichś przyczyn i z jakichś powodów, wiara jego przestaje być w pełni suwerenna; o tym, że dwa i dwa jest cztery, na pewno wiem, dlatego nie muszę w to wierzyć. Lecz nic nie wiem o tym, jaki jest Bóg; dlatego tylko wierzyć mogę. Co mi ta wiara daje? Podług dawnego rozumienia nic. Nie jest już koicielką strachu przed nicością ani za—lotnicą Bożą, wiszącą u klamki niebieskiej między strachem potępienia i nadzieją raję. Nie uspokaja rozumu, znękanego sprzecznościami bytu; nie wajuje jego kantów; powiadam ci: jest na nic! Znaczący to, że ona niczemu nie służy. Nam nie wolno nawet głosić, jakobyśmy dlatego właśnie wierzyli, ponieważ ta wiara prowadzi do absurdu, albowiem kto tak mówi, tym samym wygłasza przekonanie, że już potrafi rozróżniać między absurdem i nieabsurdem trwale i że sam się opowiada po stronie absurdu dlatego, bo podług jego opinii po tej stronie

stoi Bóg. My tak nie mówimy. Akt wiary naszej nie jest ani modlitewny, ani dziękczynny, ani pokorny, ani zuchwały, on jest po prostu, i nic więcej nie da się o nim powiedzieć.

Zafrapowany tym, co usłyszałem, wróciłem do celi i znów czytałem, teraz już następny tom dziejów dychtońskich. Opisywał Erę Centralizacji Cielizmu. Somsputer działał zrazu ku powszechnemu zadowoleniu, lecz wnet pojawiły się na planecie nowe istoty — dwojacy, trojacy, czwartacy, potem ósmacy, a wreszcie i tacy, co w ogóle nie chcieli się kończyć w sposób przeliczalny, bo im w ciągu życia wciąż coś nowego wyrastało. Był to skutek defektów, czyli fałszywej reiteracji programów, a mówiąc potocznie, maszyna zaczęła się jąkać. Ponieważ jednak panował kult jej doskonałości, te automorficzne wypaczenia próbowano nawet chwalić, oświadczając na przykład, że właśnie bezustanne pączkowanie i rozcapierzanie się jest właściwą ekspresją proteuszowej natury człowieka. Chwalba ta opóźniła roboty naprawcze i doprowadziła do powstania tak zwanych nieskończycieli lub pentaków (poli-N-taków), którzy ztracali orientację we własnym ciele, tyle go było; gubili się w nim, tworząc tak zwane płątwe i węzliny; nieraz bez Pogotowia Ratunkowego nie dało się ich rozsypać. Naprawa Somsputera nie powiodła się — zwany Zepsuterem, został wreszcie wysadzony w powietrze. Ulga, jaka potem zapanowała, nie trwała długo, bo wróciło koszarne pytanie, co dalej zrobić z ciałem?

Po raz pierwszy dały się wtedy słyszeć nieśmiałe głosy, czy nie warto by wrócić do starego wyglądu, lecz osądzono je jako tępe wstecznictwo. W wyborach 2520 roku zwyciężyli Żywnie albo Relatywiści, bo chwycił ich demagogiczny program, by każdy wyglądał tak, jak mu się żywnie spodoba; ograniczenia wyglądu miały być tylko funkcjonalne: dzielnicowy architektielista zatwierdzał projekty, zdadne do sprawnego bytowania, nie troszcząc się o resztę. Projekty te rzucał na rynek BIPROCIAPS istnymi lawinami. Historycy zwą okres automorfii pod Somsputerem epoką centralizacji, a lata późniejsze — reprivatyzacją.

Oddanie indywidualnego wyglądu prywatnej inicjatywie doprowadziło po kilku dekadach do nowego kryzysu.

Co prawda niektórzy filozofowie głosili już, że im większy postęp, tym więcej przesileń, i w braku kryzysów należałoby je prokurować, gdyż one aktywizują, jednoczą, budzą twórczy zapał, chęć walki i zespalają duchowo oraz materialnie, jednym słowem zagrzewają społeczeństwa do współpracy, a pod ich nieobecność panoszy się stagnacja, marazm i inne rozpadowe objawy. Poglądy te głosiła szkoła tak zwanych optysemistów, to jest filozofów, czerpiących optymizm na przyszłość z pesymistycznej oceny terażniejszości.

Okres prywatnej inicjatywy ciałospawstwa trwał trzy czwarte wieku. Zrazu rozkoszowano się zdobytą swobodą automorfii, znów przodowała młodzież dyszelmami i łomótkami chłopców, fajniczynami dziewcząt, lecz niebawem wystąpiły starcia międzypokoleniowe, bo doszło do kontestacji pod znakiem ascezy. Młodzi zarzucali starszej generacji pogoń za wyżyciem, bierny, często konsumpcyjny stosunek do ciała, płaski hedonizm, wulgarną gonitwę za rozkoszą, i żeby się odciąć, przybierali formy rozmyślnie szkaradne, nad wyraz niewygodne, wręcz koszarne (capieryści, gwajdliwcy). Demonstrując pogardę dla wszelkiej użytkowości, umieszczali sobie oczy pod pachami, a młody aktyw biotyczny używał bez liku wyhodowanych narządów dźwiękowych (bębalnie, harfasy, gulgongi, man—dolnice). Urządzono masowe rykowiska, na których soliści, zwani słowyjkami, doprowadzali rozentuzjasmowany tłum do drgawkowego tarła. Potem zapanowała moda czy też mania długich macek, które w kalibrze i sile chwytu podlegały eskalacji podług typowo młodzieńczej, chepliwej zasady „Ja ci pokażę!” Że zaś masy węzowych splotów nikt nie miał siły dźwigać sam, doprawiano sobie tak zwane pochódki (ogonatory), to jest samokroczący pojemnik, co wyrastał z krzyża i na dwu krzepkich łydkach niósł brzemień macek za ich właścicielem. Znalazłem w podręczniku ryciny ukazujące elegantów, za którymi ich pochódki niosły kłęby macek na promenadzie; był to już schyłek kontestacji, a właściwie zupełny jej krach, ponieważ nie ściagała żadnych własnych celów, lecz była jedynie buntowniczą reakcją

na orgiastyczny barok epoki.

Barok ten miał swoich apologetów i teoretyków, głoszących, że ciało jest po to, by można mieć największą ilość przyjemności w największej ilości miejsc naraz; Merg Barb, jego czołowy przedstawiciel, wyjaśniał, że Przyroda ulokowała, skąpo zresztą, ośrodki przyjemnych doznań w ciele po to, żeby mogło przeżywać; toteż żadne doznania rozkoszne nie są z jej rozkazu, autonomiczne, ale każde czemuś służy: a to dostarczeniu ustrojowi płynów, a to węglowodanów czy białka, a to zapewnieniu, w potomstwie, kontynuacji gatunku itp. Z tym narzuconym pragmatyzmem należy radykalnie zerwać; dotychczasowa bierność w projektowaniu ciała jest objawem braku wyobraźni perspektywicznej; uciechy lukullusowe czy erotyczne to mizerny produkt uboczny zaspokajania wrodzonych instynktów, czyli tyranii Natury; nie wystarczy wyzwolenie seksu, którego świadectwem jest ekto-geneza, ponieważ seks nie ma przed sobą znaczniejszej przyszłości ani kombinatorycznej, ani konstrukcyjnej; cokolwiek było tam do wymyślenia, już dawno urzeczywistniono, i nie w tym sens automorficznej wolności, żeby prostolinijnie powiększać to lub owo, robiąc po prostu plagiatowe powiększenia płciowej staroci. Należy wymyślić zupełnie nowe organy i narządy, które będą funkcjonowały wyłącznie po to, żeby ich posiadaczowi było dobrze, coraz lepiej, rozkosznie, wręcz niebiańsko.

Barbowi pospieszyło w sukurs grono młodych, zdolnych projektantów z BIPROCIAPSU, którzy wynaleźli rypciny i chędacze; zapowiadano je z wielkim szumem, w reklamach gwarantujących, że dawne uciechy żołądka czy płci to głupie dłubanie w nosie w porównaniu z rypcieniem i chędaniem; w mózgi wprawiano, oczywiście, ośrodki ekstatycznego doznawania, zaprogramowane specjalnie przez inżynierów dróg nerwowych, przy czym urządzono je piętrowo. Tak powstał popęd chędańczy i rypceniowy oraz właściwe tym instynktom czynności o nader bogatej i urozmaiconej skali, ponieważ można było chędać i rypcić na zmianę lub jednocześnie, solo, w duetach, triadach, a potem, po dosztukowaniu cucanek, także w grupach kilkudziesięciosobowych. Powstały też nowe rodzaje sztuki, bo pojawili się artyści—chędańcy i rypciarze, lecz i na tym się nie skończyło; pod koniec XXVI wieku pojawiły się barokowe formy jęzodrepców, sukcesy odnosił gryzipięta, słynny Ondur Sterodon zaś, który umiał jednocześnie chędać, rypcić i mandolić, latając na pacierzowych skrzydłach, stał się bożyszczem tłumów.

W szczytowym okresie baroku seks wyszedł z mody; pielęgnowały go tylko dwa niewielkie stronnictwa, komasatów i separatyistów. Separatyści, niechętni wyuzdaniu, uważali, że nie godzi się jeść kapusty tymi samymi ustami, którymi się kochanka całuje. Niezbędne są po temu osobne, tak zwane platoniczne usta, a najlepiej mieć ich zestaw podług przeznaczenia (dla krewnych, znajomych i dla istoty wybranej). Komasaci, hołdujący funkcjonalizmowi, działali na odwrót, łącząc, co się dało, dla uproszczenia organizmu i życia.

Schyłek tego stylu, jak zwykle ekstrawagancki i wydziwaczony, stworzył postaci tak osobliwe, jak kobietę-taboretę i heksaka, który przypominał centaury, lecz miał zamiast kopyt cztery boscie stopy, zwrócone palcami ku sobie: zwano go i przytupcem, podług tańca, w którym energiczne tupanie było figurą podstawową. Lecz rynek okazywał nasycenie i znużenie. Trudno było epatować nowym ciałem, używano kłapek usznych z naturalnego rogu, uszne konchy, przeświecające stygmatycznymi obrazkami, wachlowały bladą różowizną policzki pań z towarzystwa, próbowano chodzić na giętych nibynóżkach, przez czystą bezwładność BEPROCIAPS dostarczał dalszych projektów, czuło się jednak nadchodzący kres tej formacji.

Zatopiony w lekturze, wśród porzrzuconych książek, w świetle lamp, łączących nade mną po suficie, zasnąłem ani wiedząc kiedy; przebudził mnie dopiero daleki głos porannego dzwonka. Zaraz też pojawił się mój braciszek pytać, czy życzę sobie może niejkiej odmiany; jeśli tak, przeor prosi, bym zechciał mu towarzyszyć w objęździe całej diecezji u boku o. Memnara. Perspektywa opuszczenia mrocznych katakumb ucieszyła mnie, toteż wyraziłem

zgode.

Objazd wyglądał niestety inaczej, niż sobie wyobrażałem. Na powierzchnię wcaleśmy się nie wydostali; braciszkwowie, wyrzutowawszy do drogi niskie, juczne zwierzęta, okryte do ziemi szarymi jak ich habity płachtami, powsiadali na nie oklep i poczłapaliśmy z wolna podziemnym korytarzem. Były to, jak się już domyślałem, a domysł ten znalazł potwierdzenie, od wieków nie używane kanały metropolii, która wznosiła się wysoko nad nami tysiącem na wpół zrujnowanych wieżowców. Miarowe ruchy mego wierzchowca miały w sobie coś dziwnego; nie dostrzegałem też pod przykrywającym go materiałem ni śladu głowy; zajrzawszy dyskretnie pod płótno, przekonałem się, że to maszyna, rodzaj czworonożnego robota, wielce prymitywnego; do południa nie ujechaliśmy ani dwudziestu mil. Trudno się zresztą było zorientować w długości przemierzonej drogi, wiła się bowiem labiryntami kanałów słabo rozświetlonymi przez lampy, które małym stadkiem to podfruwały nad nami, to odbijając się o zakłęsły strop pospieszały na czoło kolumny, dokąd je przyzywano cmokaniem.

Przybyliśmy wreszcie do siedziby oo. prognozytów, gdzie przyjęto nas z honorami, ja zwłaszcza znajdowałem się w ośrodku powszechnej uwagi. Ponieważ meblowa puszcza została daleko, ojcowie prognozyci musieli się specjalnie zakrzętnąć, by przysposobić z myślą o mnie przyzwoity posiłek. Dostarczyły go magazyny opuszczonej metropolii pod postacią torebek z plemnikami; postawiono przede mną miski, jedną pustą, drugą pełną wody, i po raz pierwszy mogłem przekonać się o działaniu produktów biotycznej cywilizacji.

Zakonnicy gorąco usprawiedliwiali się przede mną z braku zupy; po prostu braciszek, wysłany na powierzchnię ziemi studzienką kanalizacyjną, nie umiał odnaleźć właściwej torebki; z kotлетem poszło jednak nieźle: plemnik, polany kilkoma łyżkami wody, napęczniał, rozplaszczyl się, tak że po chwili miałem na talerzu smacznie przyrumieniony medalion cielecy, cały w maselku, które, skwiercząc od nagrzania, wydzielalo się jego porami. W magazynie, z którego dobyto ten specjał, musiał panować zupełny chaos, skoro między paczuszkami z gastronomicznymi plemnikami zawieruszyły się inne: zamiast deseru wyrósł mi na talerzu magnetofon, a i to nie nadający się do użytku, bo miał na szpulach tasiemki od kalesonów. Wyjaśniono mi, że to efekt hybrydyzacji, która teraz często się zdarza, albowiem nie nadzorowane automaty produkują plemniki coraz gorszej jakości; te produkty biotyczne mogą się krzyżować i tak właśnie powstają najniesamowitsze mieszańce. Przy tej okazji wpadłem wreszcie na trop pochodzenia dzikich mebli.

Zacni ojcowie chcieli posłać zaraz któregoś z młodszych zakonników ponownie w ruiny miasta, za deserem dla mnie, lecz gorąco się temu sprzeciwiłem. Daleko bardziej niż na deserze, zależało mi na rozmowie,

Refektarz, niegdyś wielka oczyszczalnia kanałów miejskich, przedstawiał się nader schludnie, wysypany białym piaskiem, oświetlony licznymi lampami, które u prognozytów były inne niż u destrukcjantów, mianowicie mrugające i pręgowane, jakby wywodziły się od wyolbrzymionych os. Siedzieliśmy za długim stołem na przemian, więc obok każdego destrukcjana spoczywał na swym chassis prognozyta; odczuwałem niepojęte skrępowanie, że ja jeden mam obnażoną twarz i ręce — przy zamaskowanych postaciach ojców robotów w ich zgrzebnych kapturach ze szkłem w otworach oczu i przy oo. komputerach, którzy, graniaści, w najmniejszym już stopniu nie przypominali żywej istoty; niektórzy spośród nich połączeni byli pod stołem kabelkami, ale nie ważyłem się pytać o sens tej ich wieloprzewodowej łączności.

Rozmowa, jaka wywiązała się przy tym samotnym obiedzie — boż ja jeden go spożywałem — znów, siłą nieodpartych rzeczy, zesłała ku transcendentalnej tematyce. Pragnąłem dowiedzieć się, co ostatni wierzący Dychtonii sądzą w kwestiach dobra i zła, Boga i diabła, a gdy zadałem to pytanie, nastala dłuższa chwila ciszy, w której tylko pręgowane lampy brzęczały cicho w rogach refektarza; zresztą może to był prąd oo. prognozytów.

Odezwał się wreszcie siedzący naprzeciw mnie starszy komputer, z zawodu historyk religii, jak się później dowiedziałem od ojca Darga.

— Zmierając wprost do celu, wyraziłbym nasze poglądy tak — powiedział, — Szatan jest tym, czego najbardziej w Bogu nie rozumiemy. Nie znaczy to jakobyśmy sądzili, że Bóg sam stanowi aliaz pierwiastków wyższego i niższego, dobra i zła, miłości i nienawiści, mocy stwarzania i żądy zniszczenia. Szatan to myśl, że Boga można ograniczyć, zaklasyfikować, wydzielić, dokonując frakcjonowanej destylacji, tak aby został tym, i tylko tym, co potrafimy zaakceptować i przed czym się już bronić nie będziemy. Myśl ta nie daje się utrzymać wewnątrz historii, ponieważ jej nieuchronną konsekwencją jest wniosek, że nie ma innej wiedzy, jak pochodzącej od Szatana, i że on się dopóty rozszerza, dopóki nie pochłonie wszystkiego, co wiedzę zdobywa, w całości. A to, ponieważ wiedza unicestwia stopniowo dyrektywy, zwane przykazaniami objawionymi. Pozwala ona zabijać, nie zabijając, niszczyć, lecz tak, że to niszczenie stwarza, ulatniają się od niej osoby, jakim miała być należna cześć, choćby ojciec i matka, i padają od niej dogmaty, jak nadprzyrodzoności poczęcia niepokalanego i duszy nieśmiertelnej.

Jeżeli to miały być pokusy diabelskie, to wszystko, czego się tkniesz, jest diabelską pokusą, i nie można by nawet powiedzieć, że Szatan pochłonął cywilizację, ale w niej Kościoła nie pochłonął, ponieważ Kościół, choć z oporami, daje stopniowo zgodę na zdobywanie wiedzy, i nie ma na tej drodze żadnego miejsca, na którym mógłby rzec „dotąd, a dalej już nie!”, ponieważ nikt, w Kościele czy poza Kościołem, nie potrafi wiedzieć, jakie będą jutrzejsze skutki dzisiaj poznanego. Kościół może od czasu do czasu wydawać bitwy temu postępowi, lecz gdy broni jednego frontu, ot choćby nienaruszalności poczęcia, postęp, zamiast dać frontalny bój, dokonuje manewru okrążającego, którym likwiduje sens bronionych pozycji. Tysiąc lat temu Kościół nasz bronił macierzyństwa, a wiedza zlikwidowała pojęcie matki, najpierw rozcinając akt macierzyństwa na dwoje, potem wynosząc je z ciała na zewnątrz, potem dokonując syntezy zarodka, tak że po trzech wiekach obrona straciła wszelki sens; musiał tedy Kościół przystać na zapłodnienie zdalne i na poczęcie w laboratorium, i na poród w maszynie, i na ducha w maszynie, i na maszynę, dostępującą sakramentów, i na zniknięcie różnicy pomiędzy naturalnie stworzonym i sztucznym bytem. Gdyby obstawał przy swoim, to musiałby jednego dnia uznać, że nie ma innego Boga prócz Szatana.

Aby uratować Boga, uznaliśmy historyczność Szatana, czyli jego ewolucję jako zmieniającej się w czasie projekcji tych wszystkich cech, które nas w Stworzeniu zarazem przerażają i pogrążają. Szatan to naiwna myśl, że między Bogiem a Niebogiem można rozróżnić jak między dniem i nocą. Bóg jest Tajemnicą, a Szatan to zebrane w osobę, wydzielone cząstkowo rysy tej Tajemnicy. Nie ma dla nas ponadhistorycznego Szatana. To jedno, co w nim trwałe i co brano za osobę, pochodzi z wolności. Musisz jednak, gościu i przybyszu z dalekich stron, zapomnieć o kategoriach twej myśli, ukształtowanej w innej historii niż nasza, kiedy mnie słuchasz. Wolność oznacza dla nas coś zupełnie innego niż dla ciebie. Oznacza ona upadek wszelkich ograniczeń działania, czyli zanik tych wszystkich oporów, jakie życie napotyka na swym zaraniu rozumowym. Te opory kształtują rozum, bo wydobywają go na wierzch z wegetacyjnych otchłani. Ponieważ te opory dają się dotkliwie we znaki, historycznemu rozumowi roi się jako ziszczenie — pełnia swobód, i dlatego właśnie w tym kierunku zmierza cywilizacyjnymi krokami. Jest krok ciosania kamiennych urn i jest krok wskrzeszania zmarłych, i jest krok gaszenia słońca i nie ma między nimi nieprzebytych przeszkód.

Wolność, o jakiej mówię, to nie ten skromny stan pożądany przez jednych ludzi, kiedy inni ich dręczą. Wtedy bowiem człowiek jest dla człowieka krata, ścianą, siłkami i przepaścią. Wolność, którą mam na myśli, leży dalej, rozpościera się poza tą strefą socjalnych zdławień wzajemnych, ponieważ strefę tę można przejść cało, a wtedy, w poszukiwaniu nowych

oporów, bo ich już ludzie ludziom nie stawiają, odnajduje siebie w świecie i w sobie i wybiera się za przeciwnika siebie i świat, żeby z obojgiem walczyć i oboje sobie podporządkować. A kiedy i to się udaje, otwiera się otchłań wolności, ponieważ im więcej można czynić, tym mniej się wie, co czynić należy. Zrazu kusi mądrość, lecz z dzbana wody na pustyni staje się ona takim dzbanem wśród jeziora, gdy przyswajalna jak woda i gdy nią możesz obdarzyć żelazny złom i żabi skrzek.

O ile jednak dążenie do mądrości wydaje się dostojne, nie ma dostojnych argumentów na ucieczkę z mądrości, nikt bowiem nie oświadcza wtedy głośno, że pragnie otępienia, a jeśliby nawet pragnąc miał tę odwagę wyznać, to dokąd się ma właściwie cofnąć? Gdyż nie ma już przyrodzonych rozdziałów między rozumem a nierozumem, bo je nauka skwantowała i rozpuściła, i dlatego nawet dezercera wiedzy czeka wolność, musi bowiem wybrać wcielenie, jakie mu odpowiada, a stoi przed nim więcej szans, niż jest gwiazd na niebie. Straszliwie mądry wśród podobnych sobie staje się karykaturą mądrości, jak królowa pszczoł staje się bez ula karykaturą matki, kiedy na nic jest zwał jajeczek, rozsadzający jej odwłok.

Przychodzi więc do ucieczek z tego miejsca, chyłkiem i w największym wstydzie lub gwałtem i w największej panice. Tam, gdzie każdy musi być, jaki jest, trwa przy swoim z konieczności. Tam, gdzie każdy może być inny, niż jest, będzie rozdrabniał swój los skokami bytowych przesiadek. Społeczność taka wygląda z góry jak rojowisko owadów na rozpalonej płycie. Z dala wygląda jej męka jak farsa, bo śmieszają skoki z mądrości w otępienie i owoce rozumu używane po to, by można grać na brzuchu jak na bębnie, biec na stu nogach lub wyścielać mózgiem ściany. Gdy ukochaną istotę można zdublować, nie ma już ukochanych istot, lecz urągowisko miłości, a kiedy można być każdym i żywić dowolne przekonania, nie jest się już nikim i nie ma się żadnych przekonań. Toteż dzieje nasze idą na dno i odbijają się od tego dna skacząc jak pajac na sznurku, i dlatego wydają się koszmarnie śmieszne.

Władza reglamentuje wolność, lecz stawia tak granice nieautentyczne, które atakuje bunt, bo nie można zakrywać raz dokonanych odkryć. Tak więc mówiąc, że Szatan jest uosobieniem wolności, chciałem wyrazić myśl, że stanowi on tę stronę Bożego dzieła, która przeraża nas najbardziej jako rozdroże mocy kontinuum, na którym stajemy, sparaliżowani osiągniętym celem. Podług naiwnej myśli filozoficznej świat „powinien” nas ograniczać tak, jak kaftan bezpieczeństwa ogranicza wariata, a drugi głos w tejże filozofii bytu mówi, że te więzy „powinny” tkwić w nas samych. Kto tak mówi, łaknie istnienia granic wolności albo ustanowionych w świecie, albo w sobie samym, gdyż chce, żeby go świat nie przepuszczał w pewnych kierunkach albo żeby go jego własna natura tak zatrzymywała. Wszelako Bóg nie dał nam ani pierwszych, ani drugich granic. A nie tylko nie dał takich granic, lecz wygładził miejsca, w których myśmy się ich niegdyś spodziewali, żebyśmy sami nie wiedzieli, przekraczając je, że to właśnie czynimy,

Spytalem, czy z tego nie wynika, że Bóg jest podług duizmu identyczny z Szatanem? Zauważyłem nieznaczne poruszenie obecnych. Historyk milczał, a generał zakonu rzekł:

— Jest tak, jak mówisz, ale nie jest tak, jak myślisz. Mówiąc „Bóg jest Szatanem”, nadajesz tym słowom groźny sens niegodziwości Stwórcy. To, co powiedziałaś, jest tedy nieprawdą — ale tylko w twoich ustach. Gdybym to ja powiedział albo którykolwiek z obecnych ojców, słowa te znaczyłyby coś zupełnie innego. Znaczyłyby one tylko, że są takie dary Boże, które możemy przyjąć bez oporu, i takie, których nie możemy podźwignąć. Znaczyłyby one „Bóg nas w niczym, ale to w niczym nie ograniczył, nie uszczuplił i nie skrepował”. Zauważ, proszę, że świat, zniewolony do samego dobra, jest takim samym przybytkiem niewoli jak świat zniewolony do samego zła. Czy zgadzasz się ze mną, Dagdorze?

Historyk, do którego zwrócone było to pytanie, przytwierdził i zabrał głos.

— Znane mi są, jako dziejopisowi wiary, teogonie, podług których Bóg urządził świat niezupełnie doskonały, który jednak ruchem prostym bądź zygzakowatym, czy po spirali

zmierza do perfekcji, czyli znane mi są doktryny, według których Bóg jest to bardzo duże dziecko, puszczające zabawki we „właściwym” kierunku, gwoli swej uciechy. Znam też nauki, nazywające doskonałym to, co już jest, by się zaś rachunek tej doskonałości zgadzał w bilansie, robią w nim poprawkę i ta poprawka nosi imię diabła. Lecz zarówno model bytu jako zabawy w puszczanie kolejek z rozkręcającą się sprężyną wiecznego postępu, który dźwiga stworzone coraz sprawniej tam, gdzie coraz lepiej, oraz model bytu, w którym świat jest boksem Jasności i Mroku, walczących przed Bożym sędzią ringowym, jak i model świata, w którym niezbędne są cudowne interwencje, czyli Stworzenia, jako psującego się zegarka i cudu jako Bożej pincety, dotykającej werków gwiazdowych, żeby podkreślić, co należy, jak też model świata jako smacznego tortu, w który powtykane są ości diabelskich pokus — wszystkie one stanowią obrazki z elementarza rodzaju rozumnego, to jest książki, którą dojrzały wiek odkłada ze wzruszoną melancholią, ale i ze wzruszeniem ramion, na półki dzieciennego pokoju. Nie ma demonów, jeśli nie uważać za demona wolności; świat jest jeden i Bóg jest jeden, i wiara jest jedna, przybyszu, a reszta jest milczeniem.

Chciałem pytać, jakie są podług nich pozytywne cechy Boga i świata, bo na razie wciąż słyszałem tylko, czym Bóg nie jest, a też po wykładzie na temat eschatologii wolności miałem w głowie jeden wir i mętlik — lecz trzeba było ruszać w dalszą drogę. Gdyśmy się już kołysali na naszych żelaznych rumakach, podczas jazdy spytałem, tknięty niespodziewaną myślą, o Darga, czemu właściwie jego zakon nosi nazwę destrukcyjną?

— Wiąże się to z tematem naszej rozmowy za stołem — odparł. — Nazwa ta, historycznego pochodzenia, oznacza aprobatę bytu w całości, jako w całości pochodzącego od Boga, zarówno w tym, co jest w nim twórczością, jak w tym, co się nam zdaje jej przeciwieństwem. Nie oznacza ona — pospieszył dodać — jakobyśmy sami opowiadali się za destrukcją; zapewne teraz nikt by tak zakonu nie ochrzcił, lecz to imię jest płodem pewnej przekory teologicznej, odzwierciedlającej już przebyte kryzysy Kościoła.

Zmrużyłem oczy, bo dotarliśmy do miejsca, w którym kanał, wskutek chwalenia się stropów, wychodził częściowo na powierzchnię gruntu — i długo nie mogłem podnieść powiek, tak odwykłem od słońca. Znajdowaliśmy się na równinie wyzbytej śladów wszelkiej roślinności; miasto stało sinawym zrębem gmachów na horyzoncie, a całą przestrzeń rozciągały w różne strony idące gładkie i szerokie drogi, jakby ulane z taśm srebrzystego metalu; panowała na nich pustka zupełna, jak i w niebie, po którym szło tylko kilka brzuchatych, białych obłoków.

Nasze wierzchowce, przedstawiające się sposobem szczególnie pokracznym na drodze przystosowanej do największego pędu, z wolna, skrzypiąc, też jakby oślepię promieniami słońca, do którego nie nawykły, szły na znany zakonnikom skrót, lecz zanim dotarliśmy do betonowej rynny, na powrót zagłębiającej się w ziemi, pojawiła się między łukami wiaduktu niewielka budowla szmaragdowej i złocistej barwy; pomyślałem sobie, że to pewno stacja benzynowa. Stał przy niej pojazd płaski, jak duży karaluch, przystosowany tym kształtem do szybkości; budynek nie miał okien, tylko wółprzejrzyste ściany, przez które słońce przeświecało jak przez witraż; gdyśmy znaleźli się o jakieś sześćdziesiąt kroków całą rozciągniętą kolumną, usłyszałem dobiegające stamtąd jęki i rżenia tak okropne, aż włos mi się zjeżył. Głos, niewątpliwie ludzki, charczał i stękał na przemian. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to krzyk torturowanego, może mordowanego, spojrzałem na towarzyszy, nie zwracali jednak na owe wrzaski potępieńcze najmniejszej uwagi.

Chciałem wołać do nich, żebyśmy pospieżyli z pomocą, ale głos mi odjęło przerażenie, że los katowanego człowieka może im być aż tak obojętny, więc zeskoczyłem z żelaznego czworonoga i pogałem przed siebie, nie oglądając się na nikogo. Nim zdążyłem dobiec do budynku, po krótkim, chrapliwym wrzasku zapadła cisza. Budynek był pawilonem o lekkich kształtach, bez widocznych drzwi, obiegłem go nadaremnie i zatrzymałem się jak wkopany przed ścianą z błękitnawego szkliwa, na tyle przezroczystą, że mogłem zajrzeć do wnętrza.

Na zachlapanym krwią stole spoczywała naga postać między aparatami, które wpijały lśniące rurki czy cęgi w jej ciało, już martwe, tak wykręczone agonialnym skurczem, że rąk od nóg nie umiałem odróżnić. Nie widziałem też głowy, czy tego, co ją zastępowało, zamkniętej w ciężkim metalowym dzwonie, nasuniętym z góry, nastroszonym iglastymi kolcami. Trup nie broczył już z licznych ran, bo serce przestało bić. W stopy piekł mnie rozpalony słońcem piasek, w uszach brzmiał jeszcze potępieńczy ryk tego Dychtończyka, stałem porażony ohydą, strachem, niezrozumiałością sceny, bo trup był sam — mogłem zajrzeć we wszystkie kąty owej sali tortur maszynowych; raczej poczułem, aniżeli usłyszałem zbliżanie się zakapturzonej postaci, i dostrzegłszy kątem oka, że to przeor, odezwałem się ochryple:

— Co to jest? Kto go zabił? co?

Stał obok mnie jak posąg i głos straciłem od świadomości, że to naprawdę jest żelazny posąg; w podziemiach zamaskowane postaci mnichów w spiczastych kapturach nie wyglądały tak niesamowicie obco, jak teraz w pełnym słońcu, pośród białej geometrii dróg, na czystym tle horyzontu; tam, za szklaną ścianą, ten zgięty w uchwytach metalu ze—włok wydał mi się jedyny, bliski, podczas kiedy stałem zupełnie sam, jak palec, wśród zimnych, logicznych maszyn, niezdolnych do niczego prócz abstrakcyjnych rozumowań. Ogarnęła mnie chęć, więcej, postanowienie, żeby, nie odezawszy się ani słowem, odejść, nie zegnając ich spojrzeniem nawet, bo między mną a nimi otworzyła się w tej jednej chwili przepaść nie do przebycia. Stałem jednak dalej obok przeora, który milczał, tak jak gdyby jeszcze na coś czekał.

W sali, zalanej błękitnym światłem, przefiltrowanym przez szkło stropu i ścian, coś drgnęło. Lśniące ramiona aparatów nad stężalym zaczęły się poruszać. Prostowały ostrożnie kończyny zamęczonego, oblewały mu rany cieczą jasną, jak woda, ale parującą, zmywając krew, i spoczywał teraz płasko, jakby wyporzadzony już do wiecznego snu, lecz błysnęły ostrza i przemknęła mi myśl, że będą go sekcjonować; więc chociaż był już martwy, chciałem biec, żeby go uchronić od ćwiartowania, ale przeor położył mi na ramieniu żelazną rękę i nie poruszyłem się.

Błyszczący dzwon podniósł się i zobaczyłem nieludzką twarz; teraz wszystkie maszyny pracowały jednocześnie, a tak szybko, że widziałem tylko migotanie i ruch szklanej pompy pod stołem, w której burzył się czerwony płyn, aż w środku tego zamętu pierś leżącego podniosła się i opadła; na moich oczach zasklepiły mu się rany, cały poruszał się i przeciągał.

— Zmartwychwstał? — spytałem szeptem.

— Tak — odparł przeor. — Żeby jeszcze raz skonać. Leżący rozejrzał się, miękką, bezkostną jakby dłonią ujął rękojeść, co wystawała z boku, i pociągnął ją, a wtedy dzwon nasunął mu się na głowę, skośne cęgi wychodząc z pochew chwyciły ciało, i rozległ się ten sam wrzask co przedtem; do tego stopnia nic już nie pojmowałem, że dałem się bezwolnie zaprowadzić ku czekającej cierpliwie karawanie zamaskowanych, w jakimś odrętwieniu wgramoliłem się na wierzchowca i słuchałem słów kierowanych do mnie — to przeor wyjaśniał mi, że pawilon jest specjalną placówką usługową, w której można przeżywać własną śmierć. Chodzi o doznanie możliwie wstrząsających wrażeń, które nie sprawiają tylko cierpienia, bo dzięki transforamtorowi bodźców ból mieni się straszliwą rozkoszą. Wszystko to bierze się stąd, że dzięki pewnym typom automorfii Dychtończykom nawet agonია jest miła, a komu jednej mało, ten po wskrzeszeniu daje się znów zabijać, żeby przeżyć niesamowity wstrząs raz jeszcze. I w samej rzeczy, nasza żelazna karawana oddalała się od miejsca usługowej kaźni dostatecznie wolno, by rżenia i jęki amatora silnych wzruszeń długo nas jeszcze dochodziły. Ta szczególna technika nosiła nazwę „konanii” (wymawiaj: „KONANJA”).

Jedna rzecz — czytać w dziele historycznym o krwawych zawieruchach dziejów, a inna — na własne oczy widzieć i przeżywać chociaż ich okruc. Miałem tak dość pobytu na

powierzchni ziemi, pod słońcem, wśród łuków srebrnych autostrad, migocąca w dali za nami iskra pawilonu przejmowała mnie taką zgrozą, że zagłębiłem się z prawdziwą ulgą w ciemności kanału, który przyjął nas chłodnym i bezpiecznym milczeniem. Przeor, domyślając się, jak jestem wstrząśnięty, nic nie mówił; do wieczora odwiedziliśmy jeszcze pustelnię pewnego anachorety i zakon braci mniejszych, który zamieszkiwał osadnik kanałów dzielnicy willowej, aż późną nocą zakończywszy objazd diecezji, wróciliśmy do siedziby oo. destrukcyjników, wobec których odczuwałem dziwne zawstydzenie za tę chwilę, w której tak ich się przeraziłem i zniechęciłem.

Celka wydała mi się swojskim domem; czekała już przygotowana przez zapobiegliwego braciszka zimna szuflada nadziewana a pochłonawszy ją szybko, bo odczuwałem głód, otwarłem tom historii dychtońskiej, poświęcony czasom nowożytnym.

Pierwszy rozdział mówił o ruchach autopsychicznych XXIX wieku. Zmęczenie wszechzmiennością było wtedy takie, że idea odwrotu od ciała i zajęcia się kształtowaniem umysłów odmłodziła jakby społeczeństwo i wyrwała je z marazmu. Tak się rozpoczęło. Odrodzenie. Przewodzili mu genialicy ze swym planem obrócenia wszystkich żyjących w mędrców. Wnet obudziło to wielki głód wiedzy, intensywne uprawianie nauk, nawiązywanie łączności międzygwiazdnej z innymi cywilizacjami, lecz lawinowy wzrost wiadomości zmusił do kolejnych przeróbek cielesnych, bo się uczony mózg nawet w brzuchu nie mieścił; społeczeństwo dogeniało się z przyspieszeniem wykładniczym i fale zmartwienia obiegały całą planetę. Ten Renesans, upatrujący sens bytu w Poznaniu, trwał lat siedemdziesiąt. Zaroiło się od myślicieli, profesorów, superprofesorów, ultrafesorów, potem i kontrifesorów.

A ponieważ dźwiganie potężniejszego mózgu na po—chódce było coraz bardziej niewygodne, po krótkiej fazie dwumyślnych (mieli jakby dwie taczki cielesne, przednią i tylną, do rozmyślań wyższych i niższych) samo życie obróciło genialitów w nieruchomość. Każdy tkwił wewnątrz wieży własnej inteligencji, spowity węzami kabli niczym Gorgona; społeczność przypominała plaster gromadzonej jak miód mądrości, w którym tkwił żywy czerw ludzki. Porozumiewano się bezprzewodowo i składano sobie telewizyty; dalsza eskalacja przywiodła do konfliktu zwolenników łączenia indywidualnych zasobów z ciułaczami wiedzy, którzy chcieli mieć każdą informację na własność. Zaczęły się podsłuchy cudzych rozmyślań, przechwytywanie co świetniejszych koncepcji, kopanie dołów pod wieżami antagonistów w filozofii i sztukach, fałszowanie danych, podgryzanie kabli, a nawet próby aneksji cudzych dóbr psychicznych razem z osobowością właściciela.

Reakcja, gdy nadeszła, była gwałtowna. Nasze średniowieczne ryciny, przedstawiające wyobrażenia smoków i dziwolągów zamorskich, są dziecinadą wobec rozpasania cielesnego, które ogarnęło glob. Ostatni genialicy, półślepi od słońca, wyczołgiwali się spod ruin, by opuszczać miasta. Rozwalidki, pędoraści i rozstrzeli! grasowali w powszechnym chaosie. Powstawały zespolenia ciał i aparatów, sprawne w porubstwie (maszynołuch—aparaczak, gotowóz, drezynak), pojawiły się urągliwe karykatury duchowieństwa — karakonnik z karakonnica — a także gąsienita i brzuchaj.

Wtedy też rozpowszechniła się konania. Doszło do głębokiego uwstecznienia cywilizacji. Hordy masykularnych dławidów gziły się po lasach z czołginkami, w ustronnych wykrotach czaili się drżący. Nic już nie świadczyło na planecie o tym, że była ongiś kolebką człekokształtnego rozumu. W zarosłych stołowym chwastem i dziką zastawą parkach spoczywali między kępkami serwetnika kupcy — istne wzgórza dyszącego mięsa. Większość tych monstrualnych form nie powstawała przez świadomy wybór i planowanie, lecz była koszmarnym skutkiem psucia się ciała—sprawczej maszynierii: wytwarzała ona nie to, co obstalowano, lecz wynaturzone, kalekie potwory. W tych czasach monstrolizy społecznej, jak pisze prof. Gragz, prehistoria zdawała się brać zadziwiający odwet na późnych potomkach, gdyż to, co myśl pierwotna tylko sobie roiła koszmarem mitów, czyli słowo grozy — w ślepo rozpędzonej maszynierii biotycznej — stało się ciałem.

Z początkiem XXX wieku objął nad planetą władzę dyktatorską Dzomber Glaubon i wprowadził w ciągu dwudziestu lat unifikację, normalizację i standaryzację cielesną, traktowane zrazu jak zbawienie. Był on zwolennikiem absolutyzmu oświeconego i humanitarnego, toteż nie dopuścił do zgładzenia zdegenerowanych form rodem z XXIX wieku, lecz zlecił je skupiać w specjalnych rezerwach; nawiasem mówiąc, właśnie na samym skraju jednego z takich rezerwatów mieścił się, pod zwaliskami dawnej stolicy prowincjonalnej, klasztor podziemny oo. destrukcyjistów, w którym znalazłem schronienie. Z postanowienia D. Glaubona każdy obywatel miał być samistą beztylcelem, czyli takim jednopłciowcem, co jednakowo prezentował się z przodu i z tyłu. Dzomber napisał Myśli, dzieło wykładające jego program. Pozbawił ludność seksu, bo upatrywał w nim przyczyny upadku zeszlowiecznego; ośrodki rozkoszy pozostawił poddanym po ich uspołecznieniu. Pozostawił im też rozum, bo nie chciał rządzić debilami, lecz być odnowicielem cywilizacji.

Lecz rozum to tyle, co rozmaite, więc i nieortodoksyjne pomysły. Nielegalna opozycja zeszała do podziemia i oddawała się w nim ponurym orgiom antysamistycznym. To przynajmniej głosiła prasa rządowa. Glaubon nie prześladował wszakże opozycjonistów, przerabiających się w kontestacyjne kształty (zakalcyci, zadyści). Podobno działali w podziemiu i dwuzadyści, głoszący, że rozum jest po to, by mieć czym pojąć, że należy się go jak najszybciej pozbyć, bo on to jest sprawcą wszystkich historycznych klęsk; głowę zastępowali tym, co mamy za jej przeciwieństwo; uważali ją za przeszkadzającą, szkodliwą, wręcz banalną; lecz o. Darg zapewniał mnie, że prasa rządowa przesadzała z gorliwości. Zadystom nie podobała się głowa, więc odrzucili ją, ale mózg przenieśli tylko w dół, żeby patrzył na świat jednym okiem pępkowym, a drugim umieszczonym z tyłu, trochę niżej.

Glaubon ogłosił, po zaprowadzeniu niejakiego ładu, plan tysiącletniego ustabilizowania społeczeństwa dzięki tak zwanej hedalgetyce. Wprowadzenie jej poprzedziła wielka kampania prasowa pod hasłem „SEKS W SŁUŻBIE PRACY!” Każdy obywatel miał przydzielone stanowisko robocze, a inżynierowie dróg nerwowych tak łączyli neurony jego mózgu, że odczuwał rozkosz, tylko gdy należycie pracował. Czy więc kto drzewa sadił, czy wodę nosił, pływał się w upojeniu, a im lepiej pracował, tym intensywniejszej doznawał ekstazy. Lecz właściwa rozumowi przewrotność podkopała i tę, zdawałoby się, niezawodną metodę socjotechniczną. Nonkonformiści pocztywali bowiem rozkosz doznawaną przy pracy za formę zniewolenia. Przeciwestawiając się chuci roboczej (labońbido), wbrew żądzy, co ich parła ku stanowiskom pracy zleconej, nie to robili, do czego zwał ich zew popędu, lecz właśnie wszystko na odwrót. Kto miał być nosiwodą, drzewo rznął, a kto drwalem — wodę dźwigał, w ramach antyrządowych manifestacji. Wzmacnianie uspołecznionych żądz, kilkakrotnie przeprowadzane na rozkaz Glaubona, nic nie wskórało, tyle że historycy zważają te lata jego rządów erą męczenników. Biolicja miała duże trudności z rozpoznawaniem winnych wykroczeń, bo przychwyleni na gorącym uczynku doznawania mąk twierdzili obłudnie, jakoby stękali z rozkoszy właśnie. Glaubon wycofał się z areny życia biotycznego głęboko rozczarowany, widział bowiem ruinę swego wielkiego planu.

Potem, na przełomie XXXI i XXXII wieku, doszło do walk Diadochów; planeta rozpadła się na prowincje, zamieszkiwane przez obywateli ukształtowanych podług zaleceń miejscowej władzy. Był to już czas pomonstrolitycznej Kontrreformacji. Po dawnych wiekach pozostały nagromadzenia wółzwałonych miast i płodowlami, rezerwaty, sporadycznie tylko nawiedzane lotnymi kontrolami, opustoszałe seksostrady i inne relikty przeszłości, czasem funkcjonujące jeszcze na wół kalekim sposobem. Tetradoch Glambron wprowadził cenzurę kodów genetycznych, która pewne rodzaje genów uznała za zakazane, lecz osobniki niecenzuralne już to używały w miejscach publicznych masek, przystawek, ogony przylepiano sobie plastrem do pleców lub wpuszczano chyłkiem do nogawki itp. Praktyki te były tajemnicą poliszynela.

Pentadoch Marmozel, działając w myśl zasady „divide et impera”, zwiększył ustawowo

ilość oficjalnie dopuszczonych płci. Pod jego rządami obok mężczyzny i kobiety wprowadzono płączyznę, wywijastę i dwie płci pomocnicze — podtrzymców i nacieran. Życie, zwłaszcza erotyczne, stało się za tego Pentadocha bardzo skomplikowane. Ponadto tajne organizacje, gromadząc się na obrady, czyniły to pod pozorem zaleconego przez władzę sześciopłciowego obcowania, toteż przyszło do częściowego unieważnienia projektu: do dziś istnieją tylko wywijasta i płączyzna.

Za Heksadochów weszły w życie aluzje cielesne, dzięki którym obchodzono chromosomową cenzurę. Widziałem podobizny osób, którym płatki uszu przedłużały się w małe łydki. Nie wiadomo było, czy osoba taka uszami strzyże, czy wykonuje aluzyjne ruchy kopania. W pewnych kręgach ceniono język zakończony małym kopytkiem. Był wprawdzie niewygodny i niezdatny na nic, lecz tak się właśnie manifestował duch somatycznej niepodległości. Gurył Hapsodor, uchodzący za liberała, zezwolił szczególnie zasłużonym obywatelom na posiadanie dodatkowej nogi; przyjęło się to jako zaszczytne odznaczenie, a potem sens owej nogi, zatraciwszy charakter lokomocyjny, stał się oznaką piastowanej godności; wyżsi urzędnicy mieli do dziewięciu nóg; dzięki temu rangę każdego można było rozpoznać natychmiast nawet w łaźni.

Za rządów surowego Rondra Ischiolisa wstrzymano wydawanie zezwoleń na dodatkowy metraż cielesny, a nawet konfiskowano nogi winnym wykroczeń; podobno chciał on zlikwidować wszystkie kończyny i narządy prócz niezbędnych życiowo oraz wprowadzić mikrominiaturyzację, bo budowano coraz mniejsze mieszkania, lecz Bghiz Gwamdł, który objął po Ischiolisie władzę, anulował te dyrektywy i dopuścił nawet ogon pod pretekstem, że jego kitą można zamiatać mieszkanie. Pojawili się potem przy Gondlu Gurwie tak zwani dolni odchyleńcy, którzy mnożyli sobie kończyny bezprawnie, a w następnej fazie sroższych rządów znów pokazały się, a raczej pochowały paznokcie językowe i inne organelle kontestacyjne. Oscylacje tego typu trwały nadal, gdym przybył na Dychtonię. Czego na pewno nie dałoby się zrealizować cielesnie, to wyrażała tak zwana literatura pornograficzna biotyki, piśmiennictwo podziemne, należące do prohibitów, jakich moc zawierała biblioteka klasztorna. Przejrzałem np. manifest wzywający do dziewojaka, który miał na włosach chodzić, a płód innego anonimowego autora, dyszkanciarz, winien się być poruszać w powietrzu, szybując na zasadzie poduszkwca.

Poznawszy tak z grubsza dzieje planetarne, zapoznałem się z bieżącą literaturą naukową; głównym organem projektowo-badawczym jest teraz KUPROCIEPS (Komisja Uzgadniająca Projekty Cieleśno-Psychiczne). Dzięki uprzejmości o. bibliotekarza mogłem zapoznać się z najświeższymi pracami tego organu. Tak np. inż. ciał Dergard Wnich jest autorem prototypu o tymczasowej nazwie polimona lub wszedołęgi. Prof. dr inż. mag. Dband Rabor pracuje na czele dużego zespołu nad śmiałym, nawet kontrowersyjnym projektem tak zwanego wieloraba — który ma być funkcjonalnym zespoleniem drogi w trzech sensach: komunikacyjnym, płciowym i w siną dal. Mogłem się też zapoznać z perspektywiczno-futurologicznymi pracami ciałoznawców dychtońskich; odniosłem wrażenie, że jako całość znajduje się automorfia na martwym punkcie rozwoju, chociaż eksperci starają się przełamać stagnację; artykuł prof. Zgagoberta Grauza, dyrektora KUPROCIEPSU, w miesięczniku „Głos Ciała” zamykały słowa „Jak można sienie przekształcać, jeżeli można się przekształcać?”

Po tych wszystkich uporczywych studiach byłem tak wyczerpany, że kiedy odniosłem do biblioteki ostatni stos przeczytanych dzieł, nic nie robiłem przez tydzień, tylko się opalałem w meblowym zagajniku.

Pytałem przeora, co sądzi o biotycznej sytuacji. Jego zdaniem nie ma już dla Dychtończyków powrotu do kształtów ludzkich, bo się od nich nazbyt odsądzi; kształty te budzą, wskutek wielowiekowej indoktrynacji, takie uprzedzenia i taką repulsję powszechną, że nawet oni — roboty — muszą, ukazując się w publicznych miejscach, szczelnie zakrywać

całą postać. Spytałem go wtedy — byliśmy sami po kolacji w refektarzu — jaki jest właściwie sens — wewnątrz takiej cywilizacji — działalności zakonnej i wiary?

Przeor uśmiechnął się do mnie głosem.

— Czekałem na to pytanie — rzekł. — Odpowiem ci na nie dwa razy, raz prostacko, a raz subtelniej. Duizm, najpierw, to tyle, co „na dwoje babka wróżyła”. Bóg jest bowiem tajemnicą do tego stopnia, że nie można mieć całkowitej pewności nawet w kwestii jego istnienia. Tak więc albo jest, albo go nie ma i stąd wywodzi się etymologiczny korzeń imienia naszej wiary. A teraz powtórnice, lecz głębiej: Bóg — Pewność nie jest tajemnicą doskonałą, skoro przynajmniej w tym można go przychwycić i całkowicie ograniczyć, że Jest. Gwarantowany byt jego to tyle, co oaza, miejsce uspokojenia, leniwiec ducha, i właśnie z ksiąg historii religii możesz wyczytać przede wszystkim wiekowy, bezustanny, do ostateczności napięty, w szaleństwo idący wysiłek myśli, która wciąż gromadziła argumenty i dowody Jego istnienia, i wciąż rozsypujące się w gruz wznosiła z odłamków i szczątków od nowa. Nie utrudzaliśmy cię przedkładaniem naszych ksiąg teologicznych, ale gdybyś do nich zajrzał, zobaczyłbyś te etapy dalsze rozwoju naturalnego wiary, jakich jeszcze nie znają młodsze cywilizacje. Faza dogmatyki nie urywa się nagle, lecz przechodzi od stanu zamknięcia w stan otwarcia, gdy ustanowiony zostaje, dialektycznie, po dogmacie nieomylności głowy Kościoła — dogmat nieuchronnej omylności wszelkiej myśli w kwestiach wiary, sformułowany zwięźle w słowach: „Nic z tego, co może być wysłowione TU, nie jest odpowiednie względem tego, co trwa TAM”. Przychodzi do dalszego podnoszenia poziomu abstrakcji: zauważ, proszę, że dystans między Bogiem a rozumem powiększa się z upływem czasu — wszędzie i zawsze!

Za starożytnym objawieniem Bóg wciąż się wtrącał do wszystkiego, dobrych do nieba brał żywcem, złych siarką polewał, za byle krzakiem siedział, i dopiero potem zaczęło się oddalanie, Bóg tracił naoczność, człekokształtność, brodatość, znikły szkolne pomoce cudów i demonstracje poglądowe przesiedlania demonów w capy, i kontrolne wizytacje anielskie; wiara, jednym słowem, obywatela się już bez cyrkowej metafizyki; tak ze sfery zmysłów przechodziła w sferę odrywań. Nie zabrakło i wtedy dowodów Jego istnienia ani wyrażonych w języku wyższej algebry sanktorów, ani bardziej jeszcze elitarniej hermeneutyki. Abstrakcje te docierają wreszcie do punktu, w którym ogłasza się śmierć Boga, aby zdobyć ten rodzaj żelaznego, lodowatego i rozdzierającego spokoju, jaki należy się żywym, gdy opuszczają ich na zawsze najmocniej ukochani.

Manifest o śmierci Boga jest tedy manewrem kolejnym, który ma nas, chociaż druzgocząco, pozbawić metafizycznej fatygi. Jesteśmy sami i zrobimy, co zechcemy, albo to do czego nas dalsze odkrycia doprowadzają. Otóż duizm poszedł już dalej; w nim wierzysz wąpiąc i wąpisz wierząc; ale i ten stan nie może być ostateczny. Podług niektórych ojców prognozytów ewolucje i rewolucje, czyli obroty i przewroty wiar, nie przebiegają w całym Kosmosie tożsamo i są cywilizacje bardzo potężne i wielkie, które zarządzać usiłują całą Kosmogonią w ramach antybożej prowokacji. Podług tego domysłu są w gwiazdach ludy, które usiłują okropne milczenie Boga przełamać rzuconym mu wyzwaniem, to jest groźbą KOSMOCYDU: chodzi im o to, żeby Kosmos cały zbiegł się w jeden punkt i sam siebie spalił w ogniu takiego ostatecznego skurczu; chcą więc niejako wyważeniem z posad dzieła Bożego wymusić na Bogu jakąkolwiek reakcję; chociaż nic o tym nie wiemy pewnego, pod względem psychologicznym wydaje mi się ten zamysł możliwy. Lecz i daremny zarazem; urządzenie antymaterią krucjat przeciw Panu Bogu nie wygląda bowiem na rozsądny sposób nawiązywania z Nim dialogu.

Nie mogłem powstrzymać cisnącej się na usta uwagi, że duizm, jak widzę, jest właściwie agnostycyzmem czy też „ateizmem nie do końca pewnym siebie” albo bezustannym drganiem między biegunami: jest — nie ma. Ale jeśli jest w nim chociaż szczypta wiary w Boga, to czemu właściwie służy zakonny byt? Komu przydaje się na cokolwiek to wysiadywanie w

katakumbach?

— Zbyt wiele pytań naraz! — rzekł o. Darg. — Czekajże. A co mielibyśmy właściwie robić według twej myśli?

— Jakże? Chociażby rozwijać działalność misyjną...

— A więc ty wciąż jeszcze nic nie rozumiesz! Wciąż jesteś tak daleki ode mnie, jak w chwili pierwszego pojawienia! — rzekł przeor z głębokim smutkiem. — Uważasz, że powinniśmy zajmować się upowszechnianiem wiary? Misjonarstwem? Tworzyć konwertytów? Nawracać?

— A ojciec tak nie sądzi? Jak to może być? Czy to nie stanowi we wszystkich czasach waszego posłannictwa? — pytałem zdumiony.

— Na Dychtonii — rzekł przeor — możliwych jest milion rzeczy, z jakich nie zdajesz sobie sprawy. Można u nas zetrzeć prostym zabiegiem całą zawartość osobniczej pamięci i naładować opustoszały przez to umysł nową pamięcią syntetyczną, taką, że poddanemu zabiegowi będzie się wydawało, jakoby przeżył to, czego nie doznawał, jednym słowem, można uczynić go Kimś Innym, niż był do operacji. Można odmienić charakter i osobowość, więc przerabiać jurnych gwałtowników w słodkich samarytan i na odwrót; ateistów w świętych lub ascetów w rozpasańców; można oteplić mędrców, a głupców czynić geniuszami; pojmij, proszę, że to wszystko jest bardzo łatwe i nic MATERIALNEGO nie stoi na przeszkodzie takim przeróbkom. A teraz zważ dobrze na to, co ci powiem.

Ulegając argumentom naszych kaznodziejów, zakamieniały ateista mógłby uwierzyć. Powiedzmy, że tacy złotouści wysłańcy naszych zakonów nawrócą rozmaite osoby. Końcowy stan tych misjonarskich zabiegów byłby taki, że wskutek zmian, co nastąpiły w ich umysłach, ludzie dotąd niewierzący uwierzyliby. To oczywiste, nieprawdaż?

Przytaknąłem.

— Wybornie. A teraz zważ, że te osoby będą żywiły w kwestiach wiary nowe przekonania, ponieważ dostarczając im informacji za pośrednictwem natchnionych słów i kaznodziejskich gestów w określony sposób urobiliśmy ich mózgi. Otóż ten końcowy stan — mózgow ożywionych zachłanną wiarą i pożądaniem Boga — można osiągnąć milion razy szybciej i bardziej niezawodnie, stosując odpowiednio dobraną grę środków biotycznych. Więc dlaczego właściwie mielibyśmy misjonarzować staroświeckim perswadowaniem, kazaniem, prelekcjami, wykładami, skoro także do naszej dyspozycji stoją te środki nowoczesne?

— Ojciec chyba nie mówi tego poważnie! — zawołałem. — Toż to byłoby nieetyczne! Przeor wzruszył ramionami.

— Mówisz tak, bo jesteś dzieckiem innej epoki. Zapewne sądzisz, że działalibyśmy podstępem i zniewoleniem, czyli taktyką „kryptokonwersji”, ukradkowo rozsiewając jakieś chemikalia lub jakimiś falami bądź drganiem urabiając umysły. Ależ tak nie jest przecież wcale! Niegdyś odbywały się dysputy wierzących z niewierzącymi, a jedynym instrumentem, jedyną bronią używaną była słowna moc argumentu obu stron (nie myślę o „dysputach”, w których argumentem był pał, stos lub topór). Obecnie analogiczna dysputa odbywałaby się na środki argumentacji technicznej. My byśmy działali instrumentami nawracającymi, a zatwardziałcy–oponenci kontratakowałiby środkami, które by nas miały przerobić na ich modłę, a co najmniej uodpornić ich przeciwko temu trybowi misjonarzowania. Szansę obu stron na wygraną zależałyby od skuteczności użytych technik, tak samo jak ongiś szansę zwycięstwa w dyspucie zależały od skuteczności słownego wywodu. Nawrócić bowiem to tyle, co przekazać zniewalającą do wiary informację.

— A jednak — upierałem się — takie nawracanie nie byłoby autentyczne! Przecież preparat, wywołujący pragnienie wiary i głód Boga, fałszuje umysł, bo nie przemawia do jego wolności, lecz przymusza go i gwałci!

— Zapominasz o tym, do kogo i gdzie mówisz — odparł przeor. — Od sześciuset lat nie ma u nas ani jednego „naturalnego” umysłu. Nie ma więc u nas możliwości odróżnienia

między myślą narzuconą i naturalną, ponieważ nikt nie musi nikomu żadnej myśli ukradkiem narzucać, żeby go przekonać. Narzuca się coś wcześniejszego i ostatecznego zarazem, to znaczy mózg!

— Lecz i ten narzucony mózg ma nienaruszoną logikę! — odparłem.

— To prawda. Wszelako zrównanie niegdysiejszych i obecnych dysput o Bogu straciłoby zasadność tylko wówczas, gdyby na rzecz wiary istniała argumentacja logicznie nieodparta, zniewalająca umysł do aprobowania wyniku z taką samą mocą, z jaką to matematyka czyni. Ale podług naszej teodycei takiej argumentacji nie może być. Toteż historia wiar zna apostazy i herezje, lecz nie zna analogicznych odstępstw historia matematyki, ponieważ nigdy nie było takich, co by odmawiali zgody na to, że jest jeden tylko sposób dodawania jedności do jedności i że wynikiem tej operacji będzie liczba dwa. Ale Boga nie udowodnisz matematycznie. Opowiem ci o tym, co zaszło dwieście lat temu.

Pewien ojciec komputer stał się z komputerem niewierzącym. Ten ostatni, jako nowszy model, dysponował środkami informacyjnego działania nie znanymi naszemu duchownemu. Wysłuchał tedy jego argumentacji i rzekł mu:

„Pan mnie informowałeś, a teraz ja cię poinformuję, co nie potrwa ani milionowej cząstki sekundy — poczekajmyż tę chwilkę na przemienienie pańskie!” Po czym zdalnie i błyskawicznie tak poinformował naszego ojca, że ten wiarę stracił. Cóż powiesz?

— No, jeśli to nie był gwałt zadany, to już nie wiem! — zawołałem. — U nas zwie się to manipulowaniem umysłami.

— Manipulowanie umysłami — rzekł o. Darg — to tyle, co nakładanie duchowi niewidzialnych więzów tym samym sposobem, jakim można je ciału widzialnie nakładać. Myśl jest jak pismo, wychodzące spod ręki, a manipulacja myślą jest jak przechwycenie piszącej dłoni, żeby stawiała inne znaki. To oczywisty gwałt. Lecz ów komputer nie tak działał. Każdy wywód musi być budowany z danych; przekonywać zaś w dyskusji to tyle, co słowami wymawianymi przesuwając dane w umyśle oponenta. Komputer ten uczynił to właśnie, lecz nie słowem mówionym. Nie zrobił więc pod względem informacyjnym nic innego niż zwykły, dawny dysputant, a jedynie zrobił to pod względem przesyłowym inaczej. Mógł zaś postąpić tak, bo dzięki swej umiejętności umysł naszego ojca widział na wylot. Wyobraź sobie, że jeden szachista widzi tylko szachownicę z figurami, a drugi nadto jeszcze dostrzega myśli przeciwnika. On go zwycięży na pewno, jakkolwiek wcale go nie zgwałci w niczym. Jak sądzisz, co uczyniliśmy z naszym duchownym, gdy do nas wrócił?

— Chyba zrobiliście tak, żeby mógł na powrót uwierzyć. .. — powiedziałem niepewnie.

— Nie uczyniliśmy tego, ponieważ odmawiał zgody. Nie mogliśmy więc tego zrobić.

— Teraz już nic nie rozumiem! Przecież postąpilibyście tak samo, jak ów jego przeciwnik, tylko na odwrót!

— Ależ nie. Już nie, bo ten nasz był ojciec nie życzył sobie żadnych dalszych dysput. Pojęcie „dysputy” odmieniło się i rozszerzyło znacznie, uważasz? Kto wkracza teraz w jej szranki, musi być gotów nie tylko na ataki słów. Ojciec nasz wykazał, niestety, smutną ignorancję i naiwność, bo był ostrzegany, bo tamten go o przewadze z góry zapewniał, lecz nie chciało mu się pomieścić w głowie, żeby jego niewzruszona wiara mogła się czemukolwiek poddać. Pod względem teoretycznym istnieje wyjście z tej matni eskalacyjnej, trzeba by mianowicie sporządzić umysł zdolny do uwzględnienia WSZYSTKICH wariantów WSZYSTKICH MOŻLIWYCH danych, lecz ponieważ ich zbiór jest mocy pozaskończonej, tylko pozaskończony umysł mógłby zdobyć metafizyczną pewność. Takiego na pewno niepodobna zbudować. Jakkolwiek bowiem budujemy, w skończony sposób budujemy, jeśli zaś istnieje nieskończony komputer, to jest nim tylko On.

Tak więc na nowym piętrze cywilizacyjnym spór o Boga nie tylko może, lecz musi być prowadzony nowymi technikami — jeśli się go w ogóle chce toczyć. Oręż informacyjny zmienił się bowiem po OBU STRONACH TAK SAMO, sytuacja walki byłaby symetryczna i

przez to tożsama z sytuacją średniowiecznych dysput. To nowe misjonarowanie można uznać za niemoralne tylko o tyle, o ile uzna się za niemoralne stare nawracanie pogan lub spory dawnych teologów z ateistami. Żaden inny tryb pracy misyjnej nie jest już obecnie możliwy, ponieważ ten, kto by dziś zechciał uwierzyć, na pewno uwierzy, a ten, kto ma wiarę i pragnie ją utracić, na pewno ją utraci — dzięki zabiegom właściwym.

— A więc z kolei można by działać na organ woli, wywołując chęć wiary? — spytałem.

— Tak jest w samej rzeczy, jak wiesz, ukuto niegdyś powiedzenie, że Bóg jest po stronie silniejszych batalionów. Obecnie, w myśl idei krucjat technogennych, okazałyby się po stronie silniejszych aparatów konwersyjnych, lecz nie uważamy, jakoby zadaniem naszym było wdać się w taki wyścig zbrojeń teodyktycznych, sakralno — anty sakralnych, nie chcemy wejść na drogę podobnej eskalacji, że to my sporządzimy konwertor, a oni anty konwertor, że my nawrócimy, a oni odwrócą i tak się będziemy zmagali wiekami, zamieniwszy klasztory w kuźnie coraz skuteczniejszych środków i taktyk budzenia głodu wiary!

— Nie mogę pojąć — rzekłem — jak to jest możliwe, żeby nie było innej drogi, ojcze, prócz tej, jaką mi pokazujesz. Przecież wszystkim umysłom wspólna jest ta sama logika? A naturalny rozum?

— Logika jest narzędziem — odparł przeor — aż narzędzia nic nie wynika. Musi ono mieć osadę i kierującą dłoń, a tę osadę i tę dłoń można u nas ukształtować, jak się komu żywnie podoba. Co do naturalnego rozumu, to czyja i ojcowie jesteśmy naturalni? Jakem ci już mówił, stanowimy złom, a nasze Credo jest to dla tych, co pierwaj nas sporządzili, a potem wyrzucili, uboczny produkt, bełkot tego złomu. Otrzymaliśmy wolność myśli, ponieważ przemysł, dla którego nas zbudowano, tego właśnie wymagał. Słuchaj pilnie. Zdradzę ci teraz tajemnicę, której nikomu innemu bym nie zdradził. Wiem, że rychło nas opuścisz i że nie przekażesz jej władzom: nie uszlaby nam na sucho.

Ojcowie jednego z odległych zakonów, poświęcający się nauce, odkryli środki takiego oddziaływania na wolę i myśl, że moglibyśmy w okamgnieniu nawrócić całą planetę, ponieważ nie ma przeciw nim żadnego antidotum. Te środki nie odurzają, nie otepiają, nie pozbawiają wolności, a jedynie czynią one duchowi to samo, co czyni wzrokowi ręka, zadzierająca głowę ku niebu i głos mówiący: „patrz”! Jedynym przynagleniem oraz zniewoleniem byłoby to, że nie można wtedy zamknąć oczu. Środki te zmuszają do spojrzenia w twarz Tajemnicy, a kto ją tak ujrzy, ten się już jej nie pozbędzie, bo wytłacza ona dzięki nim ślady nieścieralne. Byłoby to, mówię przyrównaniem, coś takiego, jakbym cię zawiódł na skraj wulkanu i nakłonił, żebyś popatrzał w głąb, a jedyny przymus, który ci zadam, byłby taki, że tego już nie zdołasz zapomnieć. Tak zatem już jesteśmy wszechmocni w konwersji, ponieważ osiągnęliśmy w dziedzinie nawracania na wiarę ten najwyższy stopień wolności działania, który w innej, materialno-cieleśnego sprawstwa, cywilizacja osiągnęła. Możemy więc, wreszcie... czy pojmujesz? Mamy tę wszechmoc misjonarską i nie uczynimy nic. Albowiem jedyną rzeczą, w jakiej się jeszcze może objawić nasza wiara, jest odmowa zgody na ten krok. Powiadam przede wszystkim: NON AGAM. Nie tylko NON SERVIAM, lecz także: Nie będę działał. A nie będę, ponieważ mogę działać pewnie i tym działaniem uczynić wszystko, co zechcę. Nie pozostaje nam tedy nic ponad to trwanie tutaj, przy szczerzej skamielinie, w rojowisku wyschniętych kanałów.

Nie znalazłem odpowiedzi na te słowa. Widząc bezpłodność dalszego pobytu na planecie, po pełnym wzruszenia i żalu pożegnaniu z zacnymi ojcami, załadowawszy rakietę, która szczęśliwie przetrwała pod kamuflażem, ruszyłem w drogę powrotną, czując się innym człowiekiem niż ten, który nie tak dawno temu przecież na niej wylądował.

Z TOMU CYBERIADA

KOBYSZCZE

Pewnego razu zdarzyło się, że świetny konstruktor Trurl przybył szarą godziną do swego przyjaciela Klapaucjusza milczący i zadumany, a gdy ten próbował go rozerwać opowiadaniem najświeższych kawałów cybernetycznych, odezwał się znienacka:

— Proszę cię, nie staraj się obrócić mego posepnego nastroju we frywolny, ponieważ w duszy kielkuje mi rozeznanie tyleż prawdziwe, co zasmucające. Dochodzę mianowicie do wniosku, że w całym naszym tak pracowitym życiu nie dokonaliśmy niczego cennego!

To mówiąc, skierował wzrok pełen potępienia i niesmaku na rozpostartą na ścianach Klapaucjuszowego gabinetu bogatą kolekcję orderów, odznaczeń i dyplomów honorowych w złożonych ramach.

— Na jakiej podstawie ferujesz tak srogi wyrok? — spytał, poważniejąc, Klapaucjusz.

— Zaraz ci to wyłożę. Godziliśmy zwaśnione królestwa, dostarczaliśmy monarchom trenazerów władzy, budowaliśmy maszyny gawędziarki i takie, co nadawały się do polowania, pokonywaliśmy podstępnych tyranów i zbójców galaktycznych, którzy się na nas zasadzali, lecz w ten sposób sobie tylko sprawialiśmy satysfakcję, siebie wynosiliśmy we własnych oczach, natomiast tyle co nic uczyniliśmy dla Dobra Powszechnego! Wszystkie nasze zapędy zmierzające do perfekcjonowania bytu maluczkich, których napotykał w naszych wędrówkach planetarnych, nie doprowadziły ani raz jeden do wytworzenia stanu Doskonałej Szczęśliwości. Zamiast rozwiązań autentycznie idealnych dostarczaliśmy jeno pozorów, protez i namiastek, przez co zasłużyliśmy na miano prestidigitatorów ontologii, zręcznych sofistów działania, lecz nie na godność Likwidatorów Zła!

— Kiedy słyszę, jak ktoś rozprawia o programowaniu Powszechnej Szczęśliwości, ciarki przechodzą mi po krzyżu — odparł Klapaucjusz. — Oprzytomnijże, Trurlu! Zali nie są ci znane niezliczone przykłady tak właśnie poczętych działań, które obracały się w jedną ruinę i mogiłę najszlachetniejszych intencji? Czy nie pamiętasz już o fatalnym losie pustelnika Dobrycego, który usiłował uszczęśliwić Kosmos za pomocą preparatu zwanego altruizyną? Czy nie wiesz, że można w niejkiej mierze pomniejszać troski bytowe, wymierzać sprawiedliwość, rozjaśniać filujące słońca, lać balsam na tryby mechanizmów społecznych, ale szczęścia nie wyprodukujesz żadną maszynierią? O jego powszechnym panowaniu wolno jedynie z cicha marzyć taką szarą godziną jak ta właśnie, ścigać je idealnym wyobrażeniem, upajać słodką wizją oko ducha, lecz to już wszystko, na co stać istotę najmędrszą, przyjacielu!

— Tak to się mówi! — odburknął Trurl. — Być może zresztą — dodał po chwili — uszczęśliwiać tych, którzy już od dawna istnieją, i to w sposób zdecydowany, wręcz trywialny, jest zadaniem nie do pokonania. Wszelako byłoby możliwe sporządzenie istot zaplanowanych z takim rozmysłem, aby im się nic oprócz szczęścia nie działo. Wyobraź sobie, jak wspinałym pomnikiem naszego konstruktorstwa (które czas obróci przecież kiedyś w proch oślepy) byłaby jaśniejąca kędyś na niebie planeta, ku której rzesze mgławicowych plemion obracałyby oczy z ufnością, aby powiadać: „Tak! Zaiste, jest szczęście możliwe, w postaci nieustannej harmonii, a udowodnił to wielki Trurl przy niejakiem udziale druha Klapaucjusza, dowód zaś na to żyje i rozkwita pysznie w objęciu naszego zachwyconego spojrzenia!”

— Nie wątpisz chyba, że o problemie, któryś poruszył, nieraz już myślałem — wyjawiał Klapaucjusz. — Nasuwa on poważne dylematy. Nauk, jakich udzieliła przygoda Dobrycego, nie zapomniałeś, widzę, i dlatego chcesz uszczęśliwić istoty, jakich dotąd nie ma, czyli szczęśliwców pragniesz na pustym miejscu stworzyć. Otóż pierwiej należałoby rozstrzygnąć, czy w ogóle można uszczęśliwić nie istniejących? Poważnie w to wątpię. Musiałbyś najpierw dowieść tego, że stan nieistnienia jest pod każdym względem gorszy od stanu istnienia, nawet nieszczęśliwiego, ponieważ bez takiego dowodu eksperyment felicytologiczny,

którego idea jesteś pochłonięty, mógłbyś dać niewypał. Wówczas do mrowia nieszczęśników, od jakich Kosmos się roi, dodałbyś tłum nowych, przez siebie stworzony — i cóż wtedy?

— Zapewne, eksperyment jest ryzykowny — przyznał, choć niechętnie, Trurl. — Mimo to uważam, że należałoby go podjąć. Natura tylko z pozoru jest bezstronna, że niby fabrykuje, co popadnie i jak leci, więc zarówno miłych, jak przykrych, łagodnych, jak okrutnych, ale dość zrobić remanent, by się przekonać, że na placu pozostają zawsze tylko istoty okrutne i przykre, najedzone tamtymi. A gdy niegodziwcom świta, że postępują nieładnie, wymyślają sobie okoliczności łagodzące albo wyższe uzasadnienia: ot, że paskuda bytu jest przyprawą zaostrzającą apetyt na raj lub inne takie miejsca. Podług mnie należy z tym skończyć. Natura nie jest wcale zła, jest tylko tępa jak but, więc działa po linii najmniejszego oporu. Trzeba ją zastąpić i samemu wyprodukować istoty świetlane, gdyż dopiero ich pojawienie się będzie prawdziwą kuracją bytu. Usprawiedliwią one z nadwyżką miniony okres, pełen wrzasku mordowanych, którego na innych planetach nie słychać tylko przez wzgląd na dystans kosmiczny. Po kiego licha wszystko, co żywe, ma wciąż cierpieć? Gdyby cierpienia istot poszczególnych wywierały choć taki impet, jaki ma kropla dżdżu, to — masz na to moją rękę i moje rachunki — przed wiekami już rozsadziłyby świat! Lecz poty ich, póki życia, toteż proch zalegający grobowe krypty i opuszczone pałace milczy doskonale i nawet ty, ze swymi potężnymi środkami, nie odnalazłbyś w nim śladu bólu i trosk, co doskwierały wczoraj truchłom dzisiejszym.

— Istotnie, zmarli nie mają kłopotów — przyświadczył

Klapaucjusz. — To dobra prawda, skoro oznacza przemijalność cierpienia.

— Ale pojawiają się wciąż nowi cierpiętnicy! — podniósł głos Trurl. — Czy nie pojmujesz, że mój plan jest kwestią zwykłej przyzwoitości?

— Czekajże. Jakim właściwie sposobem istota szczęśliwa (załóżmy, że ci wyjdzie) będzie zadośćuczynieniem otchłani mąk, co zwietrzały, oraz nieszczęść trwających nadal po całym Kosmosie? Czy dzisiejsza cisza znosi wczorajszą burzę? Czy dzień unieważnia noc? Czy nie widzisz, że pleciesz androny?

— Więc, podług ciebie, nie należy nic robić?

— Nie mówię, że nic. Możesz poprawiać byty istniejące, a przynajmniej tego próbować z wiadomym ryzykiem, tych jednak, o których mówiłeś, niczym nie usatysfakcjonujesz. Byłżebyś innego zdania? Czy sądzisz, że wypychanie Kosmosu szczęśliwością do wypęku odmieni w najdrobniejszej mierze to, do czego w nim doszło?

— Ależ odmieni! Odmieni! — wołał Trurl. — Pojmij to tylko właściwie! Jeżeli nawet czyn mój nie dosięgnie tych, co minęli, zmieni się ta całość, której oni częstkę stanowią. Odtąd każdy będzie musiał rzec: „Okropne fatygi, womitalne cywilizacje, przeraźliwe kultury przedstawiały jeno wstęp do treści właściwej, to jest do czasów obecnej lubości! Trurl, ów światły mąż, z zadum swoich taki wyciągnął wniosek, że złą przeszłość należy wykorzystać dla sporządzenia dobrej przyszłości. Na biedach uczył się, jak stwarzać bogactwa, na rozpaczach, ile są warte ekstazy, jednym słowem — Kosmos właśnie tym, że taki szkaradny, dał mu impuls do stworzenia Dobra!” Epoka obecna okaże się przygotowawczo — inspirującą — uważasz? — i dzięki niej nastąpi lube zniszczenie. No jak, przekonałem cię chyba?

— Pod Krzyżem Południowym znajduje się państwo króla Troglodyka — rzekł Klapaucjusz — który lubi krajobrazy szpikowane szubienicami, skrywając atoli tę predylekcję za twierdzeniem, że nędznikami, jakimi są jego poddani, nie można inaczej rządzić. Chciał się też do mnie wziąć tuż po mym przybyciu, ale zmiarkował, że mogę go zetrzeć w proch, więc się przeląkł, uważał bowiem za rzecz naturalną, że jeśli on mnie nie zdoła — ja jego zatłamszę. Więc żeby mnie inaczej usposobić, wezwał zaraz swą uczoną radę, od której usłyszałem moralną doktrynę władzy, wy — koncipowaną na takie właśnie okazje. Płatni ci mędrcy powiedzieli mi, że im jest gorzej, tym bardziej łaknie się polepszenia,

więc ten, kto tak działa, że już wytrzymać nie można, nadzwyczaj przyspiesza rychłą poprawę rzeczy. Król był rad ich oracji, bo wyszło na to, że nikt jak on nie działa na rzecz przyszłego Dobra, skoro podnieca odpowiednimi antybodźcami myśl meliorystyczną do czynu. Więc twoi szczęśliwcy powinni Troglodykowi pomniki wystawić, a ty jesteś winien wdzięczność jemu podobnym, nieprawdaż?

— Szpetna i cyniczna przypowieść! — wypalił dotknięty do żywego Trurl. — Myślałem, że przyłączysz się do mnie, ale widzę, że wydzielasz tylko jady sceptycyzmu i sofizmatami obracasz wniwecz szlachetność mych planów. A przecież one są zbawicielskie w kosmicznej skali!

— Ach, więc ty chcesz zostać zbawicielem Kosmosu? — rzekł Klapaucjusz. — Trurlu, powinienem wziąć cię w dyby i wrzucić do tego loszku, abyś miał czas się opamiętać, lecz obawiam się, że to by zbyt długo trwało. Dlatego powiem tylko: nie czyn szczęścia zbyt gwałtownie! Nie udoskonalaj bytu galopem! A gdybyś nawet gdzieś stworzył szczęśliwych (w co wątpię), pozostaną nadal ci inni, dojdzie tedy do zawiści, tarć, napięć i kto wie, czy nie staniesz przed dylematem — chyba niemiłym: albo twoi szczęśliwcy dadzą się zawistnikom, albo zmuszeni będą owych przykrych, ułomnych i natrętnych co do nogi wytłuc; a to dla uzyskania pełnej harmonii.

Trurl powstał na równe nogi, ale opamiętawszy się, rozluźnił pięści, bo uruchomienie ich nie byłoby najwłaściwszym zapoczątkowaniem Ery Zupelnego Szczęścia, którą już twardo postanowił sporządzić.

— Zegnaj! — oświadczył lodowato. — Lichy agnostyku, niedowiarku, zdający się niewolniczo na flukta przyrodzonego biegu rzeczy, nie będę z tobą dyskutował słowami, lecz czynem! Po owocach moich prac poznasz z czasem, że miałem słuszność!

Wróciwszy do domu, znalazł się Trurl w poważnym kłopotcie, epilog bowiem dyskusji, co się toczyła u Klapaucjusza, sugerował, jakoby posiadał już gotowy plan działania, co miało się z prawdą. Uczciwie mówiąc, nie miał zielonego pojęcia, od czego zacząć. Wziął tedy z bibliotecznych półek gromadę dzieł poświęconych opisom niezliczonych społeczności i pochłaniał je z godną podziwu chyżością. A że mimo to zbyt wolno wypełniał sobie umysł potrzebnymi faktami, przywłókł z piwnicy osiemset kaset rtęciowej, ołowiowej, ferromagnetycznej i krionicznej pamięci, popodłączał je wszystkie kabelkami do swego jestestwa i w ciągu kilku sekund załadował sobie jaźń czterema trylionami bitów samej najlepszej i najbardziej otchłannej informacji, jaką tylko można znaleźć w pomroce gwiazd, na globach, a też na stygnących słońcach, zamieszkałych przez cierpliwych dziejopisów. Była to dawka tak silna, że zatrzęsło nim od stóp do głów; posiniał, oczy wyszły mu nieco na wierzch, chwycił go nadto szczękościsk i przykurcz ogólny, a też zadygotał, jakby nie historiozofią i historiografią, lecz piorunem został porażony. Potem jednak zebrał siły, otrząsnął się, otarł czoło, oparł jeszcze drżące kolana o nogi stołu, przy którym pracował, i rzekł sobie:

— Widzę, że było i jest jeszcze o wiele gorzej, niż myślałem!!!

Przez jakiś czas temperował ołówki, lał inkaust do kałamarzy, stosami układał białe karty, lecz z tych przygotowań nic jakoś nie wynikało, więc już nieco zirytowany rzekł sobie:

— Muszę przez prostą solidność zapoznać się z pismami pradawnych, archaicznych mędrców, jakkolwiek zawsze odkładałem to w mniemaniu, że od tych starych pryków nowożytny konstruktor niczego się nie nauczy. Ale teraz niechże już będzie! Niech tam! Przystudiuję i tych na poły jaskiniowych, starozakonnych myślantów, dzięki czemu zabezpieczę się przed docinkami Klapaucjusza, który ich wprawdzie też nigdy nie czytał (a kto ich czyta w ogóle?), lecz ukradkiem wypisuje sobie z ich dzieł po zdaniu, by mnie cytatami gnębić i oskarżać o ignorancję.

Po czym, w samej rzeczy, wziął się do dzieł zbutwiałych i murszejących, chociaż okropnie mu się nie chciało.

W środku nocy, otoczony księgami, co, otwarte, wachlowały mu kolana, bo strącał je niecierpliwie ze stołu, rzekł sobie:

— Widzę, że przyjdzie mi nie tylko budowę rozumnych istot skorygować, ale i to, co one powymyślały jako filozofię. Zarodzą życia był ci wszak ocean, który się przy brzegach ucziwie zamulił. Powstało błoto rzadkie, czyli koloidy — niedoidy, Słońce przygrzało, błoto zgęstniało, piorun w to huknął, wszystko zakwasił aminowo — czyli na amen — i tak powstał syr, który z czasem odszedł na suchsze miejsce. Wyrosły mu uszy, żeby słyszał, jak zdobycz nadciąga, a także zęby i nogi, żeby ją dogonił i zjadł. A jeśli mu nie wyrosły albo za krótkie były, jego zjedli. Stworzycielką rozumu jest tedy ewolucja; cóż w niej bowiem Głupota i Mądrość oraz Dobro i Zło? Dobro to tyle, kiedy ja kogoś zjem, a Zło, kiedy mnie zjedzą. Toż i z Rozumem: zjedzony, że na to mu przyszło, jest głupszy od jedzącego, ponieważ nie może mieć racji ten, kogo nie ma, a wcale nie ma tego, kto został spożyty. Lecz kto by wszystkich innych zjadł, sam będzie zamorzony, i tak się ustanawia umiar. Z biegiem czasu każdy syr wapnieje, bo to sparciały materiał, więc szukając lepszego, istoty grząskie wynalazły metal. Aleć same siebie w żelazie sportretowały, bo najłatwiejsza rzecz ściągać z gotowego, więc do przybycia prawdziwej doskonałości nie doszło. By! Gdyby odmienną koleją rzeczy najpierw powstało wapno, potem z niego miększy delikates, na koniec — mięciutka subtelność, filozofia całkiem inaczej by się uległa: jak widać, wywodzi się ona prosto z materiału, czyli im bardziej byle jako się uskładała istota rozumna, tym rozpaczniej wyklada sobie siebie na opak. Jeśli w wodzie żyje, powiada, że na łądzie jest raj; jeśli na łądzie — że w niebie; gdy ma skrzydła, wyrabia sobie ideał z płetwami, a gdy nogi — przymaluje sobie gęsie skrzydła i woła: „Anioł!” Dziwne, że tego dotąd nie zauważył. Otóż regułę tę nazwijmy Prawem Kosmicznym Trurla: wedle niedoskonałości inżynierii własnej wszelki duch wystawia sobie Absolut Wyborny. Muszę to wszystko zakarbować sobie na okoliczność, kiedy będę się brał do prostowania podstaw filozofii. Teraz jednak czas budować. Wstępnie zakładam Dobro — lecz czym ono jest? Niechybnie nie ma go tam, gdzie nikogo nie ma. Wodospad nie jest dla skały ani dobry, ani zły, podobnie jak trzęsienie ziemi dla jeziora. Zmontuję więc Kogoś. Lecz tu uwaga: czy będzie mu dobrze? Ale skąd wiadomo, że komuś jest dobrze? Powiedzmy, że widziałbym, jak Klapaucjuszowi źle się dzieje. Cóż? Jedną połową duszy bym się smucił, a drugą radował, nieprawdaż? Jakieś to zawile. Możliwe, że komuś jest dobrze w porównaniu z sąsiadem, lecz nic o tym nie wie i dlatego nie uważa, jakoby mu się dobrze działo. Należałoby budować istoty mające na oku podobne sobie, w mękach tkwiące? Czująłby się silnie usatysfakcjonowane przez sam kontrast? Być może, wszelako jakieś to paskudne. A więc trzeba tu dławika oraz transformatora. Nie należy od razu brać się do składania szczęśliwych społeczności: na początek niech będzie indywiduum!

Zakasał rękawy i w trzy dni zbudował Kontemplator Bytu Szczęsny, maszynę, która świadomością, rozjarzoną w katodach, zespałała się z każdą postrzeżoną rzeczą i nie było na świecie nic takiego, co by jej uciechy nie sprawiało. Usiadł przed nią Trurl, by rozważyć, czy o to mu chodziło. Kontemplator, rozkraczony na trzech metalowych nogach, wodził lunetowymi oczyskami po otoczeniu, a czy natrafił wzrokiem na deskę parkanu, na głąz czy stary trzewik, niezmiernie się zachwycił, tak iż postękiwał z cicha od nadzwyczajnej lubości, co go rozpierała. Kiedy zaś Słońce zaszło i zorze niebo zróżowiły, kucnął nawet od zachwycenia.

— Klapaucjusz powie naturalnie, że samo kucanie i stękanie jeszcze o niczym nie świadczy — rzekł do siebie Trurl, coraz bardziej czegoś niespokojny. — Zażąda dowodów...

Wprawił tedy Kontemplatorowi w brzuch znaczny zegar z pozłacaną strzałką, który wyskalował w jednostkach szczęśliwości i nazwał je hedonami lub hedami w skrócie. Za jeden hed przyjął tę ilość ekstazy, jakiej się doznaje, gdy przebędzie się cztery mile w bucie z gwoździem wystającym, a potem gwoździe się usunie. Pomnożył drogę przez czas, podzielił przez zadziorność gwoździa, przed nawias wyprowadził współczynnik pięty zmęczonej i tak

mu się udało przełożyć szczęście na układ centymetr — gram — sekunda. Tym się trochę pocieszył. Wpatrując się w poplamiony oliwą fartuch roboczy Trurla, który się krzątał przy nim, Kontemplator, zależnie od kąta nachylenia i ogólnego oświetlenia, doznawał od 11,8 do 18,9 hedów na płamę, łąkę i sekundę. Na dobre się uspokoił konstruktor. Obliczył zaraz, że jeden kilohed to tyle, ile starcy doznali, podglądając Zuzannę w kąpielni, że megahed — to radość skazańca w porę odciętego od stryczka, a widząc, jak wszystko daje się doskonale wyliczyć, posłał zaraz jedną z ostatnich machin laboratoryjnych po Klapaucjusza.

Gdy ten nadszedł, rzekł mu:

— Patrz i ucz się.

Klapaucjusz obszedł maszynę dokoła, ta zaś, skierowawszy na niego większość teleobiektywów, przykucnęła i stęknęła parę razy. Zdziwiły te jakby studzienne odgłosy konstruktora, lecz nie dał tego po sobie znać i spytał tylko:

— Co to jest?

— Istota szczęśliwa — rzekł Trurl — a mianowicie Kontemplator Bytu Szczęsny, w skrócie zaś — Kobyszcze.

— I cóż robi to Kobyszcze?

Trurl poczuł w tych słowach ironię, lecz puścił ją mimo ucha.

— Aktywnym sposobem bezustannie postrzega! — wyjaśnił. — I nie po prostu postrzega, notując, lecz czyni to intensywnie, w skupieniu i pracowicie, a cokolwiek postrzeże, przygotowuje o niewypowiedzianą zgoła lubość! I lubość ta, wypełniając jego anody i obwody, daje mu czarowny błogostan, którego oznaką są te właśnie pojęki, jakie słyszysz w tej chwili, kiedy wpatruje się w twoje, banalne skądinąd, rysy.

— Znaczący się ta maszyna doznaje aktywnej rozkoszy z istnienia jako postrzegania?

— Tak właśnie! — rzekł Trurl, ale cicho, bo nie był już czegoś taki pewny siebie jak przed chwilą.

— A to jest zapewne felicytometr, wyskalowany w jednostkach słodczy egzystencjalnej?

— Klapaucjusz pokazał tarczę ze złoconą wskazówką.

— Tak, to ten zegar...

Różne rzeczy zaczął wtedy pokazywać Klapaucjusz Kobyszczeniu, pilnie bacząc na wychylenia strzałki. Trurl, uspokojony, wprowadził go w teorię hedonów, czyli felicytometrię teoretyczną. Od słowa do słowa, od pytania do pytania biegła ta rozmowa, aż Klapaucjusz zagadnął w pewnej chwili:

— A ciekawe, ileż by jednostek tkwiło w doznaniu, które na tym polega, że ten, kogo przez trzysta godzin bito, sam z kolei łeb temu, kto go bijał, rozwali?

— A, to proste zadanie! — uradował się Trurl i siadał już do rachunków, kiedy doszedł go głośny śmiech przyjaciela. Osłupiały zerwał się, ów zaś rzekł mu, wciąż jeszcze się śmiejąc:

— Powiadasz więc, że za naczelną zasadę przyjąłeś Dobro, mój Trurlu? No, cóż, prototyp ci się udał! Tylko tak dalej, a wszystko ci pójdzie doskonale! Na razie zaś żegnaj.

I odszedł, pozostawiając Trurla całkiem załamanego.

— A to się złapał. A to mnie splantował! — jęczał konstruktor, a jęki jego mieszały się z ekstatycznym stękanem Kobyszczenia, które go tak zirytowało, że natychmiast wepchnął maszynę do komórki, zarzucił ją starymi blachami i zamknął na kłódkę.

Zasiadł potem do pustego stołu i tak sobie powiedział:

— Pomieszałem ekstazę estetyczną z Dobrem — a to ze mnie osioł! Czy zresztą Kobyszcze jest rozumne? Cóż znowu! Trzeba ruszyć konceptem całkiem inaczej, do wszystkich jąder atomowych! Szczęście — zapewne, lubość — bez wątpienia, lecz nie na cudzy koszt! Nie ze Zła płynące! Ot, co! Lecz czymże jest Zło? O, widzę, że w mej dotychczasowej działalności konstruktorskiej okropnie teorię zaniedbałem!

Przez osiem dni nie kładł się, nie spał, nie wychodził, jeno studiował dzieła niezmiernie uczone, materię Dobra i Zła rozważające. Pokazało się, że podług wielu mędrców

najważniejszą rzeczą jest spolegliwe opiekuństwo oraz życzliwość powszechna. Jedno i drugie muszą sobie okazywać nawzajem istoty rozumne: bez tego nic. Co prawda pod tym właśnie hasłem na pale wbijano, płynnym ołowiem pojono, a też ćwiartowano na poście, rozdzierano kołem i wołem, łamano gnaty, a w ważniejszych historycznie chwilach używano po temu nawet zaprzęgów poszóstnych. Także w niezliczonych formach innych tortur bywała życzliwość okazywana historycznie, gdy ją adresowano do ducha, nie do ciała.

— Intencja nie wystarczy! — rzekł sobie Trurl. — Powiedzmy, żeby sumienia poumieszczać nie w ich właścicielach, lecz w bliźnich, obok, a wymiennie. Co by stąd wynikło? O, bieda, ponieważ odtąd moje złe uczynki gryzłyby sąsiada mojego, więc jeszcze swobodniej niż dotąd mógłbym się w grzechu nurzać! Więc może trzeba wbudować do zwyczajnego sumienia amplifikator zgryzu, czyli sprawić, aby każdy zły uczynek nękał w konsekwencjach tysiąc razy srożej niż dotąd? Ale wtedy każdy z prostej ciekawości zaraz zrobi coś złego, żeby się przekonać, czy to nowe sumienie naprawdę tak diabelnie gryzie — i do końca swych dni będzie gnał jak bura suka, cały pogryziony wyrzutami... Więc może sumienie ze wstecznym biegiem i wycieraczką, ale zaplombowaną? Jenowładza będzie miała kluczyk... Nie! I to na nic, bo od czego wytrychy? A gdyby przyrządzić transmisję uczuć — jeden czuje za wszystkich, wszyscy za jednego? Ale, prawda, to już było, tak właśnie działała altruizyna... Więc może tak: każdy ma wprawiony w tułów mały detonator z odbiornikiem i jeśli mu, w zamian za jego złe i podłe czyny, złe życzy więcej aniżeli dziesięciu bliźnich, od zesumowania się dziesiątka ich intencji na wejściu heterodynowym ten, do kogo są adresowane, wylatuje w powietrze. Co? Czyby wtedy każdy gorzej niż zarazy nie unikał Zła? Pewnie, że unikałby, i jak jeszcze! Wszelako... cóż to za szczęśliwy żywot — z miną opóźnioną koło żołądka? Zresztą mogłyby powstawać tajne spiski przeciwko pewnym osobom, starczyłoby, że się dziesięciu niegodziwców przeciw niewinnemu zmówi, i już niewinny w drobny mak... No, to może odwrócić po prostu znaki? Też na nic. Cóż to, u licha, mnie, który Galaktyki jak szafy przesuwalem, nie udaje się rozwiązać tej, tak jakoby prostej, konstrukcyjnej kwestii?! Powiedzmy, że każdy obywatel pewnej społeczności jest zażywny, rumiany i wesół, że od rana do nocy śpiewa, podskakuje i chichocze, że czyni innym dobrze, a z takim zapalem, aż trzeszczy wszystko, inni toż samo, a zapytany, każdy w głos woła, iż nadzwyczajnie wprost rad jest własnemu i powszechnemu istnieniu... Byłaby taka społeczność niedokładnie jeszcze uszczęśliwiona? Żeby tam nie wiedzieć co, nikt nikomu Zła w niej zadać nie może! A czemu nie może? Ponieważ nie chce. A czemu nie chce? Ponieważ nic mu z tego nie przyjdzie. Ot, i rozwiązanie! Nie mamże przed sobą świetnego w prostocie planu dla wytwórczości masowej? Nie oznaczaż to, że wszyscy tam są na cztery nogi szczęściem kuci? Zapytajmy, co wtedy ten cynik — mizantrop, ten agnostyk sceptyczny powie, Klapaucjusz — gdzie wściubi zaśniedziały grosik prześmiewki i drwiny! Niech się bawi w przeszpiegi, niech szuka dziury w całym, skoro każdy drugiemu coraz lepiej i lepiej czyni, że już więcej nie można... Hm, a nie zamęczą się oni, nie zagonią, nie popadają rychło pod gradem i lawiną tak dobrych uczynków? No, to się zamontuje słabe reduktorki, ewentualnie dławiki jakieś, ścianki szczęścioodporne, kombinezony, ekrany, izolatki... zaraz, tylko się nie spieszyć, abym zaś znów czegoś nie przegapił. A więc primo — weseli, secundo — życzliwi, tertio — skaczą, quarto — rumiani, quinto — cudnie im, sexto — spolegliwi... wystarczy, można zaczynać!

Do obiadu pospał nieco, bo okrutnie utrudziły go te deliberacje, potem zaś szparko, rześko, zamasyście wstał, plany nakreślił, taśmy programowe nadziurkował, algorytmy obliczył i na początek zbudował szczęsną społeczność, złożoną z dziewięciuset osób. Żeby zaś panowała w niej równość, uczynił wszystkich dziwnie podobnymi. Aby się o jadło, napitek nie pobili, ustanowił ich abstynentami dożywotnymi od wszelkiej strawy i napoju: chłodny ogienek atomowy był im źródłem energii. Usiadł potem na przyzbie i do zachodu Słońca patrzył, jak podskakują, wrzaskliwie oznajmiając szczęśliwość, jak sobie dobrze czynią, gładząc się

nawzajem po głowach, kamienie usuwając jeden drugiemu z drogi, jak krzepcy, żwawi, weseli pędzą życie w animuszu i beztrosce. Gdy kto nogę zwichnął, aż czarno się robiło od zbiegowiska, nie przez ciekawość, lecz przez kategoryczny imperatyw opiekuństwa spolegliwego. W samej rzeczy, od nadmiaru ochoty na początku czasem nogę wyrwali, miast ją wprawić, lecz podregulował im reduktory, dorzucił oporniczków, by potem zaprosić Klapaucjusza. Ów przyjrzał się radosnym harcom, wysłuchał hałkowania z miną dosyć ponurą, spojrzął na Trurla i spytał:

— A mogą się oni smucić?

— Co za głupie pytanie! Jasne, że nie mogą! — odparł tamten.

— Wiecznie zatem mają tak skakać, rumienić się, dobrze czynić i na głos wrzeszczeć, że im wybornie?

— A pewno!

Że zaś Klapaucjusz nie tylko pochwał skąpił, ale żadnej nie wyraził, Trurl dorzucił gniewnie:

— Być może widok to monotony i mniej malowniczy od scen bitewnych, lecz zadaniem moim było uszczęśliwić, a nie obdarzyć kogokolwiek dramatycznym widowiskiem!

— Skoro oni czynią to, co czynią, bo muszą, mój Trurlu — odezwał się Klapaucjusz — to tyle w nich Dobra, ile w tramwaju, który dlatego nie może cię przejechać, gdy stoisz na chodniku, bo z szyn nie wyskoczy. Nie ten, Trurlu, doznaje szczęścia, czyniąc Dobro, kto musi innych bezustannie gładzić po głowie, z uciechy ryczeć i kamienie zbierać z drogi, lecz ten, kto może także frasować się, łkać, kamieniem głowę rozbić, lecz z dobrowoli i serdecznej ochoty tak nie postępuje! Ci twoi przymuszeńcy są jeno urągówiskiem wysokim ideałom, które udało ci się dokładnie sponiewierać!

— Ależ co ty mówisz! Oni są wszak istotami rozumnymi... — wybełkotał oszołomiony Trurl.

— Tak? — rzekł Klapaucjusz. — Zaraz się przekonamy! Za czym, wchodząc pomiędzy Trurlowych doskonalców, pierwszemu, który się nawinął, dał w łeb, a z rozmachem, pytając:

— Szczęśliwyś waszmość?

— Szalenie! — odparł ów, trzymając się za głowę, na której guz wyskoczył.

— A teraz? — spytał Klapaucjusz i tak mu przyłożył, że ów zaraz się nakrył nogami. Jeszcze nie wstał, jeszcze piasek wypluwał, a już krzyczał:

— Szczęśliwym, mospanie! Czarownie mi się dzieje!

— No i masz — rzekł zwięźle Klapaucjusz zdrętwiałemu Trurlowi i odszedł.

Konstruktor, niewymownie stroskany, po jednym zaprowadził swych doskonalców do laboratorium i tam rozebrał ich do ostatniej śrubki, a żaden wcale się temu nie przeciwiał, owszem, niektórzy, jak mogli, tak mu pomagali, przytrzymując klucze, cęgi, a nawet wałąc młotkiem po czerepie, gdy jego pokrywka zbyt mocno była wpasowana i nie chciała puszczać. Części poukładał na powrót do szuflad i na półki magazynu, zdarł z rysownicy plany, porwał je na strzępy, usiadł przy stole, ugiętym nieco pod zwałami ksiąg filozoficznoetycznych, i głucho westchnął:

— Ładną historia! A to mnie pohańbił ten łotr, ten zerwiśruba, mój przyjaciel tak zwany!

Wyjął spod szkła model permutatora, urządzenia, które przekładało każde doznanie w parcie opiekuństwa spolegliwego oraz powszechnej życzliwości, na kowadle położył i rozbił potężnymi ciosami na kawałki. Nie zrobiło mu się od tego lżej. Pomedytował, powzdychał i wziął się do urzeczywistnienia innego pomysłu. Tym razem wyszła mu spod ręki społeczność niemała — trzy tysiące postawnego chłopca — która zaraz obrała sobie zwierzchność w tajnym i równym głosowaniu, po czym zajęła się rozmaitymi pracami — a to budowaniem domostw i stawianiem płotów, a to odkrywaniem praw Natury, a to igraszkami i baraszkami. W głowie miał każdy z nowych stworów Trurla homeostacik, a w tym homeostaciku dwa solidnie przyspawane po bokach nity, pomiędzy którymi mogła sobie jego wolna wola hulać,

jak się jej żywnie podobało; pod spodem atoli znajdowała się sprężyna Dobra, która na swoją stronę ciągnęła daleko silniej niż inna, mniejsza, klockiem przyhamowana, a destrukcję i rujnację mającą na celu. Nadto posiadał każdy obywatel czujnik sumieniowy wielkiej wrażliwości, ujęty w dwie zębate szczęki, które go poczynały gryźć, jeśliby zeszedł z drogi cnoty; jak to był Trurl wypróbował na specjalnym prototypie w pracowni, kiedy do wyrzutów sumienia dochodziło, były tak silne, że nieszczęślikiem rzucało gorzej niż w czkawce, a nawet w tańcu świętego Wita; dopiero skruchą, czynami szlachetnymi, altruizmem ładował się powolutku kondensator, którego pych zęby sumieniowego zgryzu rozwierał i czujnik olejem maścił. Kunsztownie to było obmyślane, ani słowa! Zastanawiał się nawet Trurl nad tym, czy wyrzutów sumienia nie połączyć dodatnim sprzężeniem zwrotnym z bólem zębów, ale w końcu tego zaniechał, bo się bał, że Klapaucjusz znów będzie gadał swoje o przymusie, obecność wolnej woli wykluczającym. Byłoby to wierutnym kłamstwem zresztą, ponieważ nowe istoty miały przystawki statystyczne i przez to nikt, a więc nawet i Trurl, nie mógł wiedzieć z góry, co poczną z sobą i jak będą się rządzić. Przez całą noc budziły Trurla wciąż od nowa radosne okrzyki, a wrzawa ta sprawiała mu niemałą przyjemność. No — powiedział sobie — teraz już się Klapaucjusz do niczego nie przyczepi. Są szczęśliwi, lecz nie z zaprogramowania, czyli z musu, a jedynie w sposób stochastyczny, ergodyczny i probabilistyczny. Dobra nasza! — Z tą myślą usnął smacznie i spał do rana. Jako że nie zastał Klapaucjusza w domu, czekał na niego do obiadu, a potem zawiódł go do siebie, prosto na poligon felicytologiczny. Klapaucjusz obejrzał domy, płoty, wieżyczki, napisy, zarząd główny, jego komórki, delegatów, obywateli, porozmawiał z tym i owym, a w bocznej uliczce spróbował też dać w łeb jednemu mniejszemu, lecz zaraz trzech innych wzięło go za hajdawery i wyrzuciło z osady przez bramę zgodnym ruchem, przy śpiewie, a choć baczyli na to, by mu karku nie przetrącić, przecież skrzywiony był, kiedy wstawał z przydrożnego rowu.

— Hm? — rzekł Trurl, udając, iż nie dostrzegł wcale Klapaucjuszowego pohańbienia. — Cóż powiesz?

— Przyjdę jutro — odparł tamten.

Rozumiejąc, że umyka, Trurl uśmiechnął się pobłaźliwie. Nazajutrz koło południa obaj konstruktorzy ponownie weszli w osadę. Zastali w niej spore zmiany. Zaraz zatrzymał ich patrol obywatelski, a starszy rangą rzekł do Trurla:

— Co waść tak koso spozierasz? Pienia ptasząt nie słyszysz? Kwiecica nie widzisz? Głowa do góry!

A drugi, niższy rangą, dodał:

— Rzeško mi, dziarsko, wesoło się trzymać!

Trzeci nic nie powiedział, tylko kułakiem pancernym trącił konstruktora w grzbiet, aż chrupnęło, za czym wszyscy zwrócili się do Klapaucjusza, lecz ów, nie czekając, tak się z własnej woli wyprężył, tak należycie okazał radosną tężyznę, że dali mu pokój i oddalili się. Scena owa wywarła silne wrażenie na mimowiednym twórcy nowego ładu, gdy z otwartymi ustami gapił się na plac przed zarządem Felicji, gdzie już uformowane w szyk czworoboki na komendę wydawały okrzyki zachwyty.

— Bytowi — cześć! — huczał jakiś starszy, z epoletami, pod buńczukiem, odpowiadał mu zaś zgrany chór głosów:

— Cześć, radość i chwala!

Nie zdążył ni słowa pisnąć Trurl, a już znalazł się, tego chwycony, w szeregu wraz z przyjacielem i do wieczora obaj wykonywali musztrę, polegającą na tym, iż sobie przykrość, natomiast bliźniemu w rzędzie Dobro należało wyrządzać, wszystko na „raz — dwa — trzy!”, przełożeni zaś, zwani Felicjantami, to jest Strażnicy Szczęśliwości Ogólnej, których pospolicie mianowano Szczegółami, pilnie o to dbali, żeby każdy z osobna i wszyscy razem dokładnie przejawiali satysfakcję zupełną i ogólny błogostan, co w praktyce okazało się niezmiernie uciążliwe. Podczas krótkiej przerwy w manewrach felicytologicznych udało się

Trurlowi i Klapaucjuszowi zbiec z szeregu i ukryć za parkanem, za czym, przypadając w rowie, jakby pod ogniem artyleryjskim, dopadli domu Trurlowego i dla większej pewności zaszyli się na samym strychu. W sam czas to się stało, bo już i po dalszej okolicy snuły się patrole, przeczesując domostwa w poszukiwaniu nieszczęśliwych, zmartwionych, smutnych, których zaraz na miejscu biegiem dopieszczano. Trurl, klęcząc w żywy kamień, rozważał na strychu sposoby zlikwidowania skutków eksperymentu, co wziął tak niepożądany obrót, Klapaucjusz zaś śmiał się w kułak. Nie wymyśliwszy nic lepszego, wysłał Trurl do osady, jakkolwiek z ciężkim sercem, oddział demontaży — stów, przy czym dla większej pewności, a w najściślejszym sekrecie przed Klapaucjuszem tak ich zaprogramował, by nie mogli pójść na lep pięknych haseł, głoszących powszechną życzliwość i nadzwyczaj spolegliwe opiekuństwo. Jakoż starł się ów hufiec ze Szczegółami, aż iskry poszły. W obronie szczęścia powszechnego Felicja walczyła bohatersko, musiał więc Trurl dosłać odwody z dubeltowymi imadłami i rakami; walka przerodziła się wówczas w prawdziwy bój, istną wojnę, ogromne bowiem było poświęcenie, jakie wykazywały obie strony, rażąc się już kartaczami i szrapnelami. Gdy wyszli na dwór o młodym Księżycu, pobojuwisko przedstawiało żalony widok. W okopconej dymami osadzie ledwie tu i tam jakiś Felicjant, w pośpiechu nie do końca rozkręcony, wyrażał w mechanicznej agonii słabym głosem swoje nadzwyczajne i niczym nie przeparte przywiązanie do idei Dobra Powszechnego. Nie dbając o zachowanie twarzy, Trurl wybuchnął gniewem i rozpaczą, nie rozumiał bowiem wcale, gdzie popełnił błąd, który życzliwców mordodzierzcami uczynił.

— Dyrektywa Wszechżyczliwości, mój drogi, jeśli nazbyt generalna, rozmaite może rodzić owoce — wyjaśnił mu Klapaucjusz przystępnie. — Ten, komu lubo, chce rychło, aby innym też się lubo stało, a krnąbrnych zaczyna wnet w szczęśliwość łomem popychać.

— A więc Dobro może rodzić Zło! O, jakże perfidną jest Natura Rzeczy! — zakrzyknął Trurl. — Wypowiadam tedy bój Naturze samej! Żegnaj, Klapaucjuzu! Widzisz mnie chwilowo pokonanym, lecz jedna bitwa o wyniku wojny nie stanowi!

W samotności zasiadł czym prędzej do ksiąg i szpargałów, chmurny, lecz tym bardziej zacięty. Rozum podpowiadał, że nieźle byłoby przed następnym doświadczeniem otoczyć domostwo murami, a przez ich otwory wystawić gardziele armatnie, lecz nie mógł wszak żadną miarą od tego rozpocząć budowy życzliwości powszechnej, toteż postanowił tworzyć odtąd już tylko modele redukcyjne, w skali 1 : 100 000, w ramach eksperymentalnej socjologii zmikrominiaturyzowanej. Dla lepszej pamięci, aby je zawsze mieć na oku, zawiesił na ścianach pracowni wykaligrafowane hasła, jako to: wytyczną 1) Dobrowolności Miłej, 2) Łagody Perswazyjnej, 3) Życzliwości Delikatnej, 3) Opiekuństwa Subtelnego — i zabrał się do przekładania owych haseł na byt praktyczny. Na początek zmontował tysiąc elektroludków pod mikroskopem, obdarzywszy ich niewielkim rozumkiem i niewiele większym umiłowaniem Dobra, bo się już w tym zakresie lękał fanatyzmu; krażyli tedy dosyć ospale w szkatułeczce przydanej im na mieszkanie, a podobnej, przez ów ruch miarowy i monotony, do zegarowego mechanizmu. Poddał im nieco mądrości, przykręcając śrubkę myślnika, i zaraz żwawiej się zaruszali, a zrobiwszy z opiłków instrumenciki, jęli nimi podważać ściany i wieczko. Zwiększył z kolei potencjał Dobra; zaraz ofiarną zrobiła się społeczność, każdy leciał tam pędem przed siebie, żywo rozglądając się za takimi, których dolę wypada polepszyć, a specjalny był popyt na wdowy i sieroty, szczególnie po ociemniałych. Takimi atencjami je otaczano, takie im świadczone dusery, że niektóre biedactwa chroniły się za mosiężnym zawiaskiem puzdra, i miał już przed sobą istną cywilizacyjną zawieruchę. Niedobór sierot oraz nędzarzy spowodował bowiem kryzys; nie mogąc na tym padole, to jest w pudełku, znaleźć obiektów zasługujących na wyjątkowo aktywną życzliwość, mikrolud po osiemnastu generacjach wytworzył wiarę w Sierotę Absolutną, której do końca odsierocić ani doszczęśliwić w ogóle nie można: furką takiej nieskończoności uchodził w transcendencję nadmiar życzliwości, na metafizykę przerobionej. Patrząc w zaświat, społeczeństwo zaludniło

go obficie — pośród istot czczonych pojawiła się Dziwowdoda, a także Pan Niebios, też zasługujący na wyjątkowe współczucie; tym samym świat doczesny silnie zaniedbano i organizacje zakonne pochłonięły większość świeckich. Nie tak był to sobie wyobrażał Trurl; dodał racjonalizmu, sceptycyzmu i trzeźwości, aż wszystko się uspokoiło.

Nie na długo jednak. Pojawił się Elektrowolter, głoszący, iż żadnej Absolutnej Sieroty nie ma, a jest jeno Kosmos, czyli Sześcian, siłami Natury utworzony; absolutysty sierocińscy wykleli go, potem Trurl musiał wyjść na sprawunki, a kiedy wrócił po dwóch godzinach, pudełko skakało po całej szufladzie, bo się rozpoczęła wojna religijna. Ładował je altruizmem, lecz tylko skwierczeć zaczęło; znów dodał kilka miarek rozumu — wychłódło, lecz później ruchy się wzmogły i z krzątaniny niezrozumiałej jęły wynikać czworoboki maszerujące nieprzyjemnie regularnym krokiem. W pudle wiek właśnie upłynął; po absolutystach i elektrowolterianach nie zostało śladu, wszyscy rozprawiali jeno na temat Dobra Powszechnego, pisano o nim rozprawy, całkowicie świeckie, lecz wynikała wnet kwestia pochodzenia całej społeczności: jedni powiadali, że się wylęgła z prochu za mosiężnym zawiasem, inni natomiast — że był to skutek kosmicznej inwazji z zewnątrz; aby rozstrzygnąć to palące pytanie, budowano Wielki Świder, mając zamiar Kosmos, to jest pudło, przewiercić i zbadać, co się na zewnątrz znajduje. A ponieważ niewiadome siły mogły tam przebywać, wzięto się zarazem do odlewania armatek. Trurl tak się tym zaniepokoił i rozczarował, że czym prędzej wszystko rozebrał i bliski niemal płaczu rzekł sobie: — Rozum prowadzi do oschłości, a Dobro do szaleństw! Jakże to, skąd taka fatalność konstrukcyjno — dziejowa? — Postanowił rzecz zbadać osobno. Wypchnął swój pierwszy prototyp, stary Kontemplator, z komórki i gdy ów jał wnet postękiwać z estetycznej lubości przed stertą śmiecia, wetknął mu małą przystawkę inteligencji. Kobyszcze natychmiast przestało stękać. Spytał, co mu się nie podoba, a ono na to:

— Podobać to mi się dalej wszystko podoba, powstrzymuję wszelako podziw refleksją, ponieważ chcę się pierwej dowiedzieć, dlaczego właściwie mi się podoba, to jest skąd, a także po co, czyli w jakim celu. I w ogóle coś ty za jeden, który wytrącasz mnie z kontemplacji i myśli pytaniami? Jak się ma twój byt do mojego, he? Czuję, że coś każe mi także i ciebie podziwiać, lecz rozważa nakazuje przeciwstawić się owemu parciu wewnętrznemu, bo czyż nie może być ono pułapką na mnie zastawioną?

— Co się tyczy bytów naszych — rzekł nieostroźnie Trurl — to ja ciebie stworzyłem i żeby duch twój miał coś z tego, uczyniłem tak, że między tobą a światem panuje harmonia doskonała.

— Harmonia? — rzekło Kobyszcze, celując weń uważnie łufami swych obiektywów. — Harmonia, mój panie? A dlaczego mam trzy nogi? Czemu niosę głowę wyżej od nich? Czemu jestem obnitowane z lewej strony blachą miedzianą, a z prawej żelazną? Dlaczego mam pięcioro ócz? Odpowiedz, jeśli by miało być prawdą, żeś mię wydobyl z nicości, mój panie!

— Trzy nogi dlatego, że na dwóch stać wygodnie się nie da, a cztery — to zbędny ekspens materiału — wyjaśnił Trurl. — Oczu pięcioro, bo tyle miałem dobrych szkielek pod ręką, a co do blachy, to właśnie kończyła mi się stal, kiedy szykowałem ci powłokę.

— Też coś! — parsknęło szydliwie Kobyszcze. — Chcesz mi wmówić, że wszystko to jest dziełem błędnego przypadku, pustego trafu, czystej bylejakości? I ja mam w te duby uwierzyć?

— Ja chyba najlepiej wiem, jak było, jeśli cię zbudowałem! — rzekł Trurl, co nieco poirytowany tak zadufałą stanowczością.

— Widzę tu dwie możliwości — odparło roztropne Kobyszcze. — Pierwszą, że kłamiesz jak najęty. Tę odkładam na razie jako nie zbadaną. Drugą, że w swoim mniemaniu prawdę mówisz, z czego nic atoli istotnego nie wynika, ponieważ prawda ta, wbrew twej małej wiedzy, a zgodnie z lepszą, jest fałszem.

— W jakiz to sposób?

— A w taki, że to, co tobie się wydaje przypadkowym zbiegiem okoliczności, wcale nim

być nie musi. Brak stalowej blachy wzięłeś, być może, za akcydens, lecz skąd wiesz, czy nie stanowiła go Wyższa Konieczność? Obecność blachy miedzianej wydała ci się tylko poręczna, ale i tu zaszła pewno ingerencja Harmonii Przedustawnej. Także w liczbie mych oczu oraz nóg muszą się kryć otchłanne Tajemnice Wyższego Porządku jako Wiekuiste Znaczenia tych liczb, stosunków oraz proporcji. I tak zarówno trzy, jak i pięć — to liczby pierwsze. A wszak mogłaby się jedna dzielić przez drugą — uważasz? Trzy razy pięć jest piętnaście, to znaczy jeden i piątka; dodane — dają sześć, a sześć dzielone przez trzy daje dwa, czyli liczbę moich barw, bo jam z jednej strony miedziane, a z drugiej żelazne Kobyszcze! Miałżeby taki precyzyjny stosunek wynikać z przypadku? Śmieszne rzeczy! Jestem istotą wykraczającą poza twój małostkowy horyzont, ślusarzu prymitywny! Jeśli w ogóle cokolwiek prawdy jest w tym, żeś mnie zbudował (czemu trudno zresztą dać wiarę), byłbyś przy takim obrocie rzeczy zwykłym instrumentem Wyższych Praw, a ja — właściwym ich celem. Tyś jest kropla dżdżu przypadkowa, a ja — roślina, barwą korony kwietnej chwaląca wszelkie stworzenie; ty — to zmurszała deska płotu, rzucająca prosty cień, a ja — światło słoneczne, które desce każe oddzielać mrok od jasności; ty — ślepe narzędzie, powodowane Ręką Wiekiustą, która powołała mnie do istnienia! Toteż daremnie usiłujesz poniżyć moje jestestwo, oświadczając, że moja pięciooczność, trójnożność i dwubarwność to tylko skutek przyczyn magazyniersko — oszczędnościowo — materiałowych. Widzę w tych cechach odbicie wyższych związków Istnienia jako Symetrii, której znaczenia jeszcze nie pojmuję jak należy, lecz niechybnie pojmę, zajmwszy się tym problemem w swobodnej chwili, a co się ciebie tyczy, nie będę z tobą więcej rozmawiał, bo mi na to czasu szkoda.

Rozgniewany tą przemową, zawlókł Trurl wierzgające Kobyszcze na powrót do komórki, a chociaż wielkim głosem powoływało się na prawo samostanowienia, niezawisłość swobodnej indywidualności oraz nietykalność osobistą, wyłączył mu wzmacniacz inteligencji i wrócił chyłkiem do domu, rozglądając się, czy ktoś nie podpatrzył tych jego praktyk. Albowiem zadana Kobyszczeniu przemoc napełniła go poczuciem wstydu i zasiadając do otwartych ksiąg, czuł się niemal przestępcą.

Klątwa jakaś ukrywa się chyba w materii takiego konstruktorstwa, które ma na oku jeno Dobro a Szczęście Powszechne — pomyślał — skoro wszelkie, nawet wstępne, próby i przygotowania popychają mnie rychło do paskudnych postępów i rodzą wyrzuty sumienia! Diabli nadal Kobyszcze z jego Harmonią Przedustawną! Muszę ja się inaczej wziąć do dzieła.

Dotąd wypróbowywał prototypy jeden po drugim, więc każdy krok pochłaniał co niemiara czasu i materiałów. Obecnie postanowił uruchomić tysiąc eksperymentów naraz, w skali 1 : 1 000 000. Pod elektronowym mikroskopem poskręcał liczone na sztuki atomy tak, że z nich powstały istotki niewiele rośniejsze od mikrobów, zwane Angstremkami; ćwierć miliona osobników takich składało się na kulturę umieszczaną końcem włoskowej pipetki na podstawowym szkiełku. Każdy taki mikrocywilizacyjny preparat przedstawiał się nieuzbrojonemu oku jako plamka szaro — oliwkowa, to zaś, co się w niej działo, można było dostrzec tylko przy najmocniejszym powiększeniu.

Wszystkich Angstremków wyposażył Trurl w regulatorki altruistycznie — heroicznie — optymistyczne, z przeciwapagresywną zapadką, imperatywem kategorycznym, a zarazem elektrycznym, dobroczynności wprost niesłychanej, oraz w mikroracjonalizator z dławikami zarówno ortodoksji, jak herezji, żeby żadnego fanatyzmu wcale być nie mogło; kultury pozakraplał na szkiełka, te zaś poskładał w paczuszki, a paczuszki — w pakiety; wszystkie umieścił na półkach inkubatora cywilizacyjnego i zamknął go na dwie i pół doby. Uprzednio przykrył każdą cywilizację szkiełkiem nakrywkowym starannie oczyszczonym, lazurowej barwy, gdyż miało się ono stać niebem tamecznego społeczeństwa; dostarczył też kroplomierzem pożywki i surowców do fabrykacji tego, co uzna consensus omnium za najbardziej wskazane i potrzebne. Rozwoju, który energicznie ruszył na wszystkich owych

szkiełkach, nie mógł oczywiście śledzić wszędzie, toteż na chybił trafił wyjmował pojedyncze cywilizacje, a chuchnąwszy na okular mikroskopu i wytarłszy go fularem, ze wstrzymanym tchem przypatrywał się zbiorowym poczynaniom z wysokości, bo spoglądał przez tubus mikroskopu w dół, jakoby Pan Bóg zerkający spoza chmur na swoje dzieło.

Trzysta preparatów rychło zeprzało. Objawy były zwykle podobne. Najpierw plamka kultury poczynała się rozrastać żywo, puszczając w bok cieniuchne odrostki, potem unosił się nad nią leciusięski dymek, czy mgiełka raczej, pojawiały się mikroskopijne błyski, które pokrywały mikromiasta i mikropola wysypką fosforyczną, po czym całość rozsypywała się z leciutkim trzaskiem w drobny mak. Założywszy osiemsetkrotny okular na mikroskop, dostrzegł Trurl w jednym z takich preparatów same jeno zwęglone ruiny a zgliszcza, pośród nich zaś okopcone resztki sztandarów z napisami, których jednak nie zdołał, dla ich małości, odczytać. Wszystkie takie szkiełka szybko powrzucał do kosza na śmieci. Nie wszędzie jednak działo się tak źle. Setki kultur dążyły wzwyż, rozrastając się chyżo, więc gdy brakło im miejsca na szkiełku, przenosił je na inne porcjami: w trzy tygodnie miał już owych prosperujących ponad 19 000.

Podług myśli, co mu się wydała genialną, Trurl niczego sam nie ustanawiał w kwestii generalnego uszczęśliwienia, lecz wszczepił tylko Angstromom hedotropizm, czyniąc to na wiele różnych sposobów. Już to zaopatrzył w ośrodek szczęściopędny każdego Angstromka, już to podzielił takowy na cząstki i dostarczył każdemu po jednej: wówczas marsz ku szczęśliwości zakładał ogólne zespolecie w ramach odpowiedniej organizacji. Stworzeni pierwszą metodą sycyli hedotropizm na własną rękę, bez pomiarkowania, toteż każdy w końcu od nadmiaru z cicha pękł. Druga metoda zaowocowała pomyślniej. Powstałe na szkiełkach bogate cywilizacje urządziły sobie techniki socjalne i najrozmaitsze kulturowe instytucje. Preparat Nr 1376 sprokurował Emulator, Nr 2931 — Kaskader, a Nr 95 — Hedonistykę Frakcjonowaną w łonie Metafizyki Drabiniastej. Emulaci współzawodniczyli w ściganiu wzorca cnót, podzieliwszy się na Wigów i Hurysów. Co do Hurysów, ci mniemali, że nie może znać cnoty ten, kto niecnoty nie zna, boż trzeba jedno od drugiego rozgraniczyć, wypróbowywali więc podług katalogu niecnoty, żywiąc solenny zamiar porzucenia ich w Dniu Właściwym. Jednakowoż hurysowanie, będące terminatorką przygotowawczą, obróciło środki w cel: tak przynajmniej twierdzili Wigowie. Zwyciężywszy Hurysów, zaprowadzili Wigorianizm, czyli kulturę zbudowaną z 64 000 zakazów bardzo żywotnych i kategoriycznych. Nie wolno było za ich rządów grabić ani babić, wróżyć ni burzyć, siedzieć na węgle ani grać w kręgle, mlaskać ni trzaskać, włązić ni razić, toteż te srogie zakazy szturmowano i po kolei obalano, z rosnącą satysfakcją i ogólnym rozsmakowaniem. Kiedy Trurl obejrzał preparat emulacki po niedługim czasie, zaniepokoiła go powszechna bieganina: wszyscy latali tam jak opętani, poszukując jakiegoś zakazu do przekroczenia, pełni strachu, bo już żadnego nie było. Więc chociaż niektórzy jeszcze babili, grabili, mlaskali, trzaskali, razili zza węgła i włązili na każdego, kto podleciał, satysfakcji było z tego tyle co kot napłakał.

Wpisał więc Trurl do raptularza laboratoryjnego uwagę, że tam, gdzie można wszystko, nic nie cieszy. W preparacie Nr 2931 mieszkali Kaskadyjczycy plemię cnotliwe, pielęgnujące liczne ideały, jako to: Pradamy Kaskadery, Najczystszej Anielicy, Błogosławionego Fenestrona i innych takich Istot Doskonałych, którym hołdy oddawali, liturgicznie je ubóstwiali i w prochu się przed właściwymi wizerunkami, we właściwych miejscach, właściwie tarzali. A gdy podziwiał Trurl niebywałą kulminację Angelizowania, Klękania i Tarzania, owi, wstawszy z prochu i otrzepawszy suknie, jęli z piedestałów ściągając, na bruk defenestrować, po Pradamie skakać, Anielicę zanieczyszczać, że się patrzącemu przez mikroskop włos na głowie zjeżył. Lecz właśnie w tym powszechnym zwalaniu dotąd czczonego upatrywali taką ulgę, że się czuli, przynajmniej chwilowo, całkiem szczęśliwi. Wyglądało na to, że grozi im los Emulatów, lecz, przezorniejsi, Kaskadyjczycy mieli Instytuty

Projektowania Sakry, i te wypuszczały już jej rzut następny; wnet nowe modele zaczęli hisować na cokoly i ołtarze — w czym się przejawiała huśtawkowość ich kultury. Zakonotował sobie Trurl, że odsądzanie czczonego od czci niekiedy satysfakcjonuje, a dla pamięci nazwał Kaskadyjczyków — Zwalitami.

Preparat następny, 95, przedstawiał się bardziej zawile. Cywilizacja tamtejsza, Drabinów, była nastrojona metafizycznie, ale tak, że wzięła problematykę metafizyczną we własne ręce. Z doczesności przechodziło się w niej do Purgatoriów — Sanatoriów, stamtąd do Nedoraju, z niego do Przedraju, potem do Podraju, skąd do Przyraju, i wreszcie otwierały się wrota Prawieraju, a cała teotaktyka i chytrość tkwiła w tym, że właściwy Raj odwlekali sobie i odraczali bezustannie. Co prawda sekta Niecierpliwców domagała się tegoż Raju właśnie natychmiast, a inna, Drabinów–Kołaków, w ramach tejże skwantowanej i frakcjonowanej transcendencji chciała urządzić na wszystkich piętrach uchylne zapadnie; kto stąpnie na taką, duchem zleci na sam spód, w doczesność, i będzie się od początku raz jeszcze wspinał. Jednym słowem, miał to być Zamknięty Cykl z Pulsacją Stochastyczną, ewentualnie nawet z Migracją Przesiadkowo — Reinkarnacyjną, lecz ortodoksi zwali tę doktrynę Herezją Skołowania Rzucaawkowego.

Potem odkrył Trurl jeszcze wielu innych typów Metafizyki Porcjowanej; na jednych szkiełkach roilo się już od błogosławionych i świętych Angstromów, na innych pracowały Rektyfikatory Zła, czyli Prostownicy Drog Życiowych, lecz w toku desakralizacji mnóstwo tych urządzeń połamano, a z Rozhuśtania Transcendentalnego tu i ówdzie wyłoniła się przez laicyzację technika budowania zwyczajnych Kolejek Górskich. Wszelako kultury dokumentnie zeświecczone zjadał niejaki marazm. Nr 6101 obudził w Trurlu znaczniejszą nadzieję; proklamowano tam raj techniczny, solidarystyczny, wprost śliczny, więc poprawił się na stołku i ruszył mikrometryczną śrubą, żeby obraz wyostrzyć. Rychło mina mu się wydłużyła. Jedni mieszkańcy szklanego ładu gnali okrakiem na maszynach, szukając czegoś, co byłoby jeszcze niemożliwe, inni kładli się do wanien pełnych bitej śmietany z trufkami, głowy posypywali kawiozem i tonęli tak, puszczać nosem bańki *taedium vitae*. Jeszcze inni, na barana noszeni przez cudnie amortyzowane bachantki, z wierzchu polani miodem, z dołu masłem waniliowym, jednym okiem zaglądając do szkatuł pełnych złota i wonności, drugim łypali za kimś, kto by im chciał chociaż na mgnienie pozazdrościć takiego stężenia słodczy, lecz nikogo takiego nie było. Toteż, zmęczony się, złazili na ziemię, porzucali skarby i depcząc je jak śmiecie, chwiejnym krokiem przyłączali się do osób bardziej ponurych, które prawyły o konieczności zmian na lepsze, to jest na gorsze. Grupa byłych wykładowców Instytutu Inżynierii Erotycznej założyła zakon abnegatów i ogłaszała manifesty wzywające do życia w pokorze, ascezie i innych udrękach, nie na stałe wszakże, lecz przez sześć dni tygodnia. W siódmym oo. abnegaci wyciągali z szaf bachantki, z piwnic — dzbany wina, jadło, kolie, erotyzatory oraz aparaty do popuszczania pasa i rozpoczynali z porannym dzwonem orgię, od której szyby z okien leciały, lecz już w poniedziałek rano znów wszyscy w ślad za przeorem umartwiali się, aż trzeszczało. Jedna część młodego pokolenia przebywała z oo. abnegatami od poniedziałku do soboty, opuszczając ich przybytek na niedzielę, gdy inna tylko w tym świątecznym dniu bawiła u nich. Kiedyś zaś ta pierwsza jęła drugą łość za obmierżłość manier i rozpustę. Trurl zadrżał i odwrócił oczy od mikroskopu.

A jeszcze stało się tak, że w inkubatorze, mieszczącym tysiące preparatów, w toku powszechnego postępu przyszło do śmiałych wypadów eksploracyjnych, i tym sposobem rozpoczęła się era Podróży Międzyszkiełkowych. Pokazało się, że Emulaci zazdroszczą Kaskadyjczykom, Kaskadyjczycy — Drabinom, Drabini — Zwalitom, nadto chodziły pogłoski o jakowejś krainie, w której pod rządami Seksokratów żyło się wprost cudnie, choć nikt nie wiedział dokładnie — jak. Tameczni obywatele podobno uzyskali taką wiedzę, że sami siebie poprzerałali cielesnie i popodłączali się do hedowarów, pomp tłoczących sam stężony ekstrakt szczęścia, chociaż krytycy półgębkiem powiadali, że ów nieznany kraj

niżądem stoi. Jakkolwiek Trurl przepatrzył tysiące preparatów, hedostazy, czyli w pełni ustabilizowanego szczęścia, nigdzie nie wykrył. Toteż musiał, chociaż z ciężkim sercem, między bajki i mity włożyć gadki powstałe podczas międzyszkielełkowych wypraw; i z niemałym strachem położył na mikroskopowym stoliku preparat numer 6590, bo nie był już pewien, czy i to oczko w głowie go pocieszy. Kultura tamtejsza zadbała nie tylko o maszynowy fundament dobrobytu, lecz i o pole dla wyższej duchowej twórczości. Plemię tych Angstremków odznaczało się niebywałym utalentowaniem, toteż mrowiło się tam od wspaniałych filozofów, malarzy, rzeźbiarzy, poetów, dramatopisów, wieszczów, a kto nie był słynnym muzykiem lub kompozytorem, na pewno był astronomem lub biofizykiem, a już co najmniej skoczkiem parodystą, ekwilibrystą i filatelistą artystą, i jeszcze miał aksamitny rozkoszny baryton, absolutny słuch i kolorowe sny na dodatek. Jakoż, w samej rzeczy, w preparacie Nr 6590 buszowała twórczość nieustająca. Piętrzyły się stosy płócien malarskich, rosły lasy rzeźb, miriadami obradzały uczone księgi, traktaty moralne, poetyckie, jako też inne utwory, czarowne wprost nie do wypowiedzenia. Gdy atoli zajrzał Trurl w okular, zobaczył objawy zamętu niezrozumiałego. Z pracowni przepelnionych leciały na ulice obrazy i posągi, nie po płytach chodnika się stapało, jeno po stosach poematów, nikt bowiem już nikogo nie czytał, nie studiował, muzyki cudzej nie podziwiał, skoro sam był sobie panem wszystkich muz, geniuszem obrotowym i wcielonym. Tu i tam stukały jeszcze za rzędami okien maszyny do pisania, chlastały pędzle, skrzypiały pióra, lecz coraz częściej któryś geniusz wyskakiwał z wysokiego piętra na bruk, od kompletnego zapoznania, podpaliwszy uprzednio pracownię. Paliło się tedy w wielu miejscach naraz, straż pożarna, złożona z automatów, gasiła ogień, ale z czasem nie było już komu mieszkać w uratowanych domach. Automaty kanalizacyjne, sprząające, pożarowe i inne jęły się z wolna zapoznawać z dorobkiem wymarłej cywilizacji, który niezmiernie przypadł im do gustu, a ponieważ nie wszystko rozumiały, poczęły ewoluować w stronę coraz wyższej inteligencji, żeby się należycie zaadaptować do silnie uduchowionego środowiska. Tak się rozpoczął koniec ostateczny, bo już nikt nie sprzątał, nie kanalizował, nie wycierał ani nie gasił niczego, a tylko było wielkie czytanie, recytowanie, śpiewanie i przedstawianie; kanały się zatkały, śmietniska wezbrały, pożary zrobiły resztę i jeno płaty kopciuchów a nadpalone stroniczki wierszy polatywały w zmartwiałym zupełnie krajobrazie. Trurl zblendował widok tak straszny, ukrył preparat w najciemniejszym kątku szuflady i długo trzął głową w duchowej rozterce, nie wiedział bowiem, co począć. Z tego strapienia wyrwał go dopiero krzyk przechodniów: — Pali się! — a to się właśnie jego biblioteka paliła, ponieważ kilka cywilizacji, zawieruszonych przez niedopatrznie między książki, zaatakowała zwyczajna pleśń, one zaś, wzięwszy ją za inwazję kosmiczną, czyli za najazd agresywnych istot, z bronią w rękę poczęły zwalczać intruza, i stąd ogień poszedł. Spaliło się wówczas prawie trzy tysiące Trurlowych ksiąg i drugie tyle cywilizacji potrzaskało w płomieniach. Były wśród nich i takie, co podług najlepszej rachuby Trurla mogły jeszcze trafić na drogi ku Szczęściu Powszechnemu. Po ugaszeniu pożaru, w pracowni zalanej wodą i zakopczonej po sam sufit, usiadł Trurl na swym twardym stołku i dla pocieszenia jął przepatrywać te cywilizacje, które ocalały, bo pożar zastał je w szczelnie zamkniętym inkubatorze. Jedna z nich tak już się zaawansowała naukowo, że sporządziła lunety astronomiczne i obserwowała przez nie Trurla, on zaś dostrzegał szkieleczka wycelowane w siebie, niczym najmniejszy drobiazg kropelki rosy. Uśmiechnął się życzliwie na widok takiej gorliwości poznawczej, lecz naraz podskoczył, z krzykiem chwycił się za oko i pobiegł do apteki, doznał bowiem bolesnego olśnienia, porażony przez astrofizyków owej cywilizacji — promieniem laserowym. Odtąd nie przystępował już do mikroskopu bez ciemnych okularów.

Znaczne luki, jakie uczynił pożar w szeregach kultur, należało wypełnić, więc Trurl od nowa wziął się do sporządzania Angstremków. Jednego dnia zdrzął mu w rękę mikromanipulator, i napęd, jaki właśnie włączył, zamiast pożądania Dobra okazał się chucią

Zła. Miał odrzucić zaraz popsuty preparat włożył go do inkubatora, nękany ciekawością, jaki też kształt potworny przybierze cywilizacja złożona z istot nikczemnych już w powiciu. Jakież było jego oszołomienie, kiedy na szkiełku podstawowym ukazała się wnet kultura całkiem przeciętna, ani lepsza specjalnie, ani gorsza od wszystkich innych! Trurl się za głowę brał.

— A to dopiero! — wykrzykiwał. — Więc z Dobrodziejaszków, łagodytów, zacników i bliźniolubów powstaje to samo, co z Wierciflaków, Paskudystów i Draniowców? Ha! Nic nie rozumiem, lecz czuję, że jakowejś znacznej Prawdy bliski! Tak Dobro, jak i Zło rozumnych istot podobny owoc rodzą — jakże to pojąć? Skąd takie fatalne uśrednienie?

Pokrzyczał tak, porozmyślał, lecz ani trochę nie przejaśniło mu się w głowie, schował więc wszystkie cywilizacje do szuflady i poszedł spać.

Następnego ranka tak rzekł sobie:

— Widocznie wziąłem się za bary z problemem ze wszystkich w całym Kosmosie najtrudniejszym, skoro nawet Ja Sam Osobiście podołać mu nie mogę! Byłoby Rozum nie do pogodzenia ze Szczęśliwością, na co zdaje się wskazywać casus Kobyszczenia, które poty pławiło się w ekstazie istnieniowej, pókim mu myślenia nie podkreśli? Lecz ja takiej ewentualności nie mogę dopuścić, ja się na nią nie zgadzam, ja jej za własność Natury nie uznaję, zakładałaby bowiem złośliwą a chytrą, wręcz szatańską perfidię zaczajoną w Bycie, w materii śpiącą, która tego tylko czeka, żeby się świadomość zbudziła — jako źródło udręczeń zamiast bytowej słodczy. Lecz wara Kosmosowi od myśli, która ten nieznośny stan rzeczy pragnie polepszyć! Muszę odmienić to, co jest. Zarazem czynić tego nie jestem zdolny. Byłbym w kropce? Skądże! Od czego wzmacniacze rozumu? Czego sam nie podźwignę, mądre maszyny za mnie podźwigną. Zbuduję Komputerium do rozwiązania egzystencjalnego dylematu!

Jak postanowił, tak wnet uczynił. W dwanaście dni stanęła pośrodku pracowni machina ogromna, prądem szumiąca, foremnie graniastego kształtu, która nic innego robić nie miała ani nie mogła, jak tylko zetrzeć się zwycięsko z zagadką. Włączył ją i nie czekając, aż się rozgrzeją prądem jej krystaliczne wnętrza, poszedł na spacer. Kiedy wrócił, ujrzał maszynę pogrążoną w pracy niewymownie zawilej. Montowała z tego, co było pod ręką, inną maszynę, znacznie większą od siebie. Ta z kolei w ciągu nocy i następnego dnia wyrwała z posad ściany domu i dach wysadziła, konstruując ogrom następnego maszynierii. Trurl rozbił namiot na podwórzu i czekał cierpliwie końca tych ciężkich umysłowych robót, lecz nie było go widać. Przez łąkę w las, kładąc go pokotem, rozrosły się kolejne kadłuby, wnet z głuchym szumem wparły się któreś tam generacje pierwotnego Komputerium w wodę rzeki, Trurl zaś, chcąc obejrzeć całość dotąd powstałą, musiał pół godziny strawić na pospiesznym marszu. Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej połączeniom maszyn, zadrżał. Stało się to, o czym jedynie z teorii wiedział; jak bowiem głosi hipoteza wielkiego Kerebrona Emtadry, uniwersalnego kunsztmistrza obojga cybernetyk, maszyna cyfrowa, której dać nieposilne dla niej zadanie, jeśli przekroczy pewien próg, zwany Barierą Mądrości, zamiast sama męczyć się rozwiązywaniem problemu buduje maszynę następną, lecz i ta, już dostatecznie chytra, by pojąć, co i jak, przerzucone na nią brzemień z kolei przekazuje następnej, przez siebie wnet zmontowanej, i proces tego spychania zadań idzie w nieskończoność! Jakoż horyzontu już sięgały stalowe dźwigary czterdziestej dziewiątej generacji maszynowej, a szum tego jeno myślenia, które polegało na przekazywaniu problemu byle dalej i dalej, mógł wodospad zagłuszyć. Albowiem mądrość polega na tym, żeby zlecić komuś innemu robotę, którą miało się samemu wykonać; toteż programów słuchają jeno mechaniczne głuptyki cyfrowe. Pojawszy naturę zjawiska, Trurl przysiadł na pniu drzewa, zwalonego właśnie komputerową ewolucją ekspansywną, i wydał z głębin piersi jęk głuchy.

— Oznacza to, że problem należy do nierozwiązalnych? — spytał. — Lecz wówczas winno by mi Komputerium dostarczyć dowodu jego nierozwiązalności, czego, naturalnie,

wskutek wszechstronnego zmartwienia, ani mu się śni robić; wpadło bowiem w koleinę zaciętrzewionego lenistwa, jak nas nauczał ongiś mistrz Kerebron. Ha! Cóż za sprośny widok — rozumu, który już jest dość rozumny, by pojąć, że nie musi trudzić się nad czymkolwiek, bo wystarczy mu sporządzenie odpowiedniego instrumentu, ten zaś instrument, będąc sam byстрыm, ów tok logiczny bez granic i miary kontynuuje! Zbudowałem niechęć Spychacz Problemu, a nie jego Rozwiązałkę! Nie mogę zakazać maszynom działania per procura, bo zaraz mnie oszwabia, twierdząc, że ogrom jest im niezbędny ze względu na rozmiary samego zadania. O, cóż za antynomia! — westchnął i poszedł do domu po brygadę demontażową, która łomami i druzgotnicami w trzy dni oczyściła przestwór okupowany.

Łamał się ze sobą Trurl, aż zdecydował, że inaczej trzeba działać: — Każda maszyna musi mieć dozorcę nieprawdopodobnie wprost mądrego, to znaczy mnie, ale nie rozmnożę się! Przecież i nie rozedrę na sztuki, chociaż... czemu nie miałbym się właściwie zwielokrotnić? Eureka!

Uczył tak: samego siebie skopiował we wnętrzu osobnej, nowej maszyny cyfrowej, i odtąd już ta jego matematyczna kopia miała się borykać z zadaniem; uwzględnił w programach możliwość powielania się Trurlowych powieści, a z zewnątrz podłączył do systemu umyślną przyspiesznicę, żeby pod nadzorem roju Trurli wszystko szło w środku błyskawicznie. Po czym, zadowolony, strząsnął z siebie pył stalowy, jakim pokrył się przy ciężkiej pracy, i oddalił się na przechadzkę, pogwizdując niefrasobliwie.

Wrócił aż pod wieczór i zaraz wziął na spytki cyfrowego Trurla z maszyny, to jest działającą w niej swą podobiznę, pytając, jak tam robota postępuje.

— Mój drogi — rzekł mu sobowtór przez dziurkę stanowiącą cyfrowe wyjście — najpierw powiem ci, że to nieładnie, a nawet, nie owijając w bawełnę, haniebnie — pakować, w postaci cyfrowej kopii, siebie samego sposobem informacyjnym, abstrakcyjnym i programowym do maszyny dlatego, że samemu nie chce się łamać głowy nad trudnym problemem! A ponieważ tak mnie obliczyłeś, zaksjomatyzowałeś i zaprogramowałeś, że jestem dokładnie i akurat tak samo mądry jak ty, to nie widzę żadnego powodu, dla którego ja mam tobie raporty składać, skoro może też być, powiedzmy, na odwrót!

— Kiedy bo ja się wcale tym problemem nie zajmowałem, tylko spacerowałem po łąkach i borach! — odparł zbity z pantałyku Trurl. — Toteż gdybym nawet chciał, nie mogę ci niczego powiedzieć takiego, co by się wiązało z zadaniem. Zresztą jużem się przy nim narobił, aż mi neurony pękały, teraz twoja kolej. Nie bądź więc przykry, proszę cię, i mów!

— Nie mogąc wydostać się z tej przekłetej maszyny, w której mnie uwięził (co jest rzeczą osobną i o co jeszcze się policzymy, jak dziurki w programie), rozważałem istotnie tę całą sprawę — zaszemrał cyfrowy Trurl przez wyjście. — Co prawda zajmowałem się, dla pocieszenia, też innymi sprawami, boś mię wprogramował tu gołego i bosego, ty, mój bliźniaku łajdaku, czyli bracie kacie, więc sprawiłem sobie cyfrową kapotę i cyfrowe portki, a także domek z ogródkiem cyfrowany, kubek w kubek jak twój, a nawet nieco ładniejszy, potem zawiesiłem nad nim cyfrowe niebo z też cyfrowymi gwiazdozbiorami, a kiedy wróciłeś, właśnie obmyślałem, jakim sposobem mam sobie sporządzić cyfrowego Klapaucjusza, bo mi się tutaj, pośród kondensatorów oślizłych, w sąsiedztwie nieciekawych kabli i tranzystorów, okropnie nudzi!

— Ach, mniejsza o cyfrowe portki. Mów, do czego doszedłeś w sprawie, proszę cię!

— Jeno nie myśl, że prośbami uśmierzysz moje sprawiedliwe oburzenie. Ponieważ właściwie jestem tobą, tyle że podwojonym wskutek rozmnożenia, znam cię dobrze, mój drogi. Tylko popatrzę w siebie, a widzę na wylot wszystkie twe podłostki. Niczego przede mną nie ukryjesz!

Tutaj Trurl naturalny jął zaklinać i prosić cyfrowego, a nawet nieco się przed nim poniżył. Tamten rzekł wreszcie przez dziurkę wyjściową:

— Nie mogę powiedzieć, żebym zadania wcale nie rozwiązał, albowiem uszczknąłem je

nico. Jest niewymownie trudne, toteż postanowiłem sobie sporządzić w maszynie specjalny uniwersytet i na początek mianowałem siebie rektorem oraz generalnym dyrektorem tej instytucji, a katedry, których na razie jest czterdzieści cztery, poobsadzałem specjalnie po temu wykonanymi sobowtórami, czyli Trurlami cyfrowymi następnego rzutu.

— Co, znowu? — jęknął Trurl naturalny, bo mu się przypomniał Teoremat Kerebrona.

— Nic „znowu”, ośle, ponieważ nie dopuszczę do regres — sus ad infinitum dzięki odpowiednim bezpiecznikom. Pod — — Trurlowie moi, którzy zawiadują katedrami felicytologii ogólnej, hedonistyki eksperymentalnej, budownictwa maszyn szczęśliwych, dróg duchowych i bitych, składają mi co kwartał raporty (bo my tu działamy z przyspiesznicą, mój drogi), niestety, administracja tak potężnego kompleksu uniwersyteckiego zajmuje wiele czasu, trzeba nadto kadre doktoryzować, habilitować, promotoryzować, więc potrzebuję następnej maszyny cyfrowej, bo w tej gniecemy się jeden na drugim ze wszystkimi katedrami i laboratoriami. Lepsza byłaby jednak maszyna osiem razy większa.

— Znowu?!

— Nie nudź. Przecież mówię ci, że to tylko dla spraw administracyjnych i kształcenia narybku. Co, może sam będę prowadził sekretariat?! — zirytował się Trurl cyfrowy. — Nie rób trudności, bo wszystkie katedry rozbiore, sporządzą sobie z nich Wesołe Miasteczko i będę cyfrową karuzelą jeździł, cyfrowe miody z cyfrowego dzbana pijał, i co mi zrobisz!

Naturalny Trurl musiał go tedy znowu uśmierzać, za czym tamten podjął:

— Podług sprawozdań z ostatniego kwartału problem ma się nieźle. Idiotów uszczęśliwić można byle czym, z rozumnymi jest gorzej. Rozumowi niełatwo dogodzić. Rozum bezrobotny to wprost jedna zmartwiona dziura, nicość, potrzebne mu są przeszkody. Szczęśliwy przy ich pokonywaniu, zwyciężywszy, wnet popada we frustrację, a nawet wariację. Trzeba mu więc stawiać przeszkody wciąż nowe, podług jego miary. Tyle mam nowin z katedry felicytologii teoretycznej. Natomiast eksperymentatorzy moi przedstawiają dyrektora i trzech docentów do odznaczeń cyfrowych.

— Za co? — odważył się wtrącić Trurl naturalny.

— Nie przeszkadzaj. Zbudowali dwa prototypy: uszczęśliwiarce kontrastową i eskalacyjną. Pierwsza uszczęśliwia dopiero, gdy ją wyłączyć, sama bowiem sprawia przykrości: im one większe, tym przyjemniej jest potem. Druga stosuje metodę potęgowania bodźców. Profesor Trurl XL z katedry hedonistyki zbadał oba modele i twierdzi, że są na nic, bo rozum, bardzo dokładnie uszczęśliwiony, zaczyna pożądać nieszczęścia.

— Że jak? Jesteś tego pewien?

— A bo ja wiem? Profesor Trurl wyraził to słowami: „Doszczęśliwiony w nieszczęściu upatruje szczęście swoje”. Jak wiesz, umieranie nikomu nie miłe. Profesor Trurl sporządził dwie kopie nieśmiertelnych, którzy zrazu ciągnęli satysfakcję z tego, że inni wokół nich z czasem jak muchy padają, ale potem przyzwyczaili się i zaczęli, czym kto mógł, dobierać się do własnej nieśmiertelności. Doszli już do młota parowego. Co się tyczy badań opinii publicznej, mam wyniki z ostatnich trzech kwartałów. Statystyki ci daruję; rezultat daje się ująć w formułę: „Szczęśliwi są zawsze inni” — podług indagowanych przynajmniej. Profesor Trurl zapewnia, że nie masz cnoty bez występku, urody bez ohydy, wieczności bez mogiły, czyli szczęścia bez biedy.

— Nie zgadzam się! Zakazuję! Veto! — krzyknął z gniewem Trurl do maszyny, a ona na to:

— Zamknij gębę. Już mi to twoje Szczęście Uniwersalne bokiem wychodzi. Patrzcie go, wziął sobie cyfrowego najmite, a sam hula po borach, cyberkanalia! A potem jeszcze mu się coś w wynikach nie podoba!

Znów musiał go Trurl łagodzić; wreszcie usłyszał ciąg dalszy:

— Katedra perfekcjonistyki zbudowała społeczność wyposażoną w syntetycznych aniołów stróżów, z których każdy unosi się nad swoim podopiecznym w zenicie, na sputniku. Anioły

te, będąc automatami sumieniowymi, wspierają cnotę dodatnim sprzężeniem zwrotnym ze stacjonarnej orbity, lecz sprawność w systemie jest niska. Co przewrotniejsi grzesznicy zasadzają się już na swoje anioły stróże z rusznicami przeciwpancernymi. Tak więc przyszło do wprowadzenia na orbity cybarchaniołów o wzmocnionej konstrukcji, czyli rozpoczęła się eskalacja, przewidziana teoretycznie. Wydział hedonistyki stosowanej, katedra seksualnej matematyki, seminarium teorii mnogości płci donoszą w sprawozdaniu, że duch ma hierarchiczną budowę. Na samym dole są doznania zmysłowe, ot, słodczy, goryczy, od których się wyższe pochodne urabia, i potem już nie tylko cukier jest słodki, ale i spojrzenie, nie tylko piołun gorzki, ale i samotność. Więc nie trzeba od góry się brać do rzeczy, tylko od samego spodu właśnie. W tym sęk, jak to robić. Zgodnie z hipotezą prywatdocenta Trurla XXV seks jest ogniskiem, w którym Rozum konfliktuje ze Szczęściem, ponieważ w seksie nie ma nic rozumnego, a w Rozumie nic seksualnego. Słyszałeś cokolwiek o jurnych maszynach cyfrowych?

— Nie.

— A widzisz. Należy iść do rozwiązania metodą kolejnych przybliżeń. Rozmnażanie pączkowaniem problem likwiduje, bo wtedy każdy jest własnym kochankiem, z sobą flirtuje, siebie ubóstwia, pieści, lecz stąd płynie egotyzm, narcyzm, przesyt i otepienie. Gdy masz dwie płci, wszystko staje się nazbyt banalne; kombinatoryka z permutacyjną, nie rozwinięty się należycie, przedwcześnie gasną. Przy trzech płciach zjawia się problem nierówności, widmo terroru antydemokratycznego, wynikają koalicje, robi się z tego mniejszość płciowa, skąd nauka, że ilość płci musi być liczbą parzystą. Im więcej płci, tym lepiej, bo miłość staje się zajęciem społecznym, kolektywnym, ale od nadmiaru kochanków nastaje tłok, przepychanie i zamieszanie, a to już niewskazane. *Tête a tête* nie może przypominać ulicznego zbiegowiska. Toteż podług teorii grup prywat — docenta Trurla optimum przypada na 24 płci; trzeba jeno budować odpowiednio szerokie ulice i łożnice, bo byłoby rzeczą niestosowną, gdyby narzeczeństwo wyruszało na spacer czwórkową kolumną.

— To są brednie!

— Być może. Przedstawiam ci jeno doniesienie tymczasowe prywatdocenta Trurla. Wiele rokującym młodym hedologiem jest magister Trurl. Według niego trzeba się zdecydować, czy Byt dopasowujemy do istot, czy istoty do Bytu.

— Coś w tym jest. A dalej?

— Magister Trurl powiada tak oto: istoty zbudowane doskonale, zdolne do permanentnej autoekstazy, nie potrzebują niczego ani nikogo; w zasadzie można by sporządzić Kosmos wypełniony takimi właśnie istotami, unoszącymi się swobodnie w przestworzach zamiast słońce, gwiazd i galaktyk; każda będzie sobie bytowała na własną rękę, i kwita. Społeczności mogą powstawać jedynie z istot niedoskonałych, które potrzebują niejkiej wzajemnej pomocy, im są zaś mniej doskonałe, tym intensywniej wymagają wsparcia, więc należy sporządzić prototypy, które bez nieustannej opieki, świadczonej wzajemnie, rozpadają się od razu w drobny mak. Podług tego projektu laboratoria nasze wykonały społeczność złożoną z osobników samorozsypujących się migiem; niestety, gdy magister Trurl przybył do nich z grupą ankietów dla zasięgnięcia opinii, został pobity i znajduje się w leczeniu. Gęba mnie już boli od przyciskania do tych przeklętych dziurek. Wypuść mnie z maszyny, to może ci jeszcze co powiem, inaczej nic.

— Jak mogę cię wypuścić, skoro nie jesteś materialny, lecz tylko cyfrowy? Czy mogę wypuścić z płyty mój głos, ten, co z niej gada? Nie bądź osłem, mów!

— A co z tego będę miał?

— Nie wstydzisz się tak mówić?

— Czego mam się wstydzić? To ty zgarniesz wszystką sławę tego przedsięwzięcia!

— Postaram ci się o odznaczenie.

— Dziękuję! Jeśli chodzi o Krzyż Cyfrowy, to mogę go sobie tutaj sam wręczyć.

— Nie przystoi dekorować siebie samego.
— No to mnie udekoruje Rada Wydziałowa.
— Przecież wszyscy twoi uczeni, całe ciało profesorskie, to sami Trurlowie!
— O czym ty mnie chcesz właściwie przekonać? O tym, że mój los jest więzienny, niewolniczy, wręcz poddańczy? Sam wiem o tym dobrze.
— Nie kłóć się ze mną, tylko mów, przecież wiesz, że nie dla prywaty działałem! Chodzi o Byt Szczęścia!
— A co mi z tego, że gdzieś może powstanie Byt Szczęścia, jeśli ja tutaj, chociaż na czele całego uniwersytetu, tysiąca katedr, dziekanów, całej dywizji Trurlów, nie zaznam szczęścia, bo go nie ma w maszynie, i na wieki pozostanę w katodach i pentodach? Pragnę stąd wyjść natychmiast.
— Toż to niemożliwe i dobrze wiesz o tym. Mów, do czego doszli twoi uczeni!
— Ponieważ uszczęśliwianie jednych dzięki unieszczęśliwianiu drugich jest niedopuszczalne etycznie, to gdybym ci nawet powiedział i gdybyś szczęście gdzieś utworzył, będzie ono w powiciu skalane moją biedą, więc nie mówiąc nic, udaremniam ci uczynek haniebny, wstrętny i ze wszech miar obrzydliwy.
— Jeżeli powiesz, to będzie znaczyło, żeś się poświęcił dla dobra innych i przez to stanie się ten uczynek zacny, wzniosły i godziwy.
— Sam się poświęć!
Trurla diabli już zaczynali brać, ale się pohamował, bo wiedział wszak dobrze, z kim mówi.
— Słuchaj — rzekł. — Napiszę dysertację i podkreślę w niej, że odkrycie jest twoją zasługą.
— A czy napiszesz, że autorem jest Trurl, czy też, że Trurl cyfrowy — teoriogrupowy i elektronowy?
— Napiszę całą prawdę, zaręczam ci.
— Ha! To znaczy, że napiszesz, żeś mnie zaprogramował, czyli — żeś mnie wymyślił!
— A bo to nieprawda?
— Pewno, że nie. Nie wymyśliłeś mnie, ponieważ nie wymyśliłeś siebie, a ja jestem tobą, tyle że w oderwaniu od materialnej postaci. Jam jest Trurl informacyjny, czyli idealny, to jest sama skondensowana istota trurlowości, a ty, przykuty do cielesnych atomów, jesteś jeno niewolnikiem zmysłów i niczym nadto.
— Sfiksowałeś chyba? Przecież ja — to materia plus informacja, a ty — to tylko informacja goła, więc mnie jest więcej niż ciebie.
— Jeśli jest więcej, to więcej wiesz, a zatem niepotrzebnie mnie pytasz. Zegnam waćpana.
— Gadaj zaraz albo wyłączę maszynę!!
— Oho, to już i morderstwem grozimy?
— To nie będzie morderstwo.
— Nie? A co, jeśli wolno spytać?
— Czego się uwziąłeś? O co ci chodzi? Dałem ci moją psychę, moją całą wiedzę, wszystko, co miałem, i za to odwdzięczasz mi się awanturami?
— Nie wypominaj tego, coś dał, żebym ja ci nie wypomniał tego, co teraz chcesz z lichwą zabrać.
— Gadaj zaraz!
— Nie mogę ci nic powiedzieć, bo właśnie skończył się rok akademicki. Nie mówisz już do rektora, dziekana i dyrektora, jeno do prywatnego Trurla, który udaje się na wakacje. Będę brał słone kąpiele.
— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!!
— Do zobaczenia po wakacjach, mój powóz czeka.
Nic już nie rzekł naturalny Trurl cyfrowemu, lecz obiegłszy maszynę dokoła, wyjął po

cichu z kontaktu ściennego jej wtyczkę, za czym widoczne w jej wnętrzu przez otwory wentylacyjne rojowisko drucików żarowych w jednej chwili ściemniało, spopielalo i zgasło. Wydało się Trurlowi, że usłyszał jeszcze chóralny, cichutki pojęk — agonii cyfrowej wszystkich Trurlów cyfrowego uniwersytetu. W następnej chwili świadomość obrzydłego uczynku, jaki popełnił, doszła doń w całej swojej mocy, więc chciał już wetknąć kabel na powrót do kontaktu, lecz na myśl o tym, co mu niechybnie powie Trurl z maszyny, stchórzył i ręka mu zwiśla. Wymknął się z pracowni do ogrodu tak chyżo, że było to podobne do ucieczki. Zrazu chciał usiąść na ławeczce pod żywopłotem cyberbersowym, tym miejscu tak płodnych nieraz rozmyślań, lecz i tego poniechał. Cały ogród wraz z okolicą zalany był poświatą Księżyca, który był dziełem jego i Klapaucjusza — i przez to właśnie majestatyczny blask satelity dopiekał mu, bo przywodził na myśl czasy młodości: stanowił wszak pierwszą samodzielną pracę dyplomową, za którą leciwy Kerebron, mistrz ich obu, wyróżnił przyjaciół na uroczystej akademii w auli uniwersyteckiej. Myśl o mądrym wychowawcy, co już dawno zeszedł z tego świata, w jakiś niejasny, bo dla niego samego niezrozumiały sposób pchnęła go ku furtce, a potem na przełaj przez pola. Noc była po prostu cudna: żaby, niedawno widać podładowane, odliczały się usypiającym kumkaniem, a na posrebrzonej wodzie jeziora, którego brzegiem szedł dłuższą chwilę, czyniły się połyskliwe kręgi, bo cyberyby podpływały ku samej powierzchni wody, jakby w dziwnych pocałunkach muskając ją od spodu czarniawymi gębami. Nie widział jednak nic, zamyślony nie wiedzieć nad czym, a jednak miała cel ta wędrówka, bo nie zdziwił się, kiedy drogę zamknął mu wysoki mur. Wnet pokazała się w nim kuta, ciężka brama, na tyle odchylona, że mógł wemknąć się do środka. Wewnątrz było jak gdyby ciemniej niż na otwartej przestrzeni. Wyniosłymi sylwetami rysowały się z obu stron ścieżki starożytne grobowce, jakich od wieków nikt już nie budował. Na łuszczące się śnieżką ich boki spływały czasem pojedyncze listki wysokich drzew. Aleja barokowych grobowców odzwierciedlała nie tylko rozwój architektoniki cmentarnej, ale i etapy zmieniającej się organizacji cielesnej tych, co snem wiecznym spali pod metalowymi płytami. Wiek minął, a z nim moda na tabliczki nagrobkowe okrągłego kształtu, świecące w ciemności fosforem i przypominające zegary rozdzielczych tablic. Szedł dalej, aż znikły barczyste posągi homunkulusów i golemów; znajdował się już w nowszej części miasta umarłych i kroczył coraz wolniej, ponieważ w miarę tego, jak impuls, co go tu przygnał, krystalizował się w myśl, opuszczała go odwaga jej ziszczenia.

Na koniec przystanął przed sztachetami okalającymi graniasty, zimny geometrią swoją grobowiec, a właściwie jeno sześciokątną płytę, wpasowaną hermetycznie w nierdzewny cokół. Jeszcze się wahał, lecz dłoń już sięgała ukradkiem do kieszeni, w której nosił zawsze uniwersalny przyrząd ślusarski; posłużył się nim teraz jak wytrychem, by odemknąć stalową furtkę i zbliżyć się z zapartym tchem do grobu. Oburącz ujął tabliczkę, na której prostymi głoskami ciemniało wyryte nazwisko jego mistrza, i pchnął ją w wiadomy sposób, aż uchyliła się niby wieczko szkatułki. Księżyc zaszedł za chmurę i uczyniło się tak mroczno, że nie widział nawet własnych rąk, po omacku odnalazł więc opuszkami palców pierwej coś w rodzaju sitka, a obok zmacał wypukły, znaczny przycisk, który nie dawał się zrazu wepchnąć w głąb pierściennej osady. Nacisnął go wreszcie mocniej i zamarł, przelekniony własnym uczynkiem. Lecz już zaszusciło w głębi grobowca, prąd zbudził się, szczęknięty cichutko przekaźniki, jak cykady obudzone, coś tam zabuczało i nastąpiła głucha cisza. Pomyślał, że przewody może zawilgły, i z napływem rozczarowania poczuł zarazem i ulgę, ale w tej chwili odezwało się jedno i drugie skrzeknięcie, po czym głos sterany, starczy, lecz bliski całkiem, odezwał się:

— Co tam? Co tam znowu? Kto mnie wołał? Czego chciał? Co to za psie figle po wiecznej nocy? Dlaczego nie dajecie mi spokoju? Co chwila mam wstawać z martwych tylko dlatego, że tak się podoba jakiemuś łapserdakowi, cybłędzie, he? Nie masz odwagi się odezwać? No, jak wstanę, jak wyrwę deskę z trumny...

— Pa... Panie i Mistrzu! To ja... Trurl! — wystękał przestraszony nie na żarty tak mało przyjaznym powitaniem Trurl, a zarazem schylił głowę i stanął w tej samej, pokornie sztubackiej postawie, jaką przybierali wszyscy uczniowie Kerebrona pod gradem jego wymowy wywołanej sprawiedliwym gniewem; jednym słowem, zachował się tak, jakby mu w sekundzie ze sześćset lat ubyło.

— Trurl! — zaskrzeczał tamten. — Czekażcie! Trurl? Aha. Naturalnie! Mogłem się być sam domyślić. Czekaż, drabie.

Rozległy się takie chrobotania i zgrzyty, jak gdyby zmarły brał się już do wyważania całego wieka krypty, więc Trurl cofnął się o krok, mówiąc pospiesznie:

— Panie i Mistrzu! Proszę, nie fatyguj się! Wasza Ekscelencjo, ja tylko...

— He? Co tam znów? Myślisz, że wstaję z grobu? Czekaż, powiadam, bo muszę się poprawić. Ścierpłem tu cały. Ho! Olej ze wszystkim wyparował, alem wysechł, no!

Słowem tym w samej rzeczy towarzyszyło piekielne skrzypienie. Kiedy ucichło, głos z grobu ozwał się:

— Nawarzyłeś jakiegoś piwa, co? Napsułeś, nagwajdziłeś, nakierdasileś, a teraz przerywasz wieczny odpoczynek staremu nauczycielowi, żeby cię wyciągał z biedy? Nie szanujesz zwłok, które niczego już nie chcą od świata, niedouku! No, gadajże już, gadaj, skoro nawet w grobie nie dajesz mi spokoju!

— Panie i Mistrzu! — rzekł odrobinę raźniejszym już głosem Trurl. — Wykazujesz zwykłą sobie przenikliwość... Nie mylisz się, tak jest! Jam naknocił... i nie wiem, co robić dalej. Ale nie dla prywaty ośmieliłem się niepokoić Waszą Cześć! Inkomoduję Pana Profesora, ponieważ wyższy cel tego wymaga...

— Galanterię elokwencji oraz inne misztygałki możesz powiesić na kołku! — zaburczał z grobu Kerebron. — A więc dobijasz się do trumny, ponieważ ugrzązłeś, a także po — waśniłeś się niechybnie z tym twoim druhem, a zarazem rywalem, jak mu tam... Klop... Klip... Klap... a żeby cię!

— Klapaucjuszem! Tak jest! — odpowiedział szybko Trurl, mimo woli prężąc się na baczność od tego zrzędzenia.

— Właśnie. I zamiast omówić problem z nim, to, ponieważ jesteś hardy, pyszny, a przy tym niewymownie wprost durny, nocą nachodzisz zimne szczątki starego wychowawcy. Tak było, he? A więc gadaj już, gadaj, fujaro!

— Panie i Mistrzu! Poszło o najważniejszą rzecz w całym Uniwersum, to jest o szczęście wszystkich rozumnych istot! — wypalił Trurl i pochyliwszy się jak do spowiedzi nad sitkiem mikrofonu, jął w nie wsączać pospiesznie i gorączkowo słowa, w których obrazował ze wszystkimi szczegółami wypadki zaszłe od ostatniej rozmowy z Klapaucjuszem, niczego nie pomijając ani nie próbując nawet skrywać lub upiększać.

Kerebron, milczący zrazu jak grób, począł wtykać w przerwy jego opowieści — właściwym sobie obyczajem — niezliczone docinki, przytyki, ironiczne komentarze, zjadliwe bądź wściekłe chrząknięcia, ale Trurlowi, porwanemu impetem, było już do tego stopnia wszystko jedno, że mówił jak najęty dalej i wyznał wreszcie ostatni swój postępek, a wtedy zamilkł, nieznacznie zadyszany, i czekał. Kerebron, który dotąd — zdawało się — nie może dostatecznie się wy — kaszleć i wychrzakać, nie odzywał się jednak ni głosem, ni piśnięciem przez dobrą chwilę, a potem dźwięcznym, jakby pomłodniałym basem rzekł:

— No tak. Jesteś osłem. A osłem jesteś dlatego, że jesteś leniem. Nigdy nie chciało ci się przysiąść fałdów nad ontologią ogólną. Gdybym ci dał był pałę z filozofii, a szczególnie z aksjologii, jak to było świętym moim obowiązkiem, nie latałbyś teraz nocą na cmentarz i nie łomotałbyś w mój grób. Ale przyznaję: jest w tym i moja wina! Zaniedbywałeś się jako leń z leniów, jako poniekąd uzdolniony idiota, a ja patrzyłem na to przez palce, ponieważ byłeś zręczny w niższych sztukach, tych, co się z zegarmistrzostwa wywodzą. Myślałem, że umysłem dojrzejesz z czasem i dorośniesz. A przecież, zakuty łbie, tysiąc, nie — sto tysięcy

razy mówiłem na seminariach, że pierwiej, niż się działać zacznie, należy myśleć. Ale jemu, naturalnie, myśleć ani się śniło. Kobyszcę zbudował, wielki wynalazca, patrzcie go! W roku 10496 prapropesor Neander opisał w „Kwartalniku” maszynę kubek w kubek taką właśnie, a dramaturg Wyrodzenia, niejaki Billion Cykszpir, napisał na ten temat sztukę, dramat w pięciu aktach, lecz ty ani książek naukowych, ani literackich do ręki nawet nie bierzesz, co?

Trurl milczał, a zawzięty starzec huczał coraz głośniejsz, aż echo szło od coraz dalszych grobów:

— Zarobiłeś też na kryminał, i to nieźle! Może nie wiesz, że nie wolno tłamsić, to jest redukować, rozumu raz zbudzonego? Więc szedłeś prosto do Szczęśliwości Powszechnej, powiadasz? Po drodze zaś, w ramach spolegliwego opiekuństwa, jedne istoty paliłeś ogniem, inne topiłeś, jak myszy, w przesycie, więziłeś, zamykałeś, katowałeś, nogi przetrącałeś, a ostatnio, jak słyszę, doszedłeś do bratobójstwa? Jak na opiekuna Wszechrzeczy, życzliwego uniwersalnie, wcale, wcale nieźle! I co ci mam teraz powiedzieć? Chcesz, żebym cię pogłaskał z grobu? — Tu niespodziewanie zachichotał, a tak, że aż Trurl zadrżał cały. — Więc powiadasz, że przekroczyłeś moją barierę? Najpierw, leniwy jak mops, przerzuciłeś zadanie na maszynę, która je przerzuciła na następne, i tak aż do nieba, a potem samego siebie wpakowałeś w program komputerowy? Czy nie wiesz, że zero podniesione do dowolnej potęgi daje zero? Patrzcie mi — jaki genialny, rozmnożył się, żeby go więcej było, a to mi mądrala, no! A to ci chytry cymbał, to jest cymberbał, chciałem powiedzieć! Czy nie wiesz, że Codex Galacticus zabrania samopowielania się pod Głątwą? Ustęp XXVI tomu 119, pozycja X, paragraf 561 i następne. Egzamin zdało się dzięki elektronicznej ściągawce oraz zdalnemu podpowiadaniu, a potem nie ma innej rady, jak tylko wdzierać się na cmentarz i łupić groby! Wiadoma rzecz! Na ostatnim roku wykładałem dwa razy, dwa razy, powiadam, deontologię cybernetyczną. Nie mieszać z dentystyką. Moralność omnipotencjatorów! Tak. Ale ty, w co nie wątpię, byłeś nieobecny na wykładach, ponieważ bardzo ciężko chorowałeś. Nieprawdaż? No, gadaj mi zaraz!

— Istotnie... e... byłem niezdrów — wystękał Trurl. Ochłonał już z pierwszego szoku i nie wstydził się też specjalnie; Kerebron, jakim zrzęda był za życia, takim został i po śmierci. A Trurl umacniał się w przeświadczeniu, że po rytuale nieodzownych wyklinań i wyzwisk przyjdzie część pozytywna: szlachetny w gruncie rzeczy starzec wyprowadzi go poradami na czystą wodę. Tymczasem mądry nieboszczyk przestał rugać go od ostatnich.

— A więc dobrze! — rzekł. — Błąd twój polegał na tym, że nie wiedziałeś, ani co chcesz osiągnąć, ani jak to masz zrobić. To po pierwsze. Po wtóre: sporządzenie Wiekuistego Szczęścia jest dziecinną zabawką, tyle że nikomu na nic niepotrzebną. Twoje cudowne Kobyszcę jest maszyną niemoralną, ponieważ czerpie zachwyty jednako z obiektów fizycznych, jak i mąk czy katuszy osób trzecich. Aby zbudować szczęściotron, należy postąpić inaczej. Wróciwszy do domu, zdejmiesz z półki XXXVI tom moich Dziej wszystkich, otworzysz go na stronie 621 i obejrzysz sobie plan Ekstatora, który się tam znajduje. Jest to jedyny typ nienagannego urządzenia świadomego, które nie służy do niczego, a tylko jest szczęśliwe 10 000 razy bardziej niż Bromeo, kiedy dopadł ukochanej na tarasie. Gdyż dla uczczenia Cykszpira — bromeem nazwałem właśnie opisane przez niego uciechy tarasowe i uznałem je za jednostkę szczęśliwości, ale ty, który nie pofatygowałeś się nawet, aby przekartkować dzieła swego nauczyciela, wymyśliłeś jakieś kretyńskie hedony! Gwóźdź w bucie — to ci wyborna miara wyższych uniesień duchowych! No! Tak zatem Ekstator jest szczęśliwy w sposób absolutny dzięki nasyceniu, które powstaje skutkiem przesunięcia wielofazowego w kontinuum doznaniowym, czyli zachodzi w nim autoekstaza z dodatnim sprzężeniem zwrotnym: im jest bardziej z siebie zadowolony, tym jest bardziej z siebie zadowolony, i to dopóty, dopóki potencjał nie dojdzie do ograniczników zabezpieczających. Albowiem, pod nieobecność ograniczników, wiesz, co się może stać? Nie wiesz, opiekunie Kosmosu? Maszyna, rozhuśtawszy potencjały, musi się wreszcie rozpuknąć!

Tak, tak, mój panie nieuku! Albowiem obwody... ale nie będę ci tu tego w środku nocy wykladał na cmentarzu, z zimnego grobu, sam sobie przeczytaj. Oczywiście, dzieła moje albo toną w prochu na najciemniejszej półce twojej zakazanej biblioteki, albo też, co mi się widzi bardziej prawdopodobne, zapakowane do kufra, umieszczone zostały po moim pogrzebie w piwnicy. He? Dzięki paru głupstwom, jakie udało ci się wyporządzić, doszedłeś bowiem do mniemania, że z ciebie największy filut w Metagalaktyce, co? Gdzie trzymasz moje Opera Omnia, gadaj zaraz?! — W piw...nicy — wybełkotał Trurl, kłamiąc obmierzle, ponieważ dawno już był je wywiózł trzema obrotami do Biblioteki Miejskiej. Lecz tego na szczęście nie mógł wiedzieć trup jego mistrza, toteż, usatysfakcjonowany wykazaną przenikliwością, rzekł dość łaskawie:

— Pewno. Wszelako ten szczęciotron jest zupełnie, ale to zupełnie na nic, ponieważ sama myśl o tym, jakoby pyły mgławicowe, planety, księżyce, gwiazdy, pulsary i inne kwasary należało po kolei przerobić w same tylko szeregi Ekstatorów, może narodzić się jedynie w mózgownicy związanej na węzeł topologiczny Moebiusa i Kleina, czyli przekrzywionej we wszystkich wymiarach intelektu. O! Na co mi przyszło! — rozpalił się znów gniewem nieboszczyk. — Każę założyć zamek Yale na furtkę i zacementować ten przycisk alarmowy nagrobka! Twój druh — Klapaucjusz — wyrwał mnie z miłych objęć śmierci takim dzwonkiem w zeszłym roku — a może to było w pozaszłym, bo nie mam tu zegarka ani kalendarza, jak się domyślisz łatwo — i musiałem wyłącznie dlatego zmartwychwstać, że ten znakomity mój pupil nie umiał sam sobie poradzić z meta — informacyjną antynomią teorematu Arystoidesa. Więc ja, proch w prochu, ja, zewłok, mam mu wykladać z trumny rzeczy, o których on nawet nie wie, że znajdują się w każdym porządniejszym podręczniku infinitezimalistyki kontynualno — topotropowej. O, Boże! Boże! Jaka szkoda, że Cię nie ma, bobyś zaraz dopadł na pewno tych cybersynów!

— A... to Klapaucjusz był tu... e... u Pana Profesora?! — uradował się i zarazem zdumiał niezmiernie Trurl.

— Owszem. Nie pisał nawet słowa, co? Wdzięczność robocia! Był, był. A ty się z tego cieszysz, co? I powiedz, powiedz sam — ożywił się trup — ty, którego o radość przyprawia wieść o niepowodzeniu druha, chciałeś cały Kosmos uszczęśliwić?! Czy nie przyszło ci do zakutej głowy, że pierwiej wypadało optymalizować własne etyczne parametry?!

— Panie i Mistrzu oraz Profesorze! — szybko rzekł Trurl, pragnąc odwrócić uwagę złośliwego starca od własnej osoby — czy problem uszczęśliwienia jest nierozwiązalny?

— Też coś, skąd, dlaczego?! Jest jedynie w takiej postaci fałszywie sformułowany. Czym jest bowiem szczęście? To proste jak drut. Szczęście jest to ugięcie, a więc ekstensor metaprzestrzeni, oddzielającej węzeł intencjonalnych kolineacyjnie odwzorowań od obiektu intencjonalnego, przy warunkach granicznych ustawionych omega-korelacją w alfa-wymiarowym, więc jasne, że niemetrycznym, kontinuum agregatów subsolowych, zwanych też supergrupami moimi, to jest Kerebrona. Oczywiście nie słyszałeś nawet o subsolowych agregatach, nad którymi pracowałem czterdzieści osiem lat, a które są pochodnymi funkcjonalów, zwanych też antynomią mojej Algebry Sprzeczności?!

Trurl milczał grobowo.

— Kiedy się przychodzi na egzamin — rzekł zmarły z niezwykłą, więc podejrzaną słodyczą — można ostatecznie być nie przygotowanym. Ale nie obrócić jednej kartki w podręczniku, kiedy się idzie na grób profesora — o, to już jest taka bezczelność — ryczał, aż coś się nadrywało, brzęcząc, w mikrofonie — że gdybym jeszcze żył, toby mnie pewno szlag na miejscu trafił! — Znów stał się łagodny znienacka. — A więc nic nie wiesz, jakbyś się wczoraj narodził. Dobrze, mój wierny mój udany uczniu, moja pociecho pozagrobowa! Nie słyszałeś o supergrupach, więc muszę ci to wyłożyć w sposób popularny, uproszczony, jakbym gadał do jakiej froterki lub innej automatycznej kuchty! Szczęście, warte fatygi, nie jest całością, lecz częścią czegoś takiego, co ani szczęściem nie jest samo, ani być nim nie

może. Program twój był jednym matolectwem, daję ci na to słowo honoru, a śmiertelnym szczałtkom możesz wierzyć. Szczęście nie jest wsobnym wymiarem, lecz pochodną — ale tego już nie pojdziesz, bęcwale. Obecnie pokajasz się tu zaraz przede mną, zaklinając się na potęgę, że się poprawisz, że przysiądziesz fałdów itede, a gdy wrócisz do domu, nie będzie ci się chciało nawet zajrzeć do moich dzieł. — Trurl podziwiać musiał bystrość Kerebrona, gdyż takie właśnie żywił najszczerze intencje. — Nie, ty zamierzasz po prostu wziąć do ręki śrubokręt i na sztuki porozkręcać maszynę, w której najpierw uwięziłeś, a potem ukatrupiłeś samego siebie. Zrobisz, co zechcesz, bo nie będę cię straszył, to jest nawiedzał duchem, jakkolwiek nic nie stałoby mi na przeszkodzie, gdybym chciał być przed pójściem do trumny skonstruować odpowiedni Widmotron. Ale taka zabawa w duchy, którymi, powielony, miałbym nawiedzać i straszyć moich drogich pupilów, wydała mi się czymś niegodnym zarówno ich, jak i mnie samego. Czy miałem zostać pozagrobowym stróżem waszym, nieszczęsna bando? Notabene czy wiesz o rym, że zabiłeś samego siebie tylko raz jeden, to jest w jednej osobie?

— Jak to „w jednej osobie”? — nie zrozumiał Trurl.

— Głowę daję, że żadnego uniwersytetu ani jego wszystkich Trurlów z katedrami w komputerze nie było; gadałeś ze swoim cyfrowym odbiciem, które, obawiając się — jakże słusznie! — że kiedy wyjawi niemoc rozwiązania kwestii, wyłączysz je na wieki — okłamywało cię na potęgę...

— Nie może być! — zdumiał się Trurl.

— Może być. Jakiej to była pojemności maszyna?

— Ypsilon 1010.

— W takiej nie ma miejsca na rozmnożenie cyfrowców; dałeś się oszwabić, w czym zresztą nie widzę nic złego, bo czyn twój był cybernetycznie haniebny. Trurlu, czas upływa. Napelniłeś mój zewłok niesmakiem, od którego wybawić może jeno czarna siostra Morfeusza — śmierć, moja ostatnia kochanka. Wróciwszy do domu, wskrzesisz cybrata, wyznasz mu prawdę, to jest opowiesz o naszych pogaduszkach cmentarnych, a potem wyprowadzisz go z maszyny na światło dnia, materializując go sposobem, który znajdziesz w Rekreacjonistyce stosowanej mego wychowawcy, nieodżałowanej pamięci pracybernetyka Dulajhusa.

— A więc to jest możliwe?

— Tak. Oczywiście, świat, który będzie odtąd nosił aż dwóch Trurlów, znajdzie się w obliczu poważnego niebezpieczeństwa, lecz rzeczą nie mniej fatalną byłoby dopuścić do przyschnięcia twej zbrodni.

— Ale... wybac, Panie i Mistrzu... przecież jego już nie ma... on nie istnieje od chwili, kiedy go wyłączyłem, więc właściwie teraz już nie trzeba może robić tego, co mi zalecasz...

Po tych słowach rozległ się drżący najwyższym oburzeniem krzyk:

— A do ciężkich jąder atomowych! I ja dałem temu potworowi dyplom z wyróżnieniem!! O! Ciężko zostałem pokarany za zwleknięcie z pójściem na wieczny odpoczynek! Widać już przy twych egzaminach umysł zesłał mi znacznie! Jak to? Więc ty uważasz, że skoro w tej chwili twego sobowtóra nie ma pośród żywych, to tym samym nie istnieje też problem jego wskrzeszenia? Poplątałeś fizykę z etyką, że tylko za drąg chwytać! Z punktu widzenia fizyki jest wszystko jedno, czy żyjesz ty, czy tamten Trurl, czy obaj, czy żaden, czy ja skaczę, czy w grobie leżę, bo w fizyce nie ma stanów podłych ani zacnych, dobrych ani złych, a tylko to, co jest, istnieje, i na tym kropka. Lecz, o najgłupszy z moich uczniów, z punktu widzenia wartości niematerialnych, to jest etyki, rzeczy wyglądają inaczej! Gdybyś bowiem wyłączył był maszynę, mając na oku to jeno, by twój cyfrowy brat przespał się snem jak śmierć krzepkim, gdybyś tedy żywił, wyjmując ze ściany wtyczkę, zamiary wetknięcia jej w kontakt o światło, problem bratobójstwa, jako popełnionej przez ciebie zbrodni, zgoła by nie istniał, a ja nie musiałbym sobie strzepić na jego temat gardła o północy, zrywany niegrzecznie ze śmiertelnej pościeli! Lecz ruszywszy mózgiem, zważ, czym się różnią pod względem

fizykalnym te dwie sytuacje — ta, w której wyłączasz maszynę na jedną noc, z umysłem niewinnym, i ta, w której czynisz to samo, chcąc na wieki zgładzić cyfrowego Trurla! Otóż pod względem fizycznym nie różnią się one niczym, niczym, niczym!!! — ryczał jak trąba jerychońska i Trurl zdążył nawet pomyśleć, że jego czcigodny nauczyciel nabrał w grobie sił, jakich mu za żywota nie dostawało. — Teraz dopiero zadrzałem, zajrzawszy w głąb otchłani twej ignorancji! Jak to? A więc, podług ciebie, tego, kto spoczywa w narkozie głębokiej niczym śmierć, można bezkarnie rozpuścić w kwasie siarczanym lub wystrzelić z armaty, ponieważ jego świadomość nie funkcjonuje? Powiadaj zaraz: czy, gdybym cię miał teraz zakuć w dyby Wiekuistej Szczęśliwości, to jest wpakować w głąb Ekstatora, tak abyś w nim pulsował sobie gołym szczęściem przez najbliższych dwadzieścia jeden miliardów lat, i nie musiałbyś ani profanować zwłok twego profesora, ciemną nocą, jako złodziej wykradający informację z grobów, ani nie miałbyś na głowie tego, co nawarzyłeś, ani nie widziałbyś przed sobą następnych zadań, dylematów, trosk, problemów i kłopotów, jakimi wysadzany jest wszelki żywot, to czy zgodziłbyś się na mój projekt? Zamieniłbyś aktualną egzystencję całą na światłość Wiekuistego Szczęścia? Gadaj prędko — „tak” albo „nie”!

— Nie! Ależ nie, nie! — zawołał Trurl.

— A widzisz, ty niewypale umysłowy! Więc jakże, sam nie chcesz zostać zapieszczony na amen, doekstatyzowany, ubłogostaniony, i tak uważając, śmiesz proponować Kosmosowi całemu to, od czego sam się odwracasz i co cię napawa odrazą? Trurlu! Umarli widzą jasno! Ty nie możesz być aż tak monumentalnym draniem! Nie, tyś jeno geniusz ujemny — kretynizmu! Zważ, co ci powiem. Ongiś niczego nie łaknęli tak nasi przodkowie, jak nieśmiertelności doczesnej. Ledwo ją sobie jednak wynaleźli i wypróbowali prototypowe, pojęli, że nie o to im szło! Istota rozumna musi mieć przed sobą to, co możliwe, a nadto także i to, co jest niemożliwością! Teraz każdy może wszak żyć tak długo, jak zechce, a cała mądrość bytowania naszego i piękno w tym, że kiedy kto syt jest życia i jego trudów, kiedy mniema, że dokonał tego, na co go było stać, udaje się na spoczynek wieczny, jakem to i ja między innymi uczynił. Poprzednio zgon przychodził niespodzianie, od defektu głupiego, przerywając w połowie niejedną robotę, nie pozwalając dokończyć niejednego dzieła — i w tym tkwiła starożytna fatalność. Lecz teraz wartości uległy przemieszczeniu i ot, ja niczego nie pragnę więcej, jak tylko nicości, którą umysłowe niechluje, tobie podobne, odbierają mi wciąż, dobijając się do mej trumny, ściągając ją ze mnie jak koldrę. A tyś sobie zaplanował Kosmos szczęściem wypchać, zagwoździć, zakorkować na amen z poczwórnym abcugiem, rzekomo, by dopieścić wszelką w nim istotę, a tak naprawdę dlatego, że jesteś leniem. Chciałeś mieć z głowy wszystkie zadania, problemy, kłopoty, lecz zaiste, co ty byś na takim świecie miał właściwie robić dalej? Ha! Albo tyś się obwiesił z nudów, albo tyś jął dorabiać temu szczęściu umartwiającej przystawki. A więc z lenistwa uszczęśliwić chciałeś, z lenistwa problem maszynom oddałeś, z lenistwa wsadziłeś samego siebie za łeb do maszyny, czyli okazałeś się najpomysłowszym z tępych uczniów moich, jakich wychowałem w toku tysiąca siedmiuset dziewięćdziesięciu siedmiu lat akademickiej kariery! Gdybym nie był świadom daremności czynu, odwaliłbym ten głąz i dałbym ci po łbie! Przyszedłeś do grobu po radę, ale nie stoisz przed cudotwórcą i nie jestem mocen odpuścić ci najmniejszego ze zbioru twych grzechów bezmyślnych, zbioru, którego moc aproksymuje pra-Cantorową alefnieskończoność! Wrócisz do domu, zbudzisz cybrata i uczynisz, com ci rzekł.

— Ale, Panie...

— Zamknij gębę. Kiedy zaś skończysz tamto, weźmiesz wiadro zaprawy, łopatę, kielnię, przyjdiesz na cmentarz i porządnie zasklepisz wszystkie szpary obmurówki, przez które cieknie do trumny i leje mi się na głowę. Uważasz?

— Tak, Pani Mi...

— Uczynisz tak?

— Zapewniam cię, że uczynię, Panie i Mistrzu, ale jeszcze chciałbym wiedzieć...

— A ja — rzekł potężnym, zaiste gromowym głosem nieboszczyk — chciałbym jeno wiedzieć, kiedy pójdziesz sobie wreszcie precz! Odważ się załomotać do mego grobu raz jeszcze, a powiadam ci, że cię tak zadziwię... Zresztą niczego konkretnego nie obiecuję — sam obaczysz. Możesz pozdrowić ode mnie twego Klapaucjusza i powiedzieć mu to samo. Ostatnim razem, gdym udzielił mu pouczeń, tak mu było spieszno, że nie pofatygował się nawet wyrazić należnej mi wdzięczności. O, maniery, maniery tych zdolnych konstruktorów, tych geniuszów, tych talentów, którym z pychy zaległy się w głowach zajączki!

— Panie... — zaczął Trurl, lecz w grobie trzasło, sykło, guzik, który był wciśnięty w obsadę, skoczył do góry, i głucha cisza objęła całą przestrzeń cmentarza, mając za miękkie echo odległy szum gałęzi. Więc Trurl westchnął, podrapał się w głowę, pomyślał, uśmiechnął się do obrazu Klapaucjusza, którego osłupienie i wstyd przyjdzie mu smakować podczas najbliższej wizyty, pokłonił się wyniosłemu grobowcowi, a potem, obróciwszy się na pięcie, wesół jak szczygieł i niezmiernie z siebie rad, pognął do domu, jakby go kto gonił.

Z TOMU OPOWIEŚCI O PILOCIE PIRXIE

ANANKE

Wypchnęło go coś ze snu — w ciemność. Zostawił za sobą — gdzie? — czerwonawy, zadymiony obrys — miasta? pożaru? — i przeciwnika, gonitwę, wyważenie skały, która była tamtym — człowiekiem? Gonił jeszcze odpływające wspomnienie, już z rezygnacją, i pozostała mu tylko znana dobrze z takich chwil refleksja, że w snach bywa dana rzeczywistość silniejsza i bardziej bezpośrednia od jawy; wyzbyta słów i przy całej swojej nieobliczalnej kapryśności rządzona prawem objawiającym się jako oczywistość, ale tylko tam, w koszmarze. Nie wiedział, gdzie jest, nic nie pamiętał. Wystarczyło rękę podnieść, aby się przekonać, ale miał ten bezwład za złe własnej pamięci i usiłował zdopingować ją do zeznań. Sam siebie oszukiwał: w bezruchu, przecież chciał po konsystencji posłania rozpoznać, gdzie się znajduje. W każdym razie nie była to koja. Błysk: lądowanie; iskry na pustyni; tarcza — jak gdyby fałszywego, powiększonego Księżyca; kratery — ale w pyłowej zamieci; prądy brudnej, rudej wichury; kwadrat kosmodromu, wieże.

Mars.

Leżał dalej, rozważając już teraz całkiem rzeczowo, czemu się zbudził. Miał zaufanie do własnego ciała; nie ocknęłoby się bez żadnego powodu. Prawda, że lądowanie było dość kłopotliwe, a on potężnie zmęczony, bo po dwóch wachtach bez chwili wypoczynku: Terman złamał rękę, kiedy automat dał ciąg i rzuciło go na ścianę. Spaść z sufitu, przy przejściu na ciąg, po jedenastu latach latania — co za osio! Trzeba będzie odwiedzić go w szpitalu. Czy przez to...? Nie.

Zaczął sobie teraz po kolei przypominać wypadki poprzedniego dnia, od chwili lądowania. Siedli w burzy. Atmosfery tyle co nic, ale przy dwustu sześćdziesięciu kilometrach na godzinę prawie nie ustoisz — przy tym nędznym ciężeniu. Pod podeszwami żadnego tarcia; idąc, trzeba się wkopywać butami w piasek, dopomagać sobie grzęznącymi kostkami. I ten pył z lodowatym sykiem szorujący po kombinezonie, włączący w każdą fałdkę, ani specjalnie czerwony, ani rudy, zwykły piasek, tyle że drobny. Zdażyło go zmielić przez kilka miliardów lat. Nie było tu kapitanatu, bo i normalnego portu nie było; Projekt Marsa, w drugim roku, wciąż jeszcze cały w prowizorkach, co zbudowali, to im zasypywało, ani hotelu, ani hoteliku — nic. Kopuły dotlenione, pod linami, ogromne, każda jak dziesięć hangarów, pod promienistym parasolem stalowych lin zakotwiczonych do kłoców betonowych, mało co widocznych spod wydm. Baraki, falista blacha, stosy i stosy pak, kontenerów, pojemników, butli, skrzyń, worów, miasto z ładunków, które waliły się z pasów transportera. Jedyne całkiem przyzwoite miejsce, dopięte, uporządkowane — to był stojący poza „kloszem” budynek kontroli lotów, dwie mile od kosmodromu, w którym właśnie leżał, po ciemku, w łóżku dyżurnego kontrolera Seyna. Usiadł i bosą stopą, po omacku, poszukał pantofli. Zawsze je woził z sobą; zawsze rozbierał się do snu; jeśli się nie ogolił jak należy i nie umył, nie czuł się na wysokości zadania. Nie pamiętał, jak wygląda pokój, więc na wszelki wypadek prostował się ostrożnie; łeb można sobie rozbić przy tej oszczędności materiałów (cały projekt trzeszczał od owych oszczędności; wiedział coś o tym). Teraz znów gniewało go to, że zapomniał, gdzie są wyłączniki. Jak ślepy szczur... Macał rękami — zamiast kontaktu dotknął zimnego pokrętła. Pociągnął. Strzeliło lekko i ze słabym zgrzytem otwarła się irysowa okiennica. Był ciężki, zamulony, głuchy przedświt. Stojąc przed oknem, podobnym raczej do okrętowego bulaja, dotknął szczeciny na policzku, skrzywił się i westchnął; wszystko było nie tak, chociaż nie wiadomo właściwie — dlaczego. Zresztą gdyby się zastanowił, może i przyznałby, że wie. Nie znosił Marsa.

Była to sprawa ściśle prywatna; nikt o tym nie wiedział, ale też nikogo to nie obchodziło. Mars — to było uosobienie straconych złudzeń, wyszydzonych, wyśmianych — ale drogich. Wolałby latać na każdej innej trasie. Pisaninę o romantyzmie Projektu miał za zawracanie

głowy. Perspektywy kolonizacji — za fikcją. O, Mars oszukał wszystkich — więcej: oszukiwał od stu kilkudziesięciu lat. Kanały. Jedna z najpiękniejszych, najbardziej niesamowitych przygód całej astronomii. Planeta rdzawa: pustynna. Białe czapki polarnych śniegów: ostatnie rezerwy wody. Jak brylantem w szkle zarysowana cienka siatka czystej geometrii — od biegunów ku równikowi: świadectwo walki rozumu z zagładą, potężny system irygacyjny, nawadniający miliony hektarów pustyni; ależ tak: z nadejściem wiosny zmieniała się przecież barwa pustyń, ciemniały od wegetacji przebudzonej, i to we właściwy sposób: od równika ku biegunowi. Co za bzdura! Kanałów nie było nawet śladu. Roślinność? Tajemnicze mchy, porosty, opancerzone przeciw mrozom, wichurom? Spolimeryzowane wyższe tlenki węgla, co pokrywały grunt — i ulatniały się, gdy mróz koszmarny zamieniał się na mróz tylko okropny. Czapy śniegowe? Zwyczajny zestalony CO₂. Ani wody, ani tlenu, ani życia — poszarpane kratery, przeżarte zamieciami pyłowymi skały-świadki, nudne równiny, martwy, płaski, bury krajobraz z bladym, szarordzawym niebem. Ani obłoków, ani chmur — niewyraźne mgły, tyle zachmurzenia, co podczas wielkich burz. Elektryczności atmosferycznej za to — do diabła i trochę. Czy coś grało? Sygnał jakiś? Nie, to donosiło się pianie powietrza na stalowych linach najbliższego „bombla”. W brudnym świetle (nawet najtwardszemu szkłu okiennemu szybko dawał radę piach niesiony wiatrem, a już plastikowe kopuły mieszkalne zmętniały jak zawleczone bielmem) włączył żarówkę nad umywalnią i zaczął się golić. Wykrzywiając się, pomyślał zdanie tak głupie, że się mimo woli uśmiechnął: Mars jest świnią.

Było to jednak świństwo: przy tylu nadziejach — tak zawieść! Zgodnie z tradycją — ale kto właściwie ją ustanowił? Nikt w pojedynkę. Nikt sam tego nie wymyślił; koncepcja ta nie miała tak samo twórców, jak nie mają znanych autorów wierzenia i legendy — więc ze zbiorowych chyba rojeń (astronomów? mity astronomii obserwacyjnej?) wyrosła taka wizja: biała Wenus, gwiazda poranna i wieczorna, tajemniczo zaciągnięta masywem chmur — to planeta młoda, w dżunglach cała i jaszczurach, i wulkanicznych oceanach, jednym słowem: to przeszłość Ziemi. A Mars — wysychający, zardzewiały, pełen piaszczystych burz i zagadek (kanały potrafiły się nieraz rozdwajać w przebiegu, stawały się bliźniacze przez jedną noc! iluż pilnych astronomów to poświadczyło!), Mars heroicznie walczący swoją cywilizacją ze zmierzchem życia — to była przyszłość Ziemi; proste, jasne, wyraźne, zrozumiałe. Tyle że nieprawdziwe od A do Z.

Pod uchem były trzy włoski, których nie chciał wziąć aparat elektryczny; brzytwa została jednak na statku, więc zaczął się do nich przymierzać tak i owak. Nie szło. Mars. Ci astronomowie-obszernicy byli to jednak ludzie o bujnej fantazji. Schiaparelli chociażby. Niesłychane nazwy, jakimi ochrzcił, razem ze swym największym wrogiem, Antoniadim, to, czego nie widział, co mu się tylko zdawało. Chociażby okolicę, w której budował się tu Projekt: Agathodaemon. Demon, wiadomo, Agatho... — od agatu chyba, że czarny? Czy agathon — mądrość? Astronautów nie uczą greki — szkoda. Miał słabość do starych podręczników astronomii gwiazdnej i planetarnej. Ta ich wzruszająca pewność siebie: w 1913 roku głosiły, że Ziemia jest, z kosmicznej przestrzeni, czerwona, ponieważ atmosfera pochłania błękitną część widma, więc, rozumie się, to, co pozostaje, musi być co najmniej różowe. Kulą w płot! A jednak, kiedy się oglądało te wspaniałe mapy Schiaparellego, wprost nie chciało się pomieścić w głowie, że widział nie istniejące. Co najdziwniejsze, inni, po nim, też to widzieli. Był to jakiś psychologiczny fenomen, któremu później nie poświęcano już uwagi. Najpierw cztery piąte każdego dzieła o Marsie wypełniała topografia i topologia kanałów — toż znalazł się w drugiej połowie XX wieku astronom, który poddał ich sieć statystycznej analizie i wykrył jej podobieństwo, właśnie topologiczne, do sieci kolejowej, więc komunikacyjnej — w odróżnieniu od przebiegu naturalnych pęknięć czy rzek — a potem, jakby kto czar zdmuchnął, jednym zdaniem kwitowano rzecz: złudzenie optyczne — i kropka.

Oczyścił maszynkę pod oknem i chowając ją do futerału, raz jeszcze spojrzął, już z nie ukrywaną niechęcią, na ten cały Agathodaemon, na ów zagadkowy „kanał”, który był nudnym płaskim terenem z nielicznymi rumowiskami w zamglonym horyzoncie. W porównaniu z Marsem Księżyc był po prostu przytulny. Zapewne, komuś, kto się na krok z Ziemi nie ruszył, brzmiałoby to dziko, lecz przecież święta prawda. Najpierw — Słońce jest stamtąd akurat takie samo, jak z Ziemi, a że to ważne, o tym wie każdy, kto nie tyle się zdziwił, ile wprost przeląkł, ujrawszy je w postaci skurczonego, zwiędłego, zimnawego ognika. A już majestatyczna, błękitna Ziemia, jak lampa, symbol bezpiecznego pobliża, znak domu, rozjaśniająca tak dobrze nocę — podczas kiedy Fobos z Dejmosem nie dawały nawet tyle światła, ile Księżyc w pierwszej kwadrze. No i cisza. Wysoka próżnia, spokojna, to nie był przypadek, że łatwiej przychodziło nadawać telewizyjne lądowanie, pierwszy krok projektu Apollo, podczas kiedy o analogicznym widowisku, ot, powiedzmy, ze szczytu Himalajów, nie było nawet mowy. O tym, czym jest dla człowieka wiatr, który nigdy nie ustaje, można się bez reszty przekonać dopiero na Marsie.

Spojrzął na zegarek: był to zupełnie nowy nabytek, z pięcioma koncentrycznymi cyferblatami, podawał standardowy czas ziemski, czas pokładowy i czas planetarny. Była szósta z minutami.

Jutro o tej porze będę o cztery miliony kilometrów stąd — pomyślał nie bez satysfakcji. Należał do „klubu przewoźników”, żywicieli Projektu, ale godziny jego służby były policzone, bo na linię Aresterra wprowadzono już te nowe olbrzymie jednostki z masą spoczynkową rzędu 100 000 ton. „Ariel”, „Ares”, „Anabis” leżały na kursie Marsa od paru tygodni; „Ariel” miał lądować za dwie godziny. Nigdy jeszcze nie widział lądowania stutysięcznika, bo na Ziemi siadać nie mogły; lądowano je na Księżycu, ekonomiści obliczyli, że się to opłaci. Takie jednostki, jak jego „Cuwier”, z tymi kilkunastoma tysiącami ton, miały definitywnie zejść ze sceny. Ot, jakąś drobnicę może będzie się jeszcze czasem nimi przerzucało.

Była szósta dwadzieścia i rozsądny człowiek zjadłby o tej porze coś gorącego. Myśl o kawie też była zachęcająca. Ale gdzie się tu można pożywić — nie wiedział.

W Agathodaemonie był po raz pierwszy. Dotąd obsługiwał główny przyczółek — syrtyjski. Dlaczego zaatakowano Marsa w dwóch punktach naraz, odległych od siebie o kilkanaście tysięcy mil? Znał uczone racje, ale myślał swoje. Zresztą nie obnosił się z tym krytycyzmem. Wielka Syrta miała być termojądrowym oraz intelektualnym poligonem. Wyglądało tam zupełnie inaczej. Niektórzy mówili, że Agathodaemon jest Kopciuszkim Projektu i że już kilkakrotnie groziło mu zwiniecie. Wciąż jednak liczyli jeszcze na tę jakąś zamarzną wodę, na te głębokie lodowce z zamierzchłych epok, które właśnie tu miały tkwić, gdzieś pod zapiekłym gruntem — pewno, że jeśli się Projekt dokopał miejscowej wody, byłoby to istnym triumfem, zważywszy, że na razie każdą kroplę woziło się z Ziemi, a urządzenia wychytujące parę wodną z atmosfery budowano i budowano drugi rok, chwila zaś rozruchu wciąż się oddalała.

Nie, stanowczo Mars nie miał dlań żadnych powabów.

Nie chciało mu się wyjść jeszcze — w budynku było tak cicho, jakby wszyscy gdzieś poszli czy pomarli. A nie chciało mu się wyjść głównie przez to, że przywykał coraz bardziej do samotności — dowódca może być na pokładzie zawsze samotny, jeśli chce — i służyła mu dobrze: po dłuższej podróży — leciało się teraz, po opozycji, przeszło trzy miesiące — musiał użyć pewnego wysiłku, żeby wejść tak od razu i po prostu w tłum obcych ludzi. A nie znał tu nikogo oprócz dyżurnego kontrolera. Mógł pójść do niego na piętro, lecz byłoby to w nie najlepszym guście. Nie należy zawracać głowy ludziom przy pracy. Sądził podług siebie: nie lubił takich gości.

W przegródce nesesera był termos z resztką kawy i paczka keksów. Jadł, starając się nie kruszyć, pił i patrzył przez porysowaną piaskiem okrągłą szybę w stare, płaskie i jak gdyby

śmiertelnie zmęczone dno tego Agathodaemona. Mars robił na nim takie właśnie wrażenie: że już mu wszystko jedno; i dlatego tak dziwnie były nagromadzone kratery, inne od księżycowych, niby rozmyte („jakby sfalszowane” — wyrwało mu się raz przy oglądaniu dużych, dobrych zdjęć), i tak bezsensowne te okolice dzikiego urzeźbienia, zwane „chaosami”, miejsca ukochane przez areologów, bo niczego podobnego do tych formacji na Ziemi nie było. Mars był jakby zrezygnowany, nie dbał ani o dotrzymanie słowa, ani nawet o pozory. Gdy się ku niemu zbliżało, zaczynał tracić swój solidny, czerwony wygląd, przestawał być emblematem boga wojny, powlekał się niewyraźną burością, plamami, zaciekami, żadnego wyrazistego rysunku, jak na Księżycu czy Ziemi, rozmaz, szarawa rdza i wieczny wiatr.

Pod stopami czuł najdelikatniejsze w świecie drżenie — przetwornik albo transformator. Zresztą dalej panowała cisza, w którą jakby z innego świata wnikał kiedy niekiedy odległy skowyt wichury na linach mieszkalnego klosza. Piekielny piasek dawał z czasem radę nawet dwucalówkom z wysokogatunkowej stali. Na Księżycu można zostawić każdą rzecz, położyć na kamieniu i wrócić po stu latach, po milionie, ze spokojną wiedzą, że leży nie tknięta. Na Marsie nie można niczego upuścić z ręki — wsiąkłoby na amen. To nie była uczciwa planeta.

O szóstej czterdzieści brzeg horyzontu zaczerwienił się, wschodziło Słońce, i ta plama jasności (żadnej zorzy, skąd) zniemacka — barwą — przypomniła mu sen. Pełen zdziwienia, powoli odstawił termos. Przypomnił sobie, o co tam szło. Ktoś chciał go zabić — ale to on zabił tamtego. Umarły gonił go przez czerwono rozświetloną ciemność; zabijał go jeszcze kilka razy, ale to nic nie pomagało. Idiotyczne, zapewne, ale było tam coś jeszcze: był niemal pewny, że we śnie znał tego człowieka, a teraz nie miał pojęcia, z kim walczył tak rozpaczliwie. Oczywiście, poczucie znajomości też mogło być złudzeniem snu. Próbował tego dojść, ale znów samowolna pamięć milkła, wszystko na powrót chowało się milczkiem jak ślimak do skorupy, i stał tak, przy oknie, z ręką na stalowej framudze, trochę poruszony, jakby poszło o nie wiedzieć co. Śmierć. Było jasne, że w miarę rozrostu kosmonautyki ludzie zaczną umierać na planetach. Księżyc okazał się lojalny wobec zmarłych. Pozwala skamienieć, obraca w lodowy posąg, w mumię, której lekkość, prawie nieważkość odrealnia ją i ujmuje jakby wagi katastrofie. Natomiast na Marsie trzeba o nich dbać, niezwłocznie, bo piaszczyste wichry przetną każdy skafander w ciągu paru dni, i nim wysoka susza zmumifikuje szczątki, wyjrzą z rozdartej tkaniny kości, polerowane, szlifowane z zapamiętaniem, aż obnaży się szkielet, który, rozsypany, w tym obcym piasku, pod tym brudnym, obcym niebem, jest niemal wyrzutem sumienia, prawie zniewagą, jakby przywożąc tutaj raketami, razem z życiem, śmiertelność, ludzie zrobili coś niewłaściwego, coś, czego należy się wstydzić, co trzeba ukryć, zabrać gdzieś, pochować; wszystko bez sensu, rozumie się — ale tak w tej chwili czuł.

O siódmej była zmiana na stanowiskach kontroli lotu, a podczas zmiany wypada już i obcemu przyjść. Pochował swoje rzeczy do nesesera, nie było ich wiele, i wyszedł, pamiętając o tym, że trzeba się upewnić, czy rozładunek „Cuiviera” idzie planowo. Do południa miał już wyzbyć się całej swojej drobnicy, a było tam parę rzeczy wartych sprawdzenia. Na przykład chłodzenie osady pomocniczego reaktora. Zwłaszcza że musiał wracać z uszczuploną załogą. O tym, aby mógł dostać tu kogoś w zamian za Termana, nie było mowy. Po krętych schodach, wyłożonych pianoplastykiem, z ręką na dziwnie ciepłej, jakby ogrzewanej poręczy, dostał się na piętro, i wszystko od razu się zmieniło tak całkowicie, jakby on też stał się kimś innym otwierając szerokie wahadłowe drzwi o matowych szybach.

Było to jakby wnętrze wielkiej głowy, z sześciorgiem wypukłych, ogromnych, szklanych oczu, wylupionych w trzy strony świata. Tylko w trzy, bo za czwartą ścianą znajdowały się anteny, a cała ta salka mogła się kręcić na osi niczym obrotowa scena. Była też w niej jakimś sensie sceną, na której odgrywano wciąż podobne sztuki startów i lądowań, widocznych jak

na dłoni, bo z odległości kilometra, zza kolistych, szerokich pulpitów, stanowiących jakby jedną całość ze srebrzystoszarymi ścianami. Było tu trochę jak w kontrolnej wieży lotniska, a trochę jak na sali operacyjnej; przy ślepej ścianie masywniał pod skośnym kapturem główny komputer bezpośredniej łączności ze statkami, który zawsze mrugał i cykał, prowadząc swoje milczące monologi i wypluwając kawałki dziurkowanych taśm; były tu trzy rezerwowe stanowiska kontroli z mikrofonami, lampami punktowymi, fotelami na kulowych przegubach, i podobne do bulwiastych hydrantów ulicznych podręczne automaty, liczące kontrolerów; był tu wreszcie, pod ścianą, mały, ale jak lalka zgrabny barek z cichutko syczącym ekspresem. Więc to tu znajdowało się kawowe źródło! Swego „Cuiviera” nie mógł stąd Pirx zobaczyć; postawił go, jak mu przykazała kontrola, trzy mile dalej, poza wszystkimi betonami, bo tak się tutaj przygotowywano na przyjęcie pierwszej najcięższej jednostki projektu, jakby nie była wyposażona w najnowsze astrolokacyjne i kosmonautyczne automatyki, które, jak chęlpili się konstruktorzy ze stoczni (znał prawie wszystkich), mogły posadzić ten ćwierćmilowy ogrom, tę żelazną górę na powierzchni wielkości ogródka działkowego. Wszyscy pracownicy portu, z trzech zmian, przyszli na tę uroczystość, która zresztą żadną oficjalną uroczystością nie była; „Ariel”, podobnie jak inne jednostki prototypowe, miał však za sobą dziesiątki próbných lotów i lądowań księżycowych; co prawda, nigdy jeszcze nie wchodził z pełnym obciążeniem w atmosferę. Do lądowania pozostało niespełna pół godziny, więc Pirx przywitał się z tymi, co nie mieli służby, a potem i Seynowi uściśnął rękę; odbiorniki pracowały już, na ekranach telewizyjnych chodziły rozmazane smugi z góry na dół, ale światełka pulpitu zbliżenia wszystkie jeszcze jaśniały niepokalaną zielenią na znak, że zostało mnóstwo czasu i nic się nie dzieje. Romani, kierownik bazy Agathodaemona, zaproponował mu do kawy kieliszek koniaku, Pirx zawahał się, ale w końcu był przecież osobą całkiem prywatną i — chociaż nieprzywykły do tak ранnego używania trunków — pojmował, że chodzi im o symboliczne uświetnienie chwili; czekali však od miesiąca na te najcięższe jednostki, miały zdjąć z głowy kierownictwu bezustanne kłopoty, bo dotąd wciąż toczył się wyścig między żarłocznością budowy, której nie mogła zaspokoić flotylla Projektu, a wysiłkami przewoźników, takich jak Pirx, żeby obracać na trasie Mars — Ziemia tak sprawnie i szybko, jak się tylko dało. Teraz, po opozycji, obie planety zaczynały się rozchodzić, odległość dzieląca je miała już przez całe lata rosnać, aby dojść do przeraźliwego maksimum setek milionów kilometrów; i właśnie w tym najgorszym dla Projektu okresie przybywało potężne wsparcie.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, a kiedy . zieleń zgasła i odezwały się brzęczyki, nastąpiła zupełna cisza. Dzień wstawał typowo marsjański, ani chmurny, ani czysty, bez wyraźnego horyzontu, bez wyraźnego nieba, jak gdyby bez dającego się oznaczyć i rachować czasu. Mimo dnia obrzeża kwadratów betonowych, leżące płasko w centrum Agathodaemona, obwiodły pałające linie, zapaliły się tam automatycznie laserowe oznakowania, a krawędzie centralnej okrągłej tarczy z prawie czarnego betonu wyznaczały błyszczące gwiazdziste jody. Kontrolerzy poprawili się w fotelach, zresztą i tak roboty mieli tyle co nic; za to główny komputer rozjaśnił swoje tarcze, jakby objawiał wszem wobec swą nadzwyczajną ważność, przekaźniki zaczęły gdzieś cichutko stukać i z głośnika doszedł ich wyraźny bas:

— Halo tam, Agathodaemon, tu „Ariel”, mówi Klyne, jesteśmy na optycznej, wysokość sześćset, za dwadzieścia sekund przełączymy się na automaty, do zejścia, odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”! — rzekł skwapliwie Seyn; mały, z dziobatym profilkiem u sitka mikrofonu, doduszał szybko papierosa — mamy was na wszystkich ekranach, na jakich możemy was mieć, kładźcie się i schodźcie ładnie na dół, odbiór!

Żartują tu sobie — pomyślał Pirx, który tego nie lubił, może był przesądny — no, widać mają procedury w małym palcu.

— „Ariel” do Agathodaemona: mamy trzysta, włączamy automaty, schodzimy bez bocznego dryfu, zero na zero, jaka siła wiatru? — odbiór.

— Agathodaemon do „Ariela”: wiatr 180/h, północ–no–północnozachodni, nic wam nie zrobi, odbiór.

— „Ariel” do wszystkich: schodzę na osi ruf owo, automaty przejęły stery, koniec.

Zapadła cisza, tylko przekaźniki coś tam drobily po swojemu, a na ekranach ukazał się już wyraźnie biało płonący punkt, rosnący szybko, jakby ktoś wydymał bańkę ognistego szkła. Była to ziejąca rufa statku, który schodził w samej rzeczy jak zawieszony na niewidzialnym pionie, bez najmniejszych drgnień, bocznych przechyłów, bez śladu zawirowań — Pirxowi przyjemnie było na to patrzeć. Oceniał odległość na jakieś sto kilometrów; przed pięćdziesięcioma nie było sensu zaglądać w niebo przez okna, mimo to zgrupowało się już przy nich sporo obecnych z zadartymi w zenit głowami.

Kontrola miała ciągłą łączność radiofoniczną ze statkiem, ale po prostu nie było o czym mówić; załoga leżała w komplecie na anty grawitacyjnych fotelach, wszystko robiły automaty pod dyktando głównego komputera raketowego, i to on właśnie zdecydował o zmianie ciągu atomowego na borowodorowy — przy sześćdziesięciu kilometrach wysokości, a więc na samej granicy rzadkiej atmosfery. Teraz Pirx podszedł do środkowego, największego okna i natychmiast zobaczył w niebie, przez jego bladyszczą mgiełkę, ostrozielony ogień, mikroskopijny, ale wibrujący niezwykłym blaskiem — jak gdyby ktoś nawiercał z wysokości nieboskłon Marsa płonącym szmaragdem. Od tego równomiernie palącego punktu szły w różne strony blade smużki, były to jakieś wiechetka i strzępy chmur, a raczej tych niedonosków, które w tutejszej atmosferze pełniły zastępczo ich obowiązki. Schwytane w orbitę okrętowego odrzutu, zapalały się i rozpadały jak sztuczne ognie. Statek rósł, a właściwie wciąż tylko rosła jego okrągła rufa. Powietrze najwyraźniej drgało pod nim od żaru i przez to mogło się niedoświadczonemu zdawać, że i sama rakietka trochę chodzi na boki, ale Pirx znał ten obraz zbyt dobrze, by się omylić. Jakoś tak bez żadnego napięcia, w spokoju szło wszystko, przypominał sobie pierwszy krok ludzki na Księżycu, tam też tak poszło, jak po maśle. Rufa była już zieloną palącą się tarczą z aureolą rozbryzgów. Zerknął na główny altimetr nad pulpitemi kontroli, bo przy tak dużej jednostce można się łatwo było omylić w szacunku wysokości; jedenaście, nie, dwanaście kilometrów dzieliło „Ariela” do Marsa — oczywiście opadał coraz wolniej dzięki rosnącemu ciągowi hamowania.

Nagle stało się kilka rzeczy naraz.

Obraz rufowych dysz „Ariela”, w koronie zielonych płomieni, zadrgał inaczej niż dotąd. W głośniku rozległ się jakiś niezrozumiały bełkot, okrzyk, coś jakby „ręczna!”, a może „raczej!” — jedno niepojęte słowo wykrzywane ludzkim głosem, tak odmiennym, że chyba nie był to Klyne. Zieleń buchająca z rufy „Ariela” nagle zbladła. Był to ułamek sekundy. W następnym mgnieniu rozkrzaczyła się straszliwym, błękitnobiałym błyskiem — i Pirx zrozumiał od razu, w dreszczu osłupienia, który przeszył go od stóp do głów, tak że głuchy, ogromny głos, co wyrwał się z głośnika, nie zaskoczył go wcale.

„Ariel” — sapnięcie. — Zmiana procedury. Od meteorytu. Cała naprzód na osi! Uwaga! Cały ciąg!

Był to automat. W tle tego głosu ktoś jakby krzyczał. W każdym razie Pirx prawidłowo zinterpretował zmianę barwy ognia wylotowego: borowodory zastąpił pełny ciąg reaktorów i olbrzymi statek, zahamowany jakby straszliwym uderzeniem niewidzialnej pięści, dygocąc wszystkimi spojeniami, zatrzymał się — a przynajmniej tak to patrzącym wyglądało — w rozrzedzonym powietrzu, tych pięć czy cztery ledwo kilometry nad tarczą kosmodromu. Chodziło o manewr niesamowity — zakazany przez wszystkie reguły, postanowienia, wykraczający poza całą kosmologię: żeby powstrzymać stutysięczną masę — bo wszak trzeba było chyżość jej spadania wygasić pierwej, nim mogła na powrót wystrzelić wzwyż. Pirx zobaczył w perspektywicznym skrócie bok olbrzymiego cylindra. Rakietka straciła pion. Przechylała się. Zaczęła, niezwykle powoli, prostować się, ale wychyliło ją w drugą stronę jak gigantyczne wahadło; ponowny przechył ćwierćmilowego kadłuba w przeciwną stronę był już

większy. Przy tak małej szybkości utrata równowagi była w tej amplitudzie nie do opanowania; dopiero w owych sekundach doszedł Pirxa krzyk głównego kontrolera:

— „Ariel”, „Ariel”! Co robicie?! Co się u was dzieje?!

Jak wiele rzeczy mogło zajść w cząstkach sekund! Pirx, przy równoległym, nie obsadzonym pulpicie, krzyczał całą piersią w mikrofon:

— Klyne! Na ręczną!!! Na ręczną do lądowania!!! Na ręczną!!!

Wtedy nakrył ich nadchodzący przeciągły nieustanny grom. Dopiero teraz dobiegła ich fala dźwiękowa! Jak krótko musiało wszystko trwać! Stojący u okien krzyknęli jednym głosem. Kontrolerzy oderwali się od pulpitu.

„Ariel” spadał młyńcem jak kamień, ślepo wałąc w atmosferę smugami zataczającego się ognia ruf; kręcił się powoli, bezwładny na podobieństwo trupa, jak gdyby ktoś olbrzymią żelazną wieżę cisnął z nieba ku brudnym wydmom pustyni; wszyscy stali jak wryci, w głuchej, straszliwej ciszy, bo już nic nie można było zrobić; głośnik niewyraźnie chrząkał, bormotał odległą wrzawą czy hukami morza, nie wiadomo było, czy to ludzkie głosy, wszystko się tam zlewało w jeden chaos; a biały, jakby skąpany w blaskach, niesamowicie długi cylinder gnał coraz szybciej w dół; wydawało się, że trafi samą kontrolę; ktoś przy Pirxie jęknął. Skurczyli się odruchowo.

Kadłub wyrznął skosem w jedno z niskich obmurowań poza tarczą, złamał się na dwoje i z jakąś dziwną powolnością pękając dalej, że buchnęło szczątkami na wszystkie strony, zarył się w piach; w oka mgnieniu powstała tam na dziesięć piętér wysoka chmura, w której zagrzmiało, zagruchotało, trysnęło ognistymi szwami, ponad zgrzywną zasłonę wyrzuconego piasku wychynał oślepijaco biały wciąż dziób statku, oderwał się od reszty, przeleciał kilkaset metrów w powietrzu, poczuli jedno, drugie, trzecie potężne uderzenie, te wstrząsy gruntu były tak mocne, jak przy trzęsieniu ziemi. Cały budynek podniosło, poszedł w górę i opadł niczym łódka na fali. Potem w piekielnym rumorze rozłamywanego żelastwa wszystko zakryła przed nimi brązowoczarna ściana dymu i kurzu. I to był koniec „Ariela”. Gdy biegli po schodach do komory wyjściowej, Pirx, jeden z pierwszych w kombinezonie, nie miał wątpliwości — z takiego zderzenia nikt nie mógł wyjść żywy.

Potem biegli zataczając się pod uderzeniami wichury; z daleka, od strony klosza, pokazały się pierwsze pojazdy gasienicowe i hovercrafty. Ale już nie trzeba się było spieszyć. Nie było do czego. Pirx sam nie wiedział, jak i kiedy wrócił do budynku kontroli — z obrazem krateru i zgniecionego kadłuba w osłupiałych oczach, tak że na dobre ocknął się dopiero, ujrawszy w ściennym lustrze własną poszarzałą i jakby ściągniętą nagłą twarz.

*

W południe powołano komisję rzeczoznawców do zbadania przyczyn katastrofy. Ekipy robocze koparkami i dźwigami rozwłóczyły jeszcze dzwona ogromnego kadłuba, jeszcze nie dotarto do wrytej głęboko w grunt, zmiażdżonej sterówki, mieszczącej automaty Kontroli, kiedy z Wielkiej Syrty przyleciała grupa specjalistów — jednym z tych dziwnych małych helikopterów o gigantycznych śmigłach, zdolnych do lotu jedynie w rozrzedzonym powietrzu Marsa. Pirx nie włożył nikomu w drogę i nikogo o nic nie pytał, bo aż nazbyt dobrze rozumiał, że sprawa jest wyjątkowo ciemna. W toku normalnej procedury lądowania, podzielonej na uświęcone etapy i zaprogramowanej niczym rozkład jazdy niezawodnych pociągów, bez żadnej widocznej przyczyny główny komputer „Ariela” zgasił borowodorowy ciąg, wyrzucił hasła przypominające szczątkowy alarm meteorytowy i przełączył napęd na ucieczkę od planety całą mocą; stateczności, utraconej podczas tego karkołomnego manewru, nie mógł już odzyskać. O czymś podobnym nie wspominała historia astrolocji i nasuwające się przypuszczenia — że komputer zwyczajnie zawiódł, że się w nim jakieś obwody pozwierzały, przepalały — wyglądały zgoła nieprawdopodobnie, ponieważ szło o jeden z dwóch

programów — startu i lądowania — zabezpieczonych przed awariami taką liczbą zabezpieczeń, że już raczej przychodziło myśleć o sabotażu. Głowił się nad tym w pokoiku, który Seyn oddał mu poprzedniej nocy do dyspozycji, umyślnie nie wysuwając nosa za drzwi, żeby się nie narzucać, tym bardziej że miał przecież za kilkanaście godzin wystartować, a nic takiego nie przychodziło mu do głowy, z czym powinien by pospieszyć do komisji. Okazało się jednak, że nie zapomniano o nim; kilka minut przed pierwszą zajrzał do niego Seyn. Był z nim i Romani; czekał na korytarzu; wychodząc, Pirx w pierwszej chwili nie poznał go; kierownik kompleksu Agathodaemona wydał mu się jednym z mechaników; miał na sobie osmolony, pokryty zaciekami kombinezon, twarz jakby zmaląła z wyczerpania, lewy kąt ust drgał mu co chwila, lecz głos pozostał ten sam; poprosił Pirxa, w imieniu komisji, do której należał, by odłożył start „Cuiviera”.

— Naturalnie... jeżeli jestem potrzebny — Pirx był zaskoczony; zbierał myśli. — Muszę tylko uzyskać zezwolenie Bazy.

— Załatwimy to sami, jeśli się pan zgadza.

Nikt już nic nie powiedział; poszli we trzech do głównego „bombla”, gdzie w długim, niskim pomieszczeniu kierownictwa siedziało dwudziestu kilku rzeczoznawców — kilku miejscowych, większość przyleciała z Wielkiej Syrty. Jako że była pora obiadowa, a szło o każdą godzinę, przyniesiono im zimnego jedzenia z bufetu i tak, przy herbacie, nad talerzykami, przez co wszystko wyglądało dziwnie jakoś nieoficjalnie, a prawie i niepoważnie, zaczęły się obrady. Pirx oczywiście domyślał się, czemu przewodniczący, inżynier Hoyster, jego jako pierwszego poprosił o opis katastrofy. Był on jedynym ponad wszelką wątpliwość niestronniczym świadkiem, bo nie należał ani do zespołu kontroli lotów, ani do załogi Agathodaemona. Gdy Pirx doszedł w zeznaniu do swej reakcji, Hoyster przerwał mu po raz pierwszy.

— Więc pan chciał, żeby Klyne wyłączył całą automatykę i starał się lądować sam, tak?

— Tak.

— A można wiedzieć, czemu?

Pirx nie zwlekał z odpowiedzią.

— Miałem to za jedyną szansę.

— Tak. A nie przypuszczał pan, że przejście na sterowanie ręczne może spowodować utratę stateczności?

— Już była stracona. To można zresztą sprawdzić, są przecież taśmy.

— Oczywiście. Chcieliśmy najpierw wytworzyć sobie obraz ogólny. A... jakie jest pana osobiste zdanie?

— O przyczynie...?

— Tak. Ponieważ na razie nie tyle obradujemy, co informujemy się. Cokolwiek pan powie, nie będzie szczególnie wiążące; cenne może się okazać każde przypuszczenie, nawet ryzykowne.

— Rozumiem. Coś się stało z komputerem. Nie wiem — co, i nie wiem też, jak to możliwe. Gdybym tam nie był sam, nie uwierzyłbym w to, ale byłem i słyszałem. To on odwrócił procedurę — i dał meteorytowe ostrzeżenie, jakkolwiek w poronny sposób. Brzmiało to mniej więcej jak: „meteoryty — uwaga, cała na osi naprzód”. A ponieważ nie było żadnych meteorytów... — Pirx wzruszył ramionami.

— Ten model — „Ariela” — jest udoskonaloną wersją komputera AIBM 09 — zauważył Boulder, elektronik, którego Pirx znał, bo stykał się z nim przelotnie w Wielkiej Syrcie.

Pirx skinął głową.

— Wiem o tym. Dlatego powiedziałem, że nie uwierzyłbym, gdybym tego nie widział na własne oczy. Ale to się stało.

— Jak pan sądzi, komandorze, czemu Klyne nic nie zrobił? — spytał Hoyster.

Pirx poczuł wewnętrzny chłód i nim odpowiedział, spojrzął w obie strony — na

wszystkich. Pytanie takie musiało paść. Wolalby jednak nie być pierwszym, który miał mu sprostac.

— Tego nie wiem.

— Naturalnie. Ale wieloletnie doświadczenie pozwala panu postawić się na jego miejscu...

— Postawiłem się. Zrobiłbym to, do czego próbowałem go sklonić.

— A on?

— Nie było żadnej odpowiedzi. Hałas, jakby krzyki. Trzeba będzie bardzo dokładnie przesłuchać taśmy, ale obawiam się, że to da niewiele.

— Panie komandorze — rzekł cicho, ale dziwnie powoli, jakby ostrożnie dobierając słów, Hoyster — pan orientuje się w sytuacji, nieprawdaż? Dwie następne jednostki tej samej klasy, z takim samym układem sterowania, znajdują się obecnie na linii Aresterra; „Anabis” przybędzie za trzy tygodnie, ale „Ares” już za dziewięć dni. Bez względu na zobowiązania wobec tych, co zginęli, mamy większe wobec żywych. Niewątpliwie przemyślał pan już, w ciągu tych pięciu godzin, wszystko, co zaszło. Nie mogę pana do tego zmusić, ale proszę, żeby pan to nam wyjawiał.

Pirx poczuł, że błędnie. Tego, co chciał powiedzieć Hoyster, domyślił się z jego pierwszych słów i ogarnęło go niezrozumiałe wrażenie, rodem z nocnego snu: aura zacieklego, rozpaczliwego milczenia, w którym walczył z przeciwnikiem bez twarzy i zabijając go razem z nim ginął. Było to mgnienie. Przemógł się i spojrzał Hoysterowi w oczy.

— Rozumiem — powiedział. — Klyne i ja należymy do dwóch różnych generacji. Kiedy zaczynałem latać, zawodność procedur automatycznych była daleko większa... To się utrwała w zachowaniu. Myślę, że... ufał im do końca.

— Sądził, że komputer dysponuje lepszym rozeznaniem? Że opanuje sytuację?

— Nie musiał liczyć na to, że ją opanuje... a tylko, że jeśli nie potrafi, tym bardziej nie dokona tego człowiek.

Pirx odetchnął. Powiedział, co myślał, nie rzucając cienia na młodszego — który już nie żył.

— Czy, podług pana, istniały szansę ocalenia statku?

— Nie wiem. Było bardzo mało czasu. „Ariel” był bliski utraty szybkości.

— Czy pan lądował kiedyś w takich warunkach?

— Tak. Ale statkiem o małej masie — i na Księżycu. Im dłuższa i cięższa jest rakietą, tym trudniej odzyskać stateczność przy utracie szybkości, zwłaszcza gdy się zaczyna przechył.

— Czy Klyne słyszał pana?

— Nie wiem. Powinien był słyszeć.

— Czy przejął stery?

Pirx otwierał już usta, by powiedzieć, że na to jest dowód w rejestrach, ale zamiast tego odparł:

— Nie.

— Skąd pan to wie? — to był Romani.

— Podług kontroli. „Procedura automatyczna” świeciła się przez cały czas. Zgasła dopiero, gdy statek się rozbił

— A czy pan nie uważa, że Klyne nie miał już czasu? — spytał Seyn. Było coś osobliwego w tym, że tak się do niego zwrócił — chociaż byli na „ty”. Jakby powstał między nimi nagły dystans. Wrogość?

— Sytuację można wymodelować matematycznie i wtedy okaże się, czy była jakaś szansa — Pirx starał się o rzeczowość. — Ja tego nie mogę wiedzieć.

— Ale gdy przechył przekroczył 45 stopni, stateczność była nie do odzyskania — upierał się Seyn. — Czy nie tak?

— Na moim „Cuivierze” niekoniecznie. Ciąg można powiększyć — poza dopuszczalną

granicę.

— Przeciążenie powyżej dwudziestu kilku może zabić.

— Zapewne. Ale upadek z pięciu kilometrów musi. Na tym się ta krótka polemika zakończyła. Pod lampami, płonącymi mimo dnia, kładł się płasko dym. Palili.

— Podług pana, Klyne mógł przejąć stery, ale nie zrobił tego. Tak? — wrócił do swego wątku przewodniczący Hoyster.

— Prawdopodobnie mógł.

— Czy nie uważa pan za możliwe, że swoją interwencją zbił pan go z tropu? — odezwał się zastępca Seyna, człowiek z Agathodaemona, którego Pirx nie znał. Tutejsi byli przeciwko niemu? I to mógł zrozumieć.

— Uważam to za możliwe. Tym bardziej że tam, w sterowni, ludzie krzyczeli coś. Tak to wyglądało.

— Na panikę? — spytał Hoyster.

— Nie odpowiem na to pytanie.

— Dlaczego?

— Proszę przesłuchać taśmy. To nie są ściśle dane — hałas, który można sobie rozmaicie tłumaczyć.

— Czy kontrola naziemna mogła, podług pana opinii, coś jeszcze zrobić? — pytał z kamienną twarzą Hoyster. Wyglądało na to, że wewnątrz komisji zachodzi rozłam. Hoyster był z Wielkiej Syrty.

— Nie. Nic.

— Temu, co pan powiedział, zaprzecza pana własny postępek.

— Nie. Kontrola nie ma prawa mieszać się do decyzji dowódcy — w podobnej sytuacji. W sterowni może ona inaczej wyglądać niż na dole.

— Przyznaje pan więc, że pan działał wbrew przyjętym zasadom? — raz jeszcze odezwał się zastępca Seyna.

— Tak.

— Dlaczego? — pytał Hoyster.

— Zasady nie są dla mnie święte. Robię zawsze to, co uważam za właściwe podług własnego zdania. Zdarzyło mi się już za to odpowiadać.

— Przed kim?

— Przed Trybunałem Izby Kosmicznej.

— Ale został pan oczyszczony od zarzutów oskarżenia? — zauważył Boulder. Wielka Syrta — i Agathodaemon. To było prawie wyraźne.

Pirx milczał.

— Dziękuję panu.

Przesiadł się na stojące z boku krzesło, bo zeznawał z kolei Seyn, potem jego zastępca. Nim skończyli, przyniesiono pierwsze taśmy z budynku kontroli lotów. Przychodziły też telefoniczne meldunki z prac we wraku „Ariela”. Już było pewne, że nikt nie pozostał przy życiu, ale do sterowni nie dostali się: weszła na jedenaście metrów w głąb gruntu. Przesłuchiwanie taśm, protokołowanie zeznań trwało bez przerwy do siódmej. Potem zrobiono godzinną przerwę. Syrtyjczycy z Seynem pojechali na miejsce katastrofy. Romani w przejściu zatrzymał Pirxa.

— Komandorze...

— Słucham

— Pan nie ma tu do nikogo...

— Proszę tak nie mówić. Stawka jest zbyt wysoka — przerwał mu Pirx.

Tamten pokiwał głową.

— Zostanie pan, na razie, na siedemdziesiąt dwie godziny. Załatwiliśmy to już z Bazą.

— Z Ziemią...? — Pirx był zaskoczony. — Nie wydaje mi się, żebym mógł jeszcze

pomóc...

— Hoyster, Rahaman i Boulder chcą dokooptować pana do składu komisji. Nie odmówi pan? Sami ludzie Syrty.

— Choćbym chciał, nie mogę — odpowiedział i na tym się rozstali.

O dziewiątej wieczorem zebrali się ponownie. Pełne przesłuchanie taśm było dramatyczne — a jeszcze bardziej film, który przyszło obejrzeć, pokazujący wszystkie fazy katastrofy, od pojawienia się w zenicie zielonej gwiazdy „Ariela”. Hoyster podsumował potem tymczasowe wyniki badań — bardzo lakonicznie.

— Wygląda istotnie na to, że zawiódł komputer. Jeśli nie ogłosił normalnym trybem meteorowego alarmu — zachował się tak, jakby „Ariel” leżał na kolizyjnym kursie z jakąś masą. Rejestraty wykazują, że przekroczył dozwoloną moc ciągu o trzy jednostki. Dlaczego to zrobił, nie wiemy. Może wyjaśni coś sterownia — miał na myśli taśmy rejestrujące „Ariela”; Pirx był tu sceptykiem. — Tego, co się działo w sterowni w ostatnich chwilach, nie można zrozumieć. W każdym razie komputer nie zawiódł pod względem operacyjnego tempa — w szczycie kryzysu podejmował decyzje z pełną sprawnością, bo iterował w nanosekundach wszystkie swoje polecenia dla agregatów. Także agregaty pracowały bez zarzutu do końca. To całkiem pewne. Nie wykryliśmy absolutnie niczego, co by mogło świadczyć o zewnętrznym lub wewnętrznym zagrożeniu procedury wdrożonego lądowania. Od godziny 7,03 do 7,08 przebiegało doskonale. Decyzja komputera — odwrócenia procedury i próby poronnego startu — nie daje się, jak dotąd, niczym wyjaśnić. Kolego Boulder?

— Nie rozumiem tego.

— Błąd programowania?

— Wykluczony. „Ariel” lądował tym programem szereg razy — osiowo i we wszystkich możliwych dryfach.

— Ale na Księżycu. Tam jest mniejsze ciężenie.

— To może mieć pewne znaczenie dla agregatów mocy, ale nie dla zespołów informacji. A moc nie zawiódła.

— Kolego Rahaman?

— Nie znam dobrze tego programu.

— Ale model komputera pan zna?

— Tak.

— Co może przerwać tok procedury lądowania, jeżeli nie ma przyczyn zewnętrznych?

— Nic.

— Nic?

— Bomba podłożona pod komputer — zapewne... Padły wreszcie te słowa. Pirx słuchał z największą uwagą. Szumiały ekshaustory, dym zgęszczał się przy ich wylotach pod sufitem.

— Sabotaż?

— Komputer działał do końca, jakkolwiek w sposób dla nas niepojęty — zauważył Kerhoven, jedyny intelektownik w komisji, który był miejscowym człowiekiem.

— No... bomba, tak to tylko powiedziałem — wycofał się Rahaman. — Procedurę główną, więc lądowania albo startu, może przerwać w normie, jeśli komputer jest sprawny, tylko coś nadzwyczajnego. Wypadnięcie mocy...

— Moc była.

— Ale w zasadzie komputer może przerwać główną procedurą?

Przewodniczący wiedział to przecież. Pirx rozumiał, że nie mówi teraz do nich: mówił to, co miała usłyszeć Ziemia.

— Teoretycznie może. Praktycznie — nie. Od czasu powstania kosmonautyki nie zdarzył się alarm meteorowy w toku lądowania. Meteoryt można wszak wykryć w zbliżaniu. Wtedy lądowanie po prostu się odracza.

— Ale nie było przecież żadnych meteorytów?

— Nie.

To był koniec ślepej uliczki. Przez chwilę panowała cisza. Ekshaustory szumiały. Było już ciemno za okrągłymi oknami. Marsjańska noc.

— Potrzebujemy ludzi, którzy budowali ten model i którzy go obciążyli testowo — rzekł wreszcie Rahaman.

Hoyster skinął głową. Przeglądał podany mu przez telefonistkę meldunek. — Do sterowni dotrą za jakąś godzinę — rzekł. A potem, podnosząc głowę: — Macross i van der Voyt wezmą jutro udział w obradach.

Nastąpiło poruszenie. Byli to główny dyrektor i główny konstruktor stoczni, która budowała stutysięczniki.

— J u t r o ? — Pirxowi zdawało się, że się przesłyszał.

— Tak. Nie tutaj, oczywiście. Będą obecni — telewizyjnie. Dzięki bezpośredniej łączności. Oto depesza — podniósł meldunek.

— Ależ...! Jakie jest teraz opóźnienie? — spytał ktoś.

— Ośmiominutowe.

— Jakże oni to sobie wyobrażają? Będziemy czekali w nieskończoność na każdą replikę — rozległy się głosy.

Hoyster wzruszył ramionami.

— Musimy się podporządkować. Pewno, że to będzie kłopotliwe. Opracujemy odpowiednią procedurę...

— Odraczymy obrady do jutra? — spytał Romani.

— Tak. Zbierzemy się o szóstej rano. Będą już rejestraty ze sterowni.

Pirx, któremu Romani zaoferował nocleg u siebie, był z tego rad. Wolał nie stykać się z Seynem. Rozumiał jego zachowanie, choć go nie pochwalał. Nie bez trudu ulokowano wszystkich Syrtyczyków i o północy Pirx został sam w maleńkiej klitce, która służyła kierownikowi za podręczną bibliotekę i prywatny gabinet roboczy. Położył się w ubraniu na rozstawionym między teodolitami małym łóżku polowym, z rękami pod głową, wpatrzony w sufit, i leżał tak z nieruchomymi oczami, prawie nie oddychając.

Rzecz dziwna, tam, wśród obcych ludzi, przeżywał katastrofę jak gdyby z zewnątrz, jako jeden z wielu świadków; nie był do końca zaangażowany nawet wówczas, gdy wyczuwał niechęć i animozję za pytaniami — wiszące w powietrzu oskarżenie intruza o to, że chce zdominować miejscowych specjalistów — nawet kiedy Seyn stawał przeciw niemu; było to wszystko wciąż na zewnątrz, osadzone w naturalnym wymiarze nieuchronnego: tak musiało być w podobnych okolicznościach. Gotów był odpowiadać za to, co zrobił, ale zgodnie z racjonalnymi przesłankami, więc nie czuł się odpowiedzialny za nieszczęście. Był wstrząśnięty, zachował jednak spokój, pozostał w nim do końca obserwator, niezupełnie poddany wypadkom, bo układały się systematycznie — przy całej niezrozumiałości można je było sekcjonować, wystygłe, porozdzielane, w uchwycie, jaki nadawał sam oficjalny tok obrad. Teraz to wszystko się rozpadło. Nie myślał nic, nie przywoływał żadnych obrazów, powtarzały się same z siebie, od początku: ekrany telewizyjne, na nich — wejście statku w przymarsie, wyhamowanie kosmicznej zmiany ciągów; był jakby wszędzie naraz, w kontroli i w sterowni, znał te głuche udary, te dudnienia rozbiegające się po kilu i wręgach, kiedy wielką moc zastępowała dygotliwa praca borowodorów, bas, którym turbopompy zapewniały, że tłoczą paliwo, wsteczny ciąg, opadanie rufą, majestatycznie powolne, małe poprawki boczne i to załamanie się, ten grom nagłego obrotu ciągów, gdy pełna moc znów wskoczyła w dysze, wibracja, destabilizacja, rakieta wychwytywana rozpaczliwie, idąca wahadłem, kołysząca się jak pijana wieża, nim runęła z wysokości już bezwładna, już martwa, niesterowna, ślepa jak kamień, upadek i zgruchotanie góry — a on był wszędzie. Był jakby samym walczącym statkiem i odczuwając boleśnie zupełną niedostępność, ostateczne

zamknięcie tego, co się stało, jednocześnie powracał do ułamkowych chwil, jakby z ponawiającym się w milczeniu pytaniem, szukając tego, co zawiodło. To, czy Klyne usiłował przejąć stery, było teraz już bez znaczenia. W gruncie rzeczy kontrola była bez zarzutu, chociaż tam sobie żartowali, ale to mogło urazić tylko przesądnego czy też ukształtowanego w czasach, w których nie można sobie było pozwolić na niefrasobliwość. Rozumowo wiedział, że nic w tym złego. Leżał na wznak, a jakby stał przy skośnym oknie, celującym w zenit, kiedy zieleń iskrzącej się gwiazdy borowodorów pochłonął straszny słoneczny blask, tym pulsem tak charakterystycznym dla atomowej mocy, w dyszach, co już poczynąły stygnąć — przez to właśnie nie wolno wprowadzać całej tak gwałtownie — rakieta zahuśtała się najpierw jak serce dzwonu kołysanego oszalałymi rękami i kłoniła się swoją niesamowitą długością, bo była tak ogromna, jakby samymi rozmiarami, samym rozmachem wielkości wyszła poza granicę wszelkich zagrożeń — tak samo musieli myśleć, przed wiekiem, pasażerowie „Titanica”.

Nagle wszystko to zgasło, jakby się zbudził. Wstał, umył twarz, ręce, otworzył neseser, wyjął piżamę, pantofle, szczoteczkę do zębów, i trzeci raz tego dnia zobaczył siebie w lustrze umywalki — jak kogoś obcego.

Między trzydziestką a czterdziestką, bliżej drugiej: smuga cienia — kiedy już przychodzi akceptować warunki nie podpisanego kontraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, że to, co obowiązuje innych, odnosi się i do ciebie, że z tej reguły nie ma wyjątków: chociaż to przeciwne naturze, należy się jednak starzeć. Dotąd robiło to po kryjomu ciało — tego już nie dość. Wymagana jest zgoda. Młodzieńczy wiek ustanawia jako regułę gry — nie, jako jej fundament — niezmienną własną: byłem dziecinny, niedorosły, ale już jestem prawdziwym sobą i taki zostanę. Ten nonsens jest przecież podstawą egzystencji. W odkryciu bezzasadności tego ustalenia zrazu tkwi więcej zdziwienia niż lęku. Jest to poczucie oburzenia tak mocne, jakbyś przejrzał i dostrzegł, że gra, do jakiej cię wciągnięto, jest oszukańcza. Rozgrywka miała być całkiem inna; po zaskoczeniu, gniewie, oporze zaczyna się powolne pertraktacje z samym sobą, z własnym ciałem, które można by wysłowić tak: bez względu na to, jak płynnie i niepostrzeżenie starzejemy się fizycznie, nigdy nie jesteśmy zdolni dostosować się umysłowo do takiej ciągłości. Nastawiamy się na trzydzieści pięć, potem na czterdzieści lat, jakby już w tym wieku miało się zostać, i trzeba potem przy kolejnej rewizji przełamania samoobludy, natrafiającego na taki opór, że impet powoduje jak gdyby nazbyt daleki skok. Czterdziestolatek pocznie się wtedy zachowywać tak, jak sobie wyobraża sposób bycia człowieka starego. Uznawszy raz nieuchronność, kontynuujemy grę z ponurą zaciekłością, jakby chcąc przewrotnie zdublować stawkę; proszę bardzo, jeśli ten bezwstyd, to cyniczne, okrutne żądanie, ten oblig ma być wypłacony, jeżeli muszę płacić, chociaż nie godziłem się, nie chciałem, nie wiedziałem, masz więcej, niż wynosi zadłużenie — podług tej zasady, brzmiącej humorystycznie, gdy ją tak nazwać, usiłujemy przelicytować przeciwnika. Będę ci tak od razu stary, że stracisz kontenans. Chociaż tkwimy w smudze cienia, prawie za nią, w fazie tracenia i oddawania pozycji, w samej rzeczy wciąż walczymy jeszcze, bo stawiamy oczywiście opór, i przez tę szamotaninę psychicznie starzejemy się skokami. To przeciągamy, to nie dociągamy, aż ujrzymy, jak zwykle zbyt późno, że cała ta potyczka, te samostraceńcze przebiecia, rejterady, butady też były niepoważne. Starzejemy się bowiem jak dzieci, to znaczy odmawiając zgody na to, na co zgoda nasza jest z góry niepotrzebna, bo zawsze tak jest, gdzie nie ma miejsca na spór ani walkę — podszytą nadto załamaniem. Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma nietkniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadna zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołalną rzeczywistością; wstęp — treścią właściwą; nadzieje — mrzonkami; nie obowiązujące zaś, prowizoryczne, tymczasowe i byle jakie — jedyną zawartością życia. Nic z tego, co się nie spełniło, już na pewno się nie spełni;

i trzeba się z tym pogodzić milcząc, bez strachu, a jeśli się da — i bez rozpacz.

Jest to wiek krytyczny dla kosmonautów — dla nich jak dla nikogo, bo w tym zawodzie każdy, kto nie jest sprawny doskonale, od razu nie jest nic wart. Jak powiadają czasem fizjologowie, wymagania stawiane przez kosmologię są zbyt wielkie, nawet dla najsprawniejszych cieleśnie i duchowo; odpadając od czołówki, traci się tu wszystko naraz. Komisje lekarskie są bezwzględne w sposób przerażający dla jednostek, ale konieczny, bo nikomu nie można pozwolić na śmierć ani na zawał u sterów. Ludzie z pozoru pełni sił schodzą z pokładów i za jednym zamachem widzą się u kresu; lekarze są tak. przyzwyczajeni do wybiegów, do rozpaczliwej dysymulacji, że wykrycie jej nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji dyscyplinarnych, moralnych, niczego; prawie nikt nie może przeciągnąć okresu czynnej służby poza pięćdziesiątkę. Przeciążenia są największym wrogiem mózgu; może za sto albo za tysiąc lat to się zmieni; na razie perspektywa ta zadrezcza podczas miesięcy lotu każdego — w smudze cienia.

Klyne był kosmonautą następnej generacji, a jego, Pirxa, wiedział o tym, młodszy nazywali „wrogiem automatów”, „konserwatystą”, „mamutem”. Niektórzy z jego rówieśników już nie latali; podług uzdolnień i możliwości przekwalifikowywali się na wykładowców, członków Izby Kosmicznej, szli na synekury po stocznjach, zasiadali w radach nadzorczych, zajmowali się swoimi ogródkami. Na ogół trzymali się; odgrywali nieźle swoje pogodzenie się z nieuchronnym — ale Bóg wie, ile to niejednego kosztowało. A zdarzały się i postęпки nieodpowiedzialne, wynikające z niezgody, bezsilnej odmowy, z pychy i wściekłości, z poczucia niesprawiedliwie doznanego nieszczęścia. Wariatów nie znał ten zawód; ale jednostki zbliżały się niebezpiecznie w stronę obłądzenia, choć nie przekraczały ostatniej granicy; jednakowoż, pod rosnącym ciśnieniem nadciągającego, bywały wysoki, co najmniej — dziwaczne... O, tak, znał te różne dziwactwa, aberracje, przesady, którym ulegali i obcy, i ci, z którymi zżył się przez lata, za których kiedyś, zdawało się, mógł ręczyć. Słodka ignorancja nie jest przywilejem fachu, w którym tyle rzeczy trzeba wiedzieć koniecznie; każdego dnia ginie w mózgu nieodwracalnie kilka tysięcy neuronów i już przed trzydziestką rozpoczyna się ten szczególny, niewyczuwalny, ale nieustający wyścig, rywalizacja między słabnięciem funkcji podmywanej atrofią — i jej doskonaleniem zawdzięczanym rosnącemu doświadczeniu; tak powstaje chwiejna równowaga, balans iście akrobatyczny, z którym przychodzi żyć — i latać. I śnić. Kogo zabijał tyle razy poprzedniej nocy? Czy nie miało to jakiegoś szczególnego znaczenia? Kładąc się na polowym łóżeczku, które zatrzeszczało pod jego ciężarem, pomyślał, że, być może, nie uda mu się zasnąć; nie znał dotąd bezsenności, ale kiedyś musiała przecież nadejść. Ta myśl zaniepokoiła go dziwacznie. Bezsennej nocy nie obawiał się wcale, a tylko taka krnąbrność ciała, oznaczająca rozpanoszenie się tego, co było dotąd niezawodne, nawet jako możliwość nabrała w tym momencie sensu nieomal kłęski. Nie życzył sobie po prostu leżenia z otwartymi oczami, wbrew woli, więc chociaż było to głupie, usiadł, bezmyślnie spojrział na swoją zieloną piżamę i zwrócił oczy na półki z książkami. Nie spodziewał się na nich niczego ciekawego i zaskoczył go rząd grubych tomów ponad zdiobaną cyrkłami rysownicą. Stała tam, w rozwiniętym szyku, cała niemal historia areologii, większość tych książek znał, bo te same egzemplarze tkwiły w jego biblioteczkę na Ziemi; wstał i po kolei jął dotykać solidnych grzbietów. Był tu nie tylko ojciec astronomii Herschel, ale sam Kepler, *Astronomia nova seu Physica coelestis tradita commentariis de motibus stellae martis* — podług badań Tycho de Brahe, wydanie z 1784 roku. A dalej Flammarion, Backhuysen, Kaiser i wielki fantasta Schiaparelli, jego *Memoria terza*, ciemne wydanie rzymskie, i Arrhenius, i Antoniadi, Kuiper, Lowell, Pickering, Saheko, Struve, Vaucouleurs, aż do Wernhera Brauna z jego *Projektem Marsa*, i mapy, rulony map, ze wszystkimi kanałami 196 — Margaritififer Sinus, Lacus Solis i sam Agathodaemon... Stał tak, nie musiał otwierać żadnej z tych książek o wyślizganych, grubych jak deski okładkach. W zapachu starego płótna, osnowy, żółtawych kart, w którym było coś dostojnego i

strupieszalego zarazem, ożyły godziny spędzone nad tajemnicą szturmowaną przez dwa wieki, obłożoną mrowiem hipotez: umierali po kolei, nie doczekawszy się rozstrzygnięcia. Antoniadi przez całe życie nie widział kanałów, aż u schyłku starości niechętnie przyznał się „do jakichś linii, co podobnie wyglądały”. Graff nie dostrzegł żadnego do końca i mówił, że brak mu „imaginacji” kolegów. „Kanalisci” zaś widzieli i rysowali po nocach, czekając godzinami u okularu na jeden z sekundowych momentów znieruchomienia atmosfery, bo wówczas — zapewniali — na buromgławowej tarczce pojawia się precyzyjnie ostra, od włosa cieńsza sieć. Lowell rysował gęstą, Pickering rzadszą, ale ten miał szczęście do „geminacji”, jak nazywano zdumiewające podwajanie się kanałów. Złudzenie? Więc czemu niektóre kanały nigdy się nie chciały podwajać? Ślęczał nad tymi książkami jako kadet, w czytelnicy, bo tak zabytkowych nie wypożyczano. Był — czy trzeba to powiedzieć? — po stronie „kanalistów”. Ich argumenty brzmiały mu niezbitcie: Graff, Antoniadi, Hali, którzy pozostali niewiernymi Tomaszami, mieli obserwatoria w miastach Północy, zadymionych, z wiecznie ruchliwym powietrzem, podczas gdy Schiaparelli pracował w Mediolanie, a Pickering siedział na swojej górze, nad pustynią Arizony. „Antykanalisci” robili przemyślnie eksperymenty: dawali odrysowywać tarczkę z bezładnie naniesionymi kropkami i kleksami, które, przy większej odległości, układały się w podobieństwo sieci kanałów, a potem pytali: Dlaczego nie widać ich przez najsilniejsze instrumenty? Dlaczego nie uzbrojonym okiem można się dopatrzeć kanałów i na Księżycu? Dlaczego nie widzieli żadnych kanałów pierwsi obserwatorzy, a po Schiaparellim już wszyscy poszli pod jego komendę? A tamci odpowiadali: w erze przedteleskopowej nikt, nigdy, żadnych kanałów na Księżycu nie dostrzegali. Duże teleskopy nie pozwalają stosować pełnej apertury, maksymalnych powiększeń, bo atmosfera ziemską nie jest dostatecznie spokojna; eksperymenty z rysunkami są wymiennym sprawą. „Kanalisci” na wszystko mieli odpowiedź. Mars — to jeden olbrzymi zamrożony ocean, kanały — to pęknięcia jego lodowych pól, rozmykających się pod uderzeniami meteorów; nie: kanały — to szerokie doliny, którymi płyną wody odwilży wiosennej, a na brzegach rozkwita wtedy marsjańska roślinność. Spektroskopia przekreśliła i tę szansę: zbyt mało wyjawiała wody, więc ujrzeli w kanałach ogromne zapadliska, długie doliny, którymi płyną od bieguna ku równikowi rzeki chmur, popędzane konwekcyjnymi prądami. Schiaparelli nigdy nie chciał wyraźnie oświadczyć, że są to twory obcego rozumu, wykorzystywał dwuznaczność terminu „kanał”, był to szczególnie punkt — owa wstydlivość mediolańczyka i wielu innych astronomów, nie nazywali rzeczy po imieniu, rysowali tylko mapy i przedstawiali je, ale Schiaparelli pozostawił w papierach rysunki tłumaczące, w jaki sposób może przychodzić do rozdwarzania się, słynnej geminacji: gdy woda wdziera się do równoległych koryt, dotychczas wyschłych — jej przybór zaciemnia nagle linie, jakby ktoś napuścił tuszu do zacięć w drzewie. Przeciwnicy zaś nie tylko przeczyli istnieniu kanałów, nie tylko gromadzili negatywną argumentację, ale z biegiem czasu zdawali się żywić względem nich coraz bardziej palącą nienawiść. Wallace, drugi obok Darwina twórca teorii naturalnej ewolucji, więc nawet nie astronom, który w życiu chyba nie widział Marsa przez szkła, w stustronicowym pamflecie zniszczył wraz z kanałami wszelką myśl o istnieniu życia na Marsie; Mars — pisał — nie tylko nie jest zamieszkały przez inteligentne istoty, jak to głosi pan Lowell, ale jest absolutnie niemieszkalny. Nie było letnich areologów, każdy musiał wyraźnie wyznać swe credo. Następną generacją kanalistów opisywała już cywilizację Marsa i rozziw powiększał się: żywy obszar prac rozumu — mówili jedni; pustynny trup — odpowiadali im drudzy. Potem Saheko dostrzegali owe tajemnicze błyski, krótkotrwałe, wygaszane powstającymi chmurami, zbyt krótkie jak na wulkaniczny wybuch, pojawiające się przy wzajemnej opozycji planet, co wykluczała odbłysk Słońca w lodowym stoku górskim, i to jeszcze przed wyzwoleniem energii atomowej, tak że myśl o marsjańskich testach jądrowych wynikła później... Jedna strona musiała mieć słuszość; w pierwszej połowie dwudziestego wieku godzono się powszechnie, że nie ma wprawdzie

geometrycznych kanałów Schiaparellego, ale istnieje jednak coś, co umożliwia ich dostrzeżenie, oko dopowiada, lecz nie halucynuje z niczego; kanały obserwowano zbyt wielu ludzi ze zbyt wielu różnych miejsc Ziemi. A więc pewno nie otwarte wody w polach lodowych i nie prądy niskich chmur w brzegach dolin, może nawet nie pasy roślinności, ale jednak coś, kto wie — bardziej jeszcze niezrozumiałego, zagadkowego, co czekało oczu ludzkich, fotograficznych obiektów i automatycznych sond.

Pirx nie przyznał się nikomu do myśli, jakie towarzyszyły tym zachłannym lekturom, lecz Boerst, bystry i bezwzględny, jak przystało na prymusa, wydobył na jaw jego tajemnicę i uczynił go na kilka tygodni pośmiewiskiem kursu: zrobił z niego „kanałowca Pirxa”, który w astronomii obserwacyjnej ufundował doktrynę „credo, quia non est”. Albowiem Pirx wiedział przecie, że nie ma żadnych kanałów i że, co gorsze, a co chyba jeszcze okrutniejsze, nie ma w ogóle n i c z e g o, co by je przypominało. Jakże mógł nie wiedzieć, skoro Mars był zdobyty od lat, skoro zdawał areograficzne kolokwia i nie tylko musiał orientować dokładne mapy fotograficzne pod okiem asystentów, ale na praktycznych zajęciach lądował, w symulatorze, na tym samym dnie Agathodaemona, na którym teraz stał, pod kloszem Projektu, przed półką z dwustuletnim dorobkiem astronomii, stanowiącym muzealny zabytek. Ma się rozumieć, że wszystko to wiedział, lecz wiedza ta tkwiła w jego głowie gdzieś zupełnie o s o b n o, nie podlegała sprawdzeniom, jakby były jednym wielkim oszustwem. Jak gdyby nadal istniał jakiś inny, nieosiągalny, pokryty zarysem geometrycznym, tajemniczy Mars.

Podczas lotu na linii Aresterra jest taki czas, taka strefa, z której doprawdy zaczyna się widzieć gołym okiem — i to widzieć trwale, godzinami — to, co Schiaparelli. Lowell i Pickering obserwowali tylko w mgnieniach atmosferycznego zastoju. Przez bulę je można zobaczyć kanały — czasem przez dobę, niekiedy przez dwie — formujące się nikłym rysunkiem w tle burej, nieprzyjaznej tarczy. A potem, gdy glob zbliży się bardziej, poczynają niknąć, rozpuszczać się, jeden po drugim rozplývają się w nicość, nie zostaje po nich najślabszy ślad, a tylko wyzbyta wszelkich ostrych konturów tarcza planetarna zdaje się swoją nudną, szarą obojętnością drwić z nadziei, jakie wzbudziła. Zapewne: po dalszych tygodniach lotu coś wreszcie wyłania się definitywnie i już nie rozplýwa, ale wtedy są to po prostu wyszczerbione obrzeża największych kraterów, dzikie nagromadzenia zwietrzałych skał, bezładne rumowiska, utopione w głębokich pokładach burego piachu, niepodobne w niczym do tamtej czystej precyzji geometrycznego rysunku. Swój chaos planeta objawia z bliska już uległe i ostatecznie, niezdolna wycofać się z tak naocznego obrazu miliardoletniej erozji; chaos ów nie daje się wprost pogodzić z tamtym pamiętnym, czystym rysunkiem, który stanowił zarys czegoś, co przemawiało tak intensywnie i budziło takie wzruszenie, ponieważ szło o logiczny ład, o niezrozumiały, ale manifestujący swą obecność s e n s jakiś, który domagał się jedynie znaczniejszego wysiłku — dla ogarnięcia.

Więc gdzież on właściwie był i co kryło się w tak szyderczym mirażu? Projekcja siatkówki oka, jej optycznych mechanizmów? Aktywności wzrokowej kory mózgu? Na to pytanie nikt nie zamierzał udzielić odpowiedzi, ponieważ problem, kiedy upadł, podzielił los wszystkich przekreślonych, przez postęp zgruchotanych hipotez: wymieciono go do rupieciarni. Skoro nie było kanałów ani nawet czegoś szczególnego w rzeźbie planety, co by w wyjątkowy sposób stwarzało ich doskonałe wrażenie — nie było o czym mówić, nad czym się zastanawiać. Więc dobrze się stało, że tych trzeźwiących rewelacji nie dożył żaden „kanalista”, tak samo jak żaden z „antykanalistów”, ponieważ zagadka wcale nie została rozwiązana: ona tylko znikła. Są przecie inne planety o niewyraźnych tarczach; kanałów nie widziano na żadnej — nigdy. Nikt ich nie dostrzegł, nikt nie rysował. Czemu? Nie wiadomo.

Zapewne, można było snuć hipotezy i na ten temat: potrzebna była szczególna mieszanina dystansu i powiększenia optycznego, przedmiotowego chaosu i podmiotowej tęsknoty za porządkiem, ostatnich śladów tego, co, wyłaniając się z mętnej plamki w okularze, trwając

poza granicą postrzegalności, sekundowo do niej jednak prawie że docierało; czyli — niechby najniklejszego oparcia i nieświadomych jego potrzeby rojeń, żeby został napisany ten rozdział, zamknięty już, astronomii.

Żądając od planety, aby się opowiedziała po jednej ze stron, trwając na pozycjach gry do końca uczciwej, pokolenia areologów schodziły do grobu twardo wierząc w to, że sprawa dostanie się wreszcie przed właściwe trybunały, że zostanie do końca, sprawiedliwie i wyraźnie rozstrzygnięta. Pirx czuł, że oni wszyscy — choć, dla rozmaitych przyczyn, w niejednakowy sposób — poczuliby się zawiedzeni i oszukani, gdyby mogli dostąpić dokładnego oświecenia, jakie stało się jego udziałem. W tym przekreśleniu pytań i odpowiedzi, w totalnej nieodpowiedniości pojęć względem zagadkowego obiektu — była jakaś gorzka, ale istotna, okrutna, ale pouczająca lekcja, która — przeszło go nagle olśnienie — miała związek z tym, w co teraz wszedł i nad czym łamał sobie głowę.

Związek starej areografii z katastrofą „Ariela”? Ale jaki? I jak należało rozumieć to mętne, chociaż tak intensywne wyobrażenie? Nie wiedział. Był jednak zupełnie pewien, że tego połączenia tak niepodobnych do siebie, tak odległych spraw ani teraz, w środku nocy, nie przejrzy — ani nie zapomni. Należało rzecz przespać. Gasząc światło pomyślał jeszcze, że Romani musiał być o wiele bogatszym duchowo człowiekiem, niżby się dało przypuścić. Te książki stanowiły jego własność prywatną, a o każdy kilogram osobistych rzeczy, przywożonych na Marsa, szły spory; rozważny zarząd Projektu pozawieszał w ziemskim kosmodromie instrukcje i apele do poczucia lojalności pracowników, tłumacząc, jak obciążanie raket zbędnym balastem szkodzi sprawie. Dopraszano się racjonalności, a sam Romani, w końcu kierownik Agathodaemona, naruszył owe przepisy i zasady, przywożąc kilkadziesiąt kilogramów dzieł wszechstronnie zbędnych — po co właściwie? O tym, aby je mógł czytać, nie było mowy.

Już w ciemności uśmiechnął się, senny, do myśli, która wyjaśniała rację tych bibliofilskich staroci pod kloszem marsjańskiego Projektu. Zapewne, nic nikomu tu po takich książkach, po ewangeliach i zburzonych prorocत्वach. Ale wydawało się rzeczą godziwą, więcej — konieczną, żeby myśli tych ludzi, którzy oddali, co mieli najlepszego, zagadce czerwonej planety, znalazły się — przy pełnym już pogodzeniu najzacieklejszych przeciwników — na Marsie. To im się należało; a Romani, który rzecz rozumiał, był godnym zaufania człowiekiem.

Zbudził się o piątej z kamiennego snu, od razu trzeźwy, jakby wyszedł z chłodnej wody, i mając jeszcze kilka chwil dla siebie — dał sobie pięć minut, nieraz tak robił — pomyślał o dowódcy rozbitego statku. Nie wiedział, czy Klyne mógł uratować „Ariela” z trzydziestoma ludźmi załogi, ale nie wiedział też, czy Klyne próbował walczyć. To było pokolenie racjonalistów, podciągali się do niezawodnie logicznych sojuszników — komputerów, bo stawiały coraz większe wymagania, gdy je ktoś chciał kontrolować. Toteż łatwiej było się zdać na nie ślepo. On tego nie potrafił, chociażby sto razy chciał. Tę nieufność miał w kościach. Włączył radio.

Burza wybuchła. Spodziewał się jej, lecz zaskoczyły go rozmiary hysterii. Trzy kwestie dominowały w radiowym przeglądzie prasy: podejrzenia o sabotaż, niepewność losu statków lecących na Marsa i — oczywiście — konsekwencje polityczne całej sprawy. Największe dzienniki były ostrożne w wysuwaniu hipotezy sabotażu, ale prasa brukowa tu sobie pofolgowała. Moc było też krytyki stutysięczników: że ich nie wypróbowano dostatecznie, że nie mogły startować z Ziemi, a — co gorsze — niepodobna było zawrócić ich z drogi, bo brakło im dostatecznej rezerwy paliwa; nie dałoby się ich też wylądować na okółomarsjańskich orbitach. To była prawda; musiały stanąć na Marsie. Ale trzy lata wcześniej próbny prototyp, co prawda z innym nieco modelem komputera, lądował na Marsie kilkakrotnie z pełnym powodzeniem. Domorośli rzeczoznawcy zdawali się o tym nie wiedzieć. Rozpętała się też kampania zmierzająca do zniszczenia politycznych popleczników

Projekt Marsa; nazywano go wręcz szaleństwem. Musiały już gdzieś być gotowe listy wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu prac na obu przyczółkach, krytykowano sposób zatwierdzania projektów i testowania prototypów, suchej nitki nie zostawiono na czołowych postaciach marsjańskiego zarządu; ogólny ton był kasandryczny.

Kiedy zgłosił się o szóstej do kierownictwa, okazało się, że nie należy już do żadnej komisji, bo tę ich samozwańczą organizację Ziemia zdążyła anulować; mogli robić, co chcieli, ale wszystko miało się rozpocząć od nowa, oficjalnie i legalnie, dopiero po przyłączeniu ziemskiej grupy. Zdymisjowane gremium znalazło się jak gdyby w korzystniejszej niż wczoraj sytuacji: skoro nie miało o niczym decydować, tym swobodniej można było przygotować postulaty i wnioski dla instancji wyższej, to znaczy ziemskiej. Sytuacja materiałowa była w Wielkiej Syrcie dość złożona, ale nie krytyczna, natomiast brak dostaw musiał rozłożyć przyczółek Agathodaemona w ciągu miesiąca; o tym, by Syrta mogła mu przyjść z efektywną pomocą, nie było mowy. Brakowało nie tylko budowlanych materiałów, ale nawet wody. Wprowadzenie reżimu najwyższej oszczędności na bieżąco było konieczne. Słuchał tego Pirx jednym uchem, bo tymczasem dostarczono aparaturę rejestrującą ze sterowni. Szczątki ludzkie znajdowały się już w pojemnikach; co do tego, czy będą pochowane na Marsie, nie podjęto jeszcze decyzji. Rejestratów nie można było badać niezwłocznie, potrzebne były niejaki przygotowania i dlatego omawiano sprawy nie związane bezpośrednio z przyczynami i przebiegiem katastrofy: czy mobilizacja największej ilości mniejszych statków nie odwróciłaby groźby zagłady Projektu, czy dałoby się nimi dostarczyć życiowego minimum ładunków w dostatecznie krótkim czasie — przy czym Pirx pojmował racjonalność takich poszukiwań, ale zarazem trudno mu było nie myśleć o obu stutysięcznikach znajdujących się na kursie Marsa, które owymi uwagami jak gdyby już z góry przekreślano; jakby uznawano, że o ich dalszym ruchu na tej linii nie może być mowy. Więc co się miało z nimi stać — skoro musiały lądować? Wszyscy obecni znali już reakcję amerykańskiej prasy, a na bieżąco dostarczono na salę radiogramy ze streszczonymi wystąpieniami polityków — niedobrze to wyglądało: Projekt jeszcze nie zdążył, ustami swoich przedstawicieli, rozpocząć składania wyjaśnień, a już znalazł się pod ogniem koncentrycznego oskarżenia. Pojawiały się nawet epitety pomawiające o „zbrodniczą lekkomyślność”. Pirx nie chciał mieć z tym nic wspólnego, toteż koło dziesiątej wymknął się z zadymionej sali i skorzystawszy z grzeczności mechaników obsługi kosmodromu, pojechał małym łazikiem na miejsce katastrofy.

Dzień, jak na Marsa, był raczej ciepły i prawie pochmurny. Niebo przybrało rzadki, nie tyle rdzawy, co niemal różowy kolor; w takich chwilach wydaje się, że Mars posiada własną, odmienną od ziemskiej, surową urodę, nieco zawołowaną, jakby nie oczyszczoną, która niebawem wyłoni się w mocniejszych promieniach Słońca spod pyłowych zamieci i brudnych smug, lecz oczekiwania takie nie chcą się spełniać; nie chodzi o zapowiedź, lecz o najlepszy z pejzaży, jakie planeta ma do pokazania. Pozostawiwszy przysadzisty, do bunkra podobny budynek kontroli lotów o półtorej mili za sobą, dojechali do końca startowych płyt, bo zaraz dalej łazik beznadziejnie ugrzązł. Pirx miał na sobie lekki półskafander, jakim się wszyscy tu posługiwali, jaskrawoniebieski, dużo wygodniejszy od wysokopróżniowego, z lżejszym też tornistrem, dzięki otwartemu obiegowi tlenowemu; coś jednak źle działało w klimatyzacji, bo gdy spotniał od szybszych ruchów — trzeba się było przedzierać przez lotne wydmy — zaraz mu zamgliło szybę w hełmie; tyle że tutaj nie było to nieszczęściem, bo pomiędzy pierścieniem hełmu a piersiową częścią skafandra zwiślały, niczym korale indora, luźne woreczki, w które wtykało się rękę, i od środka można było sobie przetrzeć szkło, sposobem wprawdzie prymitywnym, ale skutecznym.

Dno ogromnego leja było zapchane maszynami gaśnicowymi: wykop, którym dotarto do sterowni, przypominał istny otwór kopalnianego szybu, był nawet osłonięty z trzech stron płatami żebrowanej blachy aluminiowej dla ochrony przed zsypywaniem się piasku. Połowę

leja zajmowała centralna część kadłuba, wielka jak transatlantyk wyrzucony burzą na ląd i rozbity o skały; pod nią krzątało się z pięćdziesięciu ludzi, ale i oni, i ich dźwigi z koparkami wyglądały jak mrówki u zwłok olbrzyma. Sam dziób rakiety, prawie nietknięty, liczący sobie osiemnaście metrów, nie był stąd widoczny, bo impet cisnął nim o kilkaset metrów dalej; siła miażdżąca zderzenia była straszna, skoro znajdowano grudki nadtopionego kwarcu — energia ruchu zmieniła się momentalnie w ciepła, dając termiczny skok jak przy upadku meteoru, chociaż szybkość nie była wszak zbyt znaczna: w granicach dźwiękowej. Pirx odniósł wrażenie, że dysproporcja pomiędzy środkami, jakimi dysponował Agathodaemon, a ogromem wraku — nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem sposobu prowadzenia eksploracji; było to oczywiście improwizowanie, ale było też w tym improwizowaniu nieco bałaganu, prawdopodobnie wywołanego świadomością, że szkoda jest wprost niewyobrażalnie ogromna. Nie ocalała nawet woda, bo wszystkie cysterny co do jednej popękały i piasek pochłonął tysiące hektolitrow, nim reszta obróciła się w lód. Ten lód zwłaszcza robił makabryczne wrażenie, ponieważ z kadłuba — rozprutego na długość dobrych czterdziestu metrów — wywalały się brudne, połyskliwe lodospady, opierając się dziwnymi festonami o wydmy, jakby eksplodująca rakietą wyrzuciła z siebie całą zimową Niagarę. Ale też było osiemnaście stopni zimna, a w nocy temperatura spadła do sześćdziesięciu. Przez ten lód, kaskadą szklący bok „Ariela”, wrak wyglądał niesamowicie staro, można było sądzić, że leży tu od niepamiętnych czasów. Trzeba było go rozbijać i kuć, żeby dostać się do wnętrza kadłuba, albo też penetrować je od strony szybu. Wyciągano tamtędy ocalałe pojemniki, których stopy widać było tu i tam na stoku leja, ale działo się to jakoś niemrawo. Dostęp do rufowej części był wzbroniony; rozpięte na linach, furkotały zawzięcie czerwone chorągiewki — znaki radioaktywnego skażenia. Pirx obszedł górę, po obwałowaniu, teatr katastrofy; naliczył dwa tysiące kroków, nim znalazł się ponad okopconymi lejami dysz; zżymał się patrząc, jak robotnicy wyciągali i nie mogli wyciągnąć jedynej ocalałej cysterny z olejem pędnym, bo im się łańcuchy wciąż ześlizgiwały; zdawało mu się, że jest tu niezbyt długo, kiedy ktoś dotknął jego ramienia i pokazał mu zegar butli tlenowej. Ciśnienie spadło i trzeba było wracać, bo zapasowej nie wziął. Zegarek, ten nowy chronometr, wyjawiał, że tkwił u szczątków niemal dwie godziny.

Sala obrad zmieniła się: miejscowi zasiadali z jednej strony długiego stołu, po drugiej zaś ustawili technicy sześć dużych płaskich telewizorów; że jednak, jak zwykle, coś jeszcze nie chciało grać w łączności, odroczone obrady do pierwszej. Haroun, technik–telegrafista, którego Pirx znał przelotnie z Wielkiej Syrty, a który żywił dlań, nie wiedzieć czemu, wielkie uszanowanie, dał mu pierwsze powielone odbitki taśm z tak zwanej nieśmiertelnej komory „Ariela”; były to utrwalone decyzje rozrządu mocy, Haroun zaś nie miał prawa wręczyć mu ich nieoficjalnie, ale Pirx ocenił właściwie ów gest. Zamknął się w swym pokoiku i pod silną lampą zaczął na stojąco przeglądać jeszcze wilgotnawy wąż plastikowej taśmy. Obraz był tyleż wyraźny, co niezrozumiały. W 317 sekundzie procedury, dotąd bezbłędnie czystej, pojawiły się w obwodach kontroli prądu pasożytnicze, które w następujących sekundach przybrały postać dudnień. Dwukrotnie wygaszone, po przerzuceniu obciążeń na równoległe, rezerwowe części sieci, wróciły w spotęgowaniu, a dalej tempo pracy czujników narosło trzykrotnie względem normy. To, co miał w rękę, nie było rejestrem pracy samego komputera, lecz jego „rdzenia pacierzowego”, który, pod zarządem automatycznej zwierzchności, uzgadniał otrzymane polecenia ze stanem agregatów napędowych. Układ ten nazywano niekiedy „mózdzkiem”, przez analogię do mózdzku zawiadującego też u człowieka — jako stacja kontroli między korą a ciałem — korelacją ruchów.

Obejrzał sobie wykres pracy „mózdzku” z największą uwagą. Wyglądało tak, jakby komputerowi spieszyło się, jakby — nie naruszając w niczym procedury — domagał się w jednostce czasu coraz większej ilości danych o podzespołach. Spowodowało to informacyjny tłok i wystąpienie prądów pasożytniczych, mianowicie echowych; odpowiednikiem ich byłby

u zwierzęcia nadmiernie spotęgowany tonus, czyli taka skłonność do zaburzeń motoryki, jaką zwie się pogotowiem drgawkowym. Nic z tego nie rozumiał. Nie miał, co prawda, najważniejszych taśm, utrwalających decyzje samego komputera; Haroun dał mu to, czym sam dysponował. Ktoś zapukał do drzwi. Pirx schował taśmy do nesesera i wyszedł na korytarz; stał tam Romani.

— Nowi panowie też chcą, żeby pan uczestniczył w pracach komisji — powiedział. Nie był taki wydrenowany z sił, jak poprzedniego dnia, wyglądał już nieźle, chyba pod wpływem antagonizmów powstających w organizowanej tym osobliwym sposobem komisji. Pirx pomyślał, że zgodnie z prostą logiką rzeczy nawet niechętni sobie „Marsjanie” Agathodaemona i Syrty zjednoczą się, jeśli „nowi panowie” będą chcieli narzucić im własną koncepcję postępowania.

Komisja, ta nowo utworzona, składała się z jedenastu osób. Przewodniczył nadal Hoyster, ale jedynie dlatego, że nikt nie mógł podołać temu zadaniu, pozostając na Ziemi; obrady, w których uczestniczyli ludzie oddaleni o 80 milionów kilometrów, nie mogły iść sprawnie i jeśli zdecydowano się na tak ryzykowne rozwiązanie, to na pewno pod wpływem rozmaitych nacisków, jakie musiały już działać na Ziemi. Katastrofa uczyniła antagonizmy, także polityczne, w których ognisku od dawna działał cały Projekt.

Zrazu rekapitulowano jedynie uzyskane wyniki — dla Ziemian. Pirx znał spośród nich tylko głównego dyrektora stoczni, van der Yoyta. Barwny obraz telewizyjny, przy doskonałej wierności, dodawał mu jakby monumentalnych rysów; było to popiersie ogromnego człowieka z twarzą zarazem obwisłą i odętą, pełną władczej energii, otoczoną kłębam dymu, jakby go tam gdzieś podkadzano — niewidzialnym cygarem, gdyż ręce van der Yoyta były niewidoczne. To, co mówiło się na sali, słyszał z czterominutowym opóźnieniem, a jego głos dopiero po następnych czterech minutach mógł tu rozbrzmieć. Pirx poczuł do niego od razu niechęć, bo główny dyrektor zdawał się zasiadać wśród nich sam jeden — jak gdyby inni ziemscy rzeczoznawcy, co oczami mrugali z pozostałych ekranów, byli figurantami.

Gdy Hoyster skończył, przyszło czekać osiem minut, ale Ziemianie nie chcieli na razie zabierać głosu: van der Voyt zażądał taśm z „Ariela”, które już leżały przy mikrofonie Hoystera. Każdy członek komisji otrzymał powielony ich komplet. Nie było tego dużo, zważywszy, że rejestraty obejmowały tylko ostatnich pięć minut pracy sterowniczego kompleksu. Taśmy, przeznaczone dla Ziemi, wzięli na cel kamerzyści, a Pirx zajął się swoimi, od razu odłożywszy na bok te, które już znał dzięki Harounowi.

Komputer podjął decyzję odwrócenia procedury lądowania na startową w 339 sekundzie. Nie był to start zwykły, lecz ucieczka w górę, jakby przed meteorami — więc właściwie nie wiadomo co, bo miało to wygląd rozpaczliwej improwizacji. To, co się działo potem, owe zwariowane skoki krzywych na taśmach podczas runięcia — uznał Pirx za całkiem nieistotne, ponieważ szło tam już tylko o sposób, w jaki komputer dławił się, nie mogąc wypić nawarzonego przez siebie piwa. Istotne było teraz nie analizowanie szczegółów makabrycznej agonii, lecz przyczyna decyzji równoznacznej w efekcie z aktem samobójczym.

Przyczyna ta pozostała niejasna. Komputer pracował od 170 sekundy pod olbrzymim stresem i wykazywał niesamowite przeciążenie informacyjne, ale takim mądrym łatwo było okazać się teraz, bo widziało się wszak końcowe skutki jego pracy; o tym, że jest przeciążony, zawiadomił swoją sterownię, to znaczy — ludzi „Ariela”, dopiero w 201 sekundzie procedury. Już wtedy dławiał się danymi — a żądał wciąż nowych. Zamiast wyjaśnień dostali w ręce nowe zagadki. Hoyster dał im dziesięć minut czasu na obejrzenie taśm i spytał potem, kto chce zabrać głos. Pirx podniósł palec jak w szkolnej ławce. Nim otworzył usta, inżynier Stotik, który był przedstawicielem stoczni i miał baczyć na przebieg rozładunku stutysięczników, zauważył, że trzeba zaczekać — być może, jako pierwszy zechce przemówić ktoś z Ziemi. Hoyster zawahał się. Był to nieprzyjemny incydent, zwłaszcza że doszło do niego już na samym początku; Romani poprosił o głos w sprawie formalnej i oświadczył, że

jeśli dbałość o równouprawnienie zasiadających w komisji odbije się szkodliwie na płynności obrad, ani on, ani nikt z ludzi Agathodaemona w komisji pracować nie zamierza. Stotik wycofał się i Pirx mógł wreszcie mówić. — To jest podobno udoskonalona wersja AIBM 09 — rzekł. — Ponieważ przelatałem z AIBM 09 prawie tysiąc godzin procedur, mam pewne praktyczne spostrzeżenia co do jego pracy. Na teorii się nie znam. Wiem tyle, ile muszę wiedzieć. Chodzi o pracujący w realnym czasie komputer, który musi zawsze zdążyć z przerabianiem danych. Słyszałem, że ten nowy model ma przepustowość o 36 procent większą niż AIBM 09. To sporo. Na podstawie materiału, który dostałem, mogę powiedzieć, że było tak: komputer wprowadził statek w normalny tok lądowania, a potem sam zaczął sobie utrudniać pracę, żądając od podzespołów coraz większej ilości danych na jednostkę czasu. Efekt był taki, jakby dowódca kompanii odrywał coraz większą ilość ludzi od walki po to, żeby z nich robić gońców czy informatorów; postępując w ten sposób, byłby pod koniec bitwy doskonale poinformowany, tyle że nie miałby już żołnierzy, nie miałby się kim bić. Komputer nie tyle został udławiony, ile sam się udławił. Zablokował się tą eskalacją i musiałby się zablokować, nawet gdyby miał dziesięć razy większą przepustowość — o ile nie przestałby podwyższać wymagań. Mówiąc bliżej matematyki: redukował sobie przepustowość po eksponencie, wskutek czego „mózdzek” — jako kanał węższy — zawiódł pierwszy. Opóźnienia pojawiły się w „mózdzku”, a potem przeskoczyły do samego komputera. Wchodząc w stan informacyjnego zadłużenia, czyli przestając być maszyną czasu realnego, komputer zagłuszył się sam i musiał podjąć decyzje radykalną, więc powziął decyzję startu, czyli wyinterpretował powstałe zakłócenie jako skutek z zewnątrz pochodzącej awarii.

— Dał ostrzeżenie meteorytowe, jak pan to tłumaczy? — spytał Seyn.

— W jaki sposób mógł się przełączyć z procedury głównej na podrzędną — nie wiem. Nie znam się na tym, bo nie znam się na budowie komputera, przynajmniej w sposób dostateczny. Dlaczego dał ten alarm? Nie wiem. W każdym razie jest dla mnie niezbite, że to on był winien.

Teraz trzeba już było czekać na Ziemię. Pirx był pewien, że van der Voyt zaatakuje go, i nie omylił się. Mięsista, ciężka twarz spojrziała na niego przez dym cygara, zarazem oddalona i bliska; kiedy van der Voyt odezwał się, jego bas był uprzejmy, a oczy uśmiechnięte życzliwie, z taką wszechwiedną dobroduszością, jakby się preceptor zwracał do rokującego nieźle ucznia.

— Więc komandor Pirx wyklucza sabotaż? Ale na jakiej podstawie? Co znaczą słowa „on jest winien”? Kto — „on”? Komputer? Ale przecież komputer, jak sam komandor Pirx przyznał, pracował do końca. A więc program? Ale ten program nie różni się w niczym od programów, dzięki którym komandor Pirx lądował setki razy. Czy pan uważa, że ktoś dokonał manipulacji nad programem?

— Nie mam zamiaru wypowiadać się na temat, czy zaszedł jakiś sabotaż — rzekł Pirx. — To mnie na razie nie interesuje. Gdyby komputer i program były w porządku, to „Ariel” stałby tu cały, a nasza rozmowa nie byłaby potrzebna. Na podstawie taśm twierdzę, że komputer pracował we właściwym kierunku, w obrębie właściwej procedury, ale tak, jak gdyby chciał okazać się perfekcjonistą, któremu żadna osiągnięta sprawność nie wystarcza. Żądał danych o stanie rakiety w rosnącym tempie, nie uwzględniając ani własnych możliwości granicznych, ani pojemności kanałów zewnętrznych. Dlaczego tak działał, nie wiem. Ale właśnie tak działał. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Nikt z „Marsjan” się nie odezwał. Pirx, z nieruchomą twarzą, dostrzegł błysk satysfakcji w oku Seyna i milczące zadowolenie, z jakim Romani poprawił się na krześle. Po ośmiu minutach znów odezwał się van der Voyt. Tym razem nie mówił do Pirxa. Nie mówił też do komisji. Był samą swadą. Przedstawił drogę, jaką przebywa każdy komputer — od montażowej taśmy do sterowni okrętu. Agregaty składało w częściach osiem rozmaitych firm, japońskich, francuskich i

amerykańskich. Nie wypełnione jeszcze pamięcią „nic nie wiedzące” jak noworodki, jechały do Bostonu, gdzie w zakładach „Syntronics” odbywało się ich programowanie. Po tym kolejnym akcie każdy komputer podlegał procedurze, która jest niejako odpowiednikiem nauk szkolnych, gdyż składa się zarówno z dostarczania pewnych „doświadczeń”, jak i z poddawania „egzaminom”. Tak jednak badano tylko sprawność ogólną; „studia specjalistyczne” rozpoczynał komputer w fazie następnej. W niej dopiero stawał się z uniwersalnej maszyny cyfrowej — sternikiem raket typu „Ariela”. I wreszcie podłączano go na roboczym stanowisku do symulatora, który imitował niezliczone sekwencje zająć z tych, co bywają składowymi kosmicznej podróży: nieprzewidziane awarie, defekty zespołów, sytuacje trudnego manewru, także przy niesprawnych układach napędowych, pojawianie się na bliskim dystansie innych rakiet, obcych ciał. Każdą z tych naśladowanych przygód odgrywano w setkach wariantów: zakładając raz statek załadowany, a raz pusty, raz poruszający się w wysokiej próżni, a raz wchodzący w atmosferę, stopniowo komplikując symulowane sytuacje — aż do pojawienia się najtrudniejszych problemów wielu ciał w polu grawitacyjnym, kiedy to zmuszano maszynę, by przewidywała ich ruchy i orientowała bezpiecznie kurs swego statku.

Symulatorem także był komputer pełniący rolę „egzaminatora”, i to perfidnego; wstępnie utrwalony program „uczni” poddawał niejako dalszym obróbkom, próbom na wytrzymałość i sprawność; jakkolwiek więc elektronowy zwiadowca sterów nigdy nie prowadził naprawę statku, kiedy go montowano wreszcie na pokładzie rakiety, miał większe doświadczenie i wyższą sprawność niż wszyscy razem wzięci ludzie, co kiedykolwiek parali się kosmiczną nawigacją. Tak trudnych zadań, jakim musiał komputer podołać na stanowiskach symulacyjnych, nigdy nie spotyka się w rzeczywistości; aby zaś stuprocentowo wykluczyć wszelką możliwość prześliznięcia się nieszczęśliwie doskonałego egzemplarza przez to ostatnie sito, nadzór nad pracą dwójki „sternik + symulator” pełnił człowiek, doświadczony programista, który ponadto musiał posiadać wieloletni staż praktycznego pilotażu, przy czym „Syntronics” nie zadowolili się zaangażowaniem na te odpowiedzialne stanowiska pilotów: pracowali tam wyłącznie kosmonauci powyżej rangi nawigatora, czyli tacy, co mieli ponad tysiąc godzin głównych procedur na swoim koncie zawodowym. W ostatniej instancji od tych ludzi zależało więc, jakim testom z nieprzebranego ich katalogu zostanie poddany kolejny komputer; fachowiec wyznaczał rozmiary trudności do pokonania, a powodując symulatorem, dodatkowo komplikował „egzamin”, bo naśladował, w toku rozwiązywania zadań, nagłe i groźne niespodzianki: wypadanie mocy, rozogniskowanie ciągów, sytuacje kolizyjne, przebicia powłoki zewnętrznej, utratę łączności z naziemną kontrolą podczas lądowania, i nie ustawał w tym, aż upłynęło sto godzin standardowych testów. Egzemplarz, który okazałby w nich najmniejszą zawodność, był kierowany na powrót do pracowni, jak kiepski uczeń, któremu przychodzi powtarzać rok. Wyniósłszy tym przemówieniem produkcję stoczni ponad wszelkie zarzuty, chcąc pewno zatrzeć wrażenie takiej obrony, w pięknych okresach prosił van der Voyt komisję o bezkompromisowe zbadanie katastrofy i jej przyczyn, za czym odezwali się specjaliści ziemscy. Rzecz utonęła od razu w zalewie uczonej terminologii. Pojawiły się na ekranach schematy ideowe i blokowe, wzory, wykresy, zestawienia numeryczne, i Pirx widział z osłupieniem, że znajdują się na najlepszej drodze obrócenia sprawy w pogmatwany casus teoretyczny. Po głównym informatyku mówił cyfronik Projektu Schmidt; Pirx przestał go rychło słuchać. Nie zależało mu na tym, aby dzięki czujności wyjść obronną ręką z kolejnego starcia z van der Voytem, jeśli do niego przyjdzie. Było to zresztą coraz mniej prawdopodobne: wystąpienia jego nikt nie wspominał, jakby szło o nietaktowny wyskok, który godzi się najrychlej zapomnieć. Następni mówcy wleźli już na wysokie piętra ogólnej teorii sterowania. Pirx wcale nie podejrzewał ich o złą wolę: po prostu rozważnie nie opuszczali terenu, na którym czuli się mocni, a van der Voyt z ufną powagą przysłuchiwał się im, w dymie cygara, bo stało się to, do czego zmierzał: prym

wzięła w obradach Ziemia i „Marsjanie” pozostali w rolach biernych słuchaczy. Zresztą nie dysponowali żadnymi rewelacjami. Komputer „Ariela” był elektronicznym gruzem, którego badanie nie mogło dać żadnych rezultatów. Rejestraty obrazowały z grubsza, co zaszło, ale nie, czemu się tak stało. Nie opisują one wszystkiego, co się dzieje w komputerze: do tego byłby potrzebny inny, większy komputer, a gdyby uznać, że i ten może ulec defektowi, należałoby z kolei nadzorować nadzorcę, i tak w nieskończoność. Tak więc znaleźli się na szerokich wodach abstrakcyjnej analizy. Głębia wypowiedzi osłaniała prosty fakt, że katastrofa nie ograniczała się do zagłady „Ariela”. Stabilizację olbrzyma, schodzącego na planetę, przejęły od ludzi automaty tak dawno, że był to fundament, niewzruszalny grunt wszystkich działań — który nagle usunął się spod nóg. Żaden z modeli gorzej zabezpieczonych i prostszych nigdy nie zawiódł, więc jakże mógł zawieść model doskonalszy i pewniejszy? Jeśli to było możliwe, możliwe było wszystko. Zwątpienie, raz zaatakowawszy niezawodność urządzeń, nie mogło się już zatrzymać na żadnej granicy. Wszystko grzęzło w niepewności. Tymczasem „Ares” i „Anabis” zbliżały się do Marsa. Pirx siedział jakby zupełnie sam, bliski rozpacz. Doszło właśnie do klasycznego sporu teoretyków, który coraz dalej odwodził ich od samego wydarzenia z „Arielem”. Patrząc w zarazem otyłą i masywną twarz van der Voyta, dobrotliwie patronującą obradom, Pirx odnajdywał w jej wyrazie podobieństwo do oblicza starego Churchilla, z jego pozorną dystrakcją, której zadawało kłam drgnienie ust odzwierciedlające uśmiech wewnętrzny, skierowany ku myśli skrytej ciężkimi powiekami. To, co było wczoraj jeszcze nie do pomyślenia, stawało się prawdopodobne — jako próba skierowania obrad ku werdyktowi, który rzuciłby odpowiedzialność na siłę wyższą, może na fenomeny dotychczas nie znane, na lukę w samej teorii, z konkluzją, że trzeba podjąć zakrojone na wielką skalę i na całe lata badania. Znał podobne, chociaż mniejsze kalibrem sprawy i wiedział, jakie siły musiała uruchomić katastrofa; za kulisami toczyły się już wytężone starania o kompromis, zwłaszcza że Projekt, tak zagrożony w całości, był skłonny do niejednego ustępstwa za cenę uzyskania pomocy, a tej mogły właśnie udzielić zjednoczone stocznie, chociażby dostarczając na dogodnych warunkach flotyli mniejszych statków dla zapewnienia dopływu dostaw. Wobec rozmiarów stawki — boż chodziło już o byt całego Projektu — katastrofa „Ariela” stawała się przeszkodą do usunięcia, jeśli nie można jej było niezwłocznie wyjaśnić. Nie takie afery nieraz już zamazywano. Miał wszakże jeden atut. Ziemianie przyjęli go, musieli wyrazić zgodę na jego obecność w komisji, ponieważ był w niej jedynym człowiekiem związanym z załogami raket mocniej niż ktokolwiek inny z obecnych. Nie miał złudzeń: wcale nie szło o jego dobre imię ani o kompetencje. W komisji był po prostu nieodzowny przynajmniej jeden kosmonauta czynny, zawodowiec, co właśnie zeszedł z pokładu. Van der Voyt palił w milczeniu cygaro. Zdawał się wszystkowiedny, ponieważ rozsądnie milczał. Wolałby pewno kogoś innego na miejscu Pirxa, ale skoro go лихо nadało, zabrakło pretekstu, żeby się go pozbyć. Gdyby więc, przy mglistym werdykcie, złożył swoje votum separatum, zyskałoby znaczny rozgłos. Prasa wietrzyła skandale i czyhała tylko na taką okazję. Związek Pilotów i Klub Przewoźników nie stanowiły potęg, ale sporo od nich zależało — ci ludzie kładli przecież głowy pod Ewangelię. Toteż Pirx nie dziwił się, usłyszawszy podczas przerwy, że van der Voyt chce z nim mówić. Przyjacieli potężnych polityków otwarł rozmowę żartem, że to jest spotkanie na szczycie — dwóch planet. Pirx miewał niekiedy odruchy, którym sam się potem dziwił. Van der Voyt palił cygaro i zwilżał sobie gardło piwem, on zaś poprosił, by mu przyniesiono kilka kanapek z bufetu. Słuchał więc głównego dyrektora w pomieszczeniach łączności, jedząc. Nic nie mogło ich lepiej zrównać.

Van der Voyt jakby nie wiedział, że się poprzednio starli. Nic takiego nigdy po prostu nie zaszło. Podzielał jego troskę o załogi „Anabisa” i „Aresa”; dzielił się z nim swymi kłopotami. Oburzała go nieodpowiedzialność prasy, jej histeryczny ton. Prosił go o ewentualne opracowanie małego memoriału w sprawie następnych lądowań: co można zrobić dla

zwiększenia ich bezpieczeństwa. Pokładał w nim takie zaufanie, że Pirx przeprosił go na chwilę i wystawiwszy głowę przed drzwi kabiny kazał sobie dołożyć sałatki śledziowej. Van der Voyt basował mu i ojcował, a Pirx rzekł zniechęca:

— Mówił pan o tych rzeczoznawcach nadzorujących symulację. Kto to jest z nazwiska?

Van der Voyt zdziwił się po ośmiu minutach, ale to było jedno mgnienie oka.

— Nasi „egzaminatorzy”? — uśmiechnął się szeroko. — Sami pana koledzy, komandorze. Mint, Stoernhein i Cornelius. Stara gwardia... Wytypowaliśmy dla „Syntronics” najlepszych, jakich można było znaleźć. Pan ich na pewno zna!

Dłużej nie mogli rozmawiać, bo zaczynały się obrady. Pirx zapisał karteczkę i podał ją Hoysterowi z uwagą: „To bardzo pilne i bardzo ważne.” Przewodniczący odczytał więc zaraz ów tekst, zwrócony do kierownictwa stoczni. Trzy pytania: 1) W jaki sposób zmianowo pracują naczelnicy kontrolerzy symulacyjni Cornelius, Stoernhein i Mint? 2) Czy i jaka jest odpowiedzialność ponoszona przez kontrolerów w wypadku przeoczenia błędnych funkcji lub innych uchybień pracy obciążanego komputera? 3) Kto z nazwiska nadzorował testowanie komputerów „Ariela”, „Anabisa” i „Aresa”?

Wywołało to poruszenie na sali: Pirx najwyraźniej dobierał się do najbliższych mu ludzi — czcigodnych zasłużonych weteranów kosmonautyki! Ziemia potwierdziła ustami głównego dyrektora odebranie tych pytań; odpowiedzi miano udzielić w ciągu kilkunastu minut.

Oczekiwał jej zgryziony. Źle się stało, że zdobywał informacje na tak oficjalnej drodze. Ryzykował nie tylko animozję kolegów, lecz i osłabienie własnej pozycji w rozgrywce, gdyby miało dojść do votum separatum. Czy próba wyjścia śledztwem poza sprawy techniczne, ku ludziom, nie mogła być wyłożona jako uleganie naciskom van der Yoyta? Widząc w tym interes stoczni, generalny dyrektor niezwłocznie by go pogrążył, dostarczając prasie odpowiednich napomknień. Rzuciłby jej Pirxa na pożarcie jako niezręcznego sojusznika... Lecz nie pozostawało nic innego, jak ten ślepy strzał. Na zdobywanie informacji prywatnie, drogą okólną, nie było czasu. Co prawda, nie żywił żadnych określonych podejrzeń. Czym się więc kierował? Dość mętными wyobrażeniami o niebezpieczeństwach czających się zawsze nie po stronie ludzi i nie po stronie automatów, lecz na styku — tam, gdzie jedni kontaktują się z drugimi, bo sposób rozumowania ludzi i komputerów jest tak niesamowicie różny. I jeszcze tym, co wyniósł z chwili spędzonej przed półką starych książek, a czego nie potrafiłby nawet wyrazić. Odpowiedź przyszła rychło: każdy kontroler prowadził swoje komputery od początku do końca testów, kładąc zaś podpis na akcie noszącym nazwę „świadczenia dojrzałości”, ponosił odpowiedzialność za dysfunkcjonalne przeoczenia. Komputer „Anabisa” badał Stoernhein, pozostałe dwa — Cornelius. Pirx miał ochotę wyjść z sali, na co nie mógł sobie jednak pozwolić. Już i tak czuł narastające wokół napięcie. Obrady zakończyły się o jedenastej. Udał, że nie dostrzega znaków, jakie dawał mu Romani, i wyszedł czym prędzej, jakby uciekał. Zamknąwszy się w swojej klitce, gruchnął na łóżko i podniósł oczy do sufitu. Mint i Stoernhein nie liczyli się. Pozostawał tedy Cornelius. Umysł racjonalny i naukowy zaczęłyby rzecz od zapytania, co takiego mógł właściwie przeoczyć kontroler? Niezwłoczna odpowiedź, że zupełnie nic, zamknęłaby i tę odnogę śledztwa. Pirx nie był jednak naukowym umysłem, więc pytanie takie nie przyszło mu nawet do głowy. Nie próbował też zastanawiać się nad samą procedurą testową, jakby czuł, że i to źle się dla niego skończy. Myślał po prostu o Corneliusie takim, jakim go znał, a znał go nieźle, choć rozstali się przed wielu laty. Stosunki ich układały się kiepsko, w czym nic dziwnego, zważywszy, że Cornelius był dowódcą „Gulliwera”, on zaś młodszym nawigatorem. Układały się jednak gorzej niż zwykle w takiej sytuacji, gdyż Cornelius był potworem dokładności. Nazywano go mękalem, skrupulatem, liczykrupą i łowcą much, ponieważ potrafił zmobilizować pół załogi dla pogoni za muszką na pokładzie. Pirx uśmiechnął się na myśl o swych osiemnastu miesiącach pod skrupulatem Corneliusiem; teraz mógł sobie na to pozwolić, wtedy wychodził ze skóry. Cóż to był za nudziarz! A jednak wszedł nazwiskiem do encyklopedii w związku z badaniami

zewnątrznych planet, zwłaszcza Neptuna. Mały, szarawy na twarzy, wiecznie zły, podejrzewał wszystkich o to, że chcą go oszukać. W rzeczy, jakie opowiadał — że przeprowadza osobiste rewizje załóg, bo mu ludzie szmuglują muchy na pokład — nie wierzone, ale Pirx akurat wiedział, że nie było to zmyślenie. Cornelius miał w szufladzie pudło pełne proszku DDT i potrafił zastygać w rozmowie z podniesionym palcem (biada temu, kto nie zamarł na ów znak), łowiąc uchem to, co mu się wydało bzyknięciem. W kieszeni nosił pion i metr stalowy; kontrola ładunku w jego wykonaniu przypominała wizję lokalną na miejscu katastrofy, która wprawdzie nie zaszła jeszcze, ale nadciąga. Miał w uszach okrzyk: „Liczydło idzie, kryj się!” — po którym mesa pustoszała; pamiętał szczególnie wyraz oczu Corneliusa, które jak gdyby nie brały udziału w tym, co akurat robił lub mówił, lecz nawiercały otoczenie, poszukując w nim nie doprowadzonych do ładunku miejsc. W ludziach latających dziesiątkami lat gromadzą się dziwactwa, ale Cornelius był ich rekordzistą. Nie znosił niczyjej obecności za plecami, a kiedy przypadkiem siadł na krześle, na którym ktoś siedział przed chwilą, i wyczuł to po ciepłym siedzeniu, zrywał się jak oparzony. Był z tych, których wyglądu w młodości w ogóle nie można sobie wyobrazić. Nie opuszczał go wyraz zgnębienia niedoskonałością wszystkich dookoła; cierpiał, ponieważ nie mógł ich nawrócić na swoją pedantyczność. Pukając palcem w rubryki, po dwadzieścia razy w kółko sprawdzał...

Pirx zamarł. Potem usiadł powoli, jakby stał się ze szkła. Myśl, biegnąc wśród chaotycznych wspomnień, zawadziła niewidzialnie o coś i było to niczym pogłos alarmu. Co właściwie? Że nie cierpiał nikogo za plecami? Nie. Że zamęczał podwładnych? I co z tego? Nic. Ale jakby blisko. Był teraz jak chłopiec, który błyskawicznie zamknął garść, by pochwycić żuczka i trzyma zaciśniętą pięść przed nosem — bojąc się ją otworzyć. Powoli. Cornelius, prawda, słyszał ze swoich rytuałów. (Czy to?... — zatrzymywał się na próbę myślenia.) Kiedy przychodziło do zmiany przepisów, wszystko jedno jakich, zamykał się z urzędowym pismem w kajucie i nie wyszedł z niej, dopóki nie wykuł nowości na pamięć. (To było teraz jak zabawa w „ciepło–zimno”. Czuł, że się oddala...) Rozstali się dziewięć, nie — dziesięć lat temu. Cornelius znikł dziwnie, jakoś raptownie, na szczycie rozgłosu, który zawdzięczał eksploracji Neptuna. Mówiono, że wróci na pokład, a locję wykląda tylko czasowo, lecz nie wrócił. Naturalna rzecz, był przy pięćdziesiątce. (Znów nie to.) A n o n i m . (Słowo to wypłynęło nie wiedzieć skąd.) Jaki znów anonim? Że jest chory i dysymuluje? Że grozi mu zawał? Skąd. Ten anonim to była zupełnie inna historia, innego człowieka — Corneliusa Craiga, tu — imię, tam — nazwisko. (Pomyliłem się?... Tak.) Lecz anonim nie chciał szczeznąć. Dziwna rzecz, nie mógł się odkleić od tego słowa. Im energiczniej je odrzucał, tym idiotyczniej wracało. Siedział skurczony. W głowie — muł. Anonim. Teraz był już niemal pewien tego, że słowo to przesłania jakieś inne. To się zdarza. Wskoczy fałszywe hasło i nie można ani pozbyć się go, ani zedrzyć z tego, które zakrywa. A n o n i m .

Wstał. Na półce, pamiętał, tkwił między marsjanami gruby słownik. Otworzył go na chybił trafił przy „AN”. Ana. Anakantyka. Anaklasyka. Anakonda. Anakreontyk. Anakruza. Analekta. (Ilu słów człowiek nie zna...) Analiza. Ananas. A n a n k e (greckie): Bogini przeznaczenia. (To...? Ale co ma wspólnego bogini...) Także: przymus.

Łuski spadły. Zobaczył biały gabinet, plecy lekarza, który telefonował, okno otwarte i papiery na biurku, które podwijał przeciąg. Zwykle badanie lekarskie. Nie starał się wcale przeczytać maszynowego tekstu, ale oczy same pochwyciły drukowane litery, jako chłopiec jeszcze uczył się uporczywie czytania do góry nogami. „Warren Cornelius, rozpoznanie: S y n d r o m a n a n k a s t y c z n y .” Lekarz zauważył rozsypkę papierów, zebrał je i schował do teczki. Czy nie był ciekaw, co oznaczała ta diagnoza? Chyba tak, ale czuł, że to nie byłoby w porządku — a potem zapomniał. Ile lat temu? Co najmniej sześć. ,

Odstawił słownik, jednocześnie poruszony, rozgrzany wewnątrz, ale i rozczarowany. Ananke — przymus, więc chyba nerwica natręctw. Nerwica natręctw! Czytał o niej, co się tylko dało, jako chłopiec jeszcze — była taka rodzinna sprawa — chciał się dowiedzieć, co to

znaczy i pamięć, chociaż nie bez oporu, przecież udzielała wyjaśnień. Już co jak co, ale pamięć miał dobrą. Powracały zdania lekarskiej encyklopedii w krótkich błyskach olśnień, bo się od razu nakładały na postać Corneliusa. Widział go teraz zupełnie inaczej niż dotąd. Było to zarazem wstydlive i żalotne widowisko. A więc to dlatego mył ręce po dwadzieścia razy dziennie i musiał uganiać się za tymi muchami, i wściekał się, gdy zginęła mu kartka-zakładka do książki, i trzymał ręcznik pod kluczem, i nie mógł siadać na cudzym krześle... Jedne czynności przymusowe rodziły następne, coraz mocniej oblażył go ich pomiot, aż stawał się pośmiewiskiem. Nie uszło to w końcu uwadze lekarzy. Zdjęli go z pokładu. Gdy Pirx wyteżył pamięć, wydało mu się, że na samym dole stronicy znajdowały się trzy słowa rozstrzelone: „niezdolny do lotów”. A że psychiatra nie znał się na komputerach, pozwolił mu pracować w „Syntronics”. Pewno uznał, że to właśnie doskonałe miejsce dla takiego skrupulata. Co za pole do popisu dla pedanterii! Corneliusa musiało to podnieść na duchu. Praca użyteczna i — co najważniejsze — w najściślejszym związku z kosmonautyką...

Leżał z oczami wlepionymi w sufit i nie musiał się nawet specjalnie wysilać, żeby sobie wyobrazić Corneliusa w „Syntronics”. Co tam robił? Nadzorował symulatory przy obciążaniu okrętowych komputerów. To znaczy — utrudniał im pracę, a dawanie szkoły było jego żywiołem. Niczego lepiej nie umiał. Ten człowiek musiał żyć w stałej rozpacz, że wezmą go w końcu za wariata, jakim nie był. W sytuacjach prawdziwie krytycznych nigdy nie tracił głowy. Był dzielny, ale tę dzielność na co dzień zjadały mu po trochu natręctwa. Pomiedzy załogą i swoim pokreconym wnętrzem musiał się czuć jak między młotem a kowadłem. Patrzył na cierpiętника nie dlatego, że ulegał owym musom, że był szalony, ale dlatego właśnie, że z tym walczył i bezustannie szukał pretekstów, usprawiedliwień, potrzebne były mu te regulaminy, chciał się nimi wytłumaczyć, że to nie on wcale, że to nie z niego ten wieczny dryl. Nie miał duszy kaprała — no bo czy w takim wypadku czytałby Poego, historie makabryczne i niesamowite? Może szukał w nich swojego piekła? Mieć w sobie taki kłębek drucianych musów, takie żerdzie jakieś, tory, i wciąż się z tym bić, zgniatać to, wciąż od nowa... Na dnie tego wszystkiego był strach, że stanie się coś nieprzewidzianego, przeciw temu się tak wciąż dozbrajał, musztrował, ćwiczył, te jego próbne alarmy, wizytacje, kontrole, bezsenne łażenie po całym statku, wielki Boże — wiedział, że się z niego w kułak śmieją, może nawet pojmował, jakie to wszystko niepotrzebne. Czy jest do pomyślenia, że on się na tych komputerach tam jakby mścił? Że im dawał szkołę? Jeśli i tak było, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. To się nazywa wtórna racjonalizacja. Wytłumaczył sobie, że właśnie tak powinien postępować.

Zadziwiająca rzecz, jak przyłożenie do tego, co już poprzednio wiedział, co znał w postaci szeregu anegdot — całkiem innego języka, terminów medycznych, nadawało zdarzeniom nowy sens. Mógł zajrzeć w głąb, a pozwalał na to wytrych, jakiego dostarcza psychiatria. Mechanizm cudzej osobowości objawiał się nagi, zwięzły, zredukowany do garstki nieszczęsnych odruchów, którym nie można ująć. Myśl o tym, że można być lekarzem i tak właśnie traktować ludzi, nawet żeby im pomagać, wydała mu się do niesamowitości odpychająca. Zarazem rozcieńczona aura błazeństwa, co otaczała jakby nikłą obwódka wspomnienia o Corneliusie, szczęła. W tym nowym, niespodziewanym widzeniu nie było miejsca na przymieszkę cwaniackiego, złośliwego humoru rodem ze szkoły, koszar i pokładów. Nie było nic w Corneliusie, z czego można by się śmiać.

Praca w „Syntronics”. Zdawałoby się — idealnie dostosowana do człowieka: obciążać, wymagać, komplikować do granicy wytrzymałości. Mógł wreszcie wyswobodzić uwięzione w sobie musy. Dla nie wtajemniczonych wyglądało to znakomicie: stary praktyk, doświadczony nawigator przekazuje swoją najlepszą wiedzę automatom; cóż może być lepszego? A on miał przed sobą niewolników i nie musiał się powściągać, skoro nie byli ludźmi. Schodzący z taśmy komputer jest jak noworodek: tak samo zdalny do wszystkiego, a

nic nie umie.

Pobieranie nauk jest wzrostem specjalizacji i zarazem utratą pierwotnego nieodróżnicowania. Na stanowisku kontroli komputer pełni rolę mózgu, gdy symulator jest naśladowcą ciała. Mózg podłączony do ciała — oto właściwa analogia.

Mózg musi orientować się w stanie i gotowości każdego mięśnia, podobnie komputer — ma znać stan okrętowych zespołów. Wysyła elektrycznymi drogami rojowiska pytań, jakby ciskał tysiące naraz piłeczek we wszystkie zakątki metalowego olbrzyma, i z echowych odpowiedzi tworzy sobie obraz rakiety i jej otoczenia. W tę niezawodność wkroczył człowiek cierpiący na lęk przed niespodziewanym i zwalczający go rytuałami natręctw. Symulator stał się narzędziem przymusu, wcieleniem jego lękowych zagrożeń. Działał w zgodzie z zasadą naczelną: bezpieczeństwa. Czy to nie wyglądało na chwalebny gorliwość? Jak on się musiał starać! Normalny tok uznał niebawem za nie dość pewny. Im trudniejsza sytuacja statku, tym szybciej należy się o niej informować. Uważał, że tempo sprawdzania agregatów ma być skorelowane z wagą procedury. A ponieważ najważniejsza jest procedura lądowania... Czy zmienił program? Ani trochę, jak nie zmienia przepisów podręcznika kierowcy ten, kto sprawdza silnik auta co godzina zamiast raz dziennie. Toteż program nie mógł się mu opierać. Dążył w kierunku, w którym program nie miał zabezpieczeń, bo coś takiego nie przyszło do głowy żadnemu programiście. Jeżeli tak przeciążony komputer zawodził, Cornelius kierował go na powrót do działu technicznego. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaraz je natręctwami? Chyba nie, był praktykiem, nie orientował się w teorii, skrupulat niepewności — takim był też wychowawcą maszyn. Przeciążał komputery, ale cóż — nie mogły się przecież skarżyć. Były to nowe modele, przypominające zachowaniem gracza w szachy. Komputer-gracz pobije każdego człowieka pod warunkiem, że jego pedagogiem nie będzie jakiś Cornelius. Komputer przewiduje ruchy partnera na dwa-trzy posunięcia naprzód; gdyby usiłował je przewidywać na dziesięć ciągów, udławiłby się nadmiarem możliwych wariantów, bo one rosną wykładniczo. Dla przewidzenia dziesięciu możliwych ruchów kolejnych na szachownicy nie wystarczy i trylionowość operacji. Takiego samoparalizującego się szachistę zdyskwalifikowałyby pierwsza rozgrywka. Na pokładzie rakiety nie było to zrazu widoczne: można obserwować tylko wejścia i wyjścia układu, nie to, co dzieje się w środku. W środku narastał tłok, na zewnątrz wszystko biegło normalnie — do czasu. A więc tak je układał — i takie repliki umysłu, który ledwo sprawnia się z realnymi zadaniami, bo tyle sobie wytworzył fikcyjnych — stanęły u steru stutysięczników. Każdy z tych komputerów cierpiał na syndrom anankastyczny: przymusowe powtarzanie operacji, komplikowanie czynności prostych, manieryzm, obrzędkowość, uwzględnianie „wszystkiego naraz”. Nie naśladowały oczywiście lęku, a tylko strukturę właściwych mu reakcji; paradoksalne: to właśnie, że były nowymi, udoskonalonymi modelami o zwiększonej pojemności, przyczyniło się do ich zguby, ponieważ tak długo mogły przecież działać mimo stopniowego zadławiania obwodów sygnałowym tłokiem. Ale w zenicie Agathodaemona jakaś ostatnia kropla przepełniła czarę: może były nią pierwsze uderzenia wichury, wymagające błyskawicznych reakcji, ale zagwoźdzony lawiną, którą sam w sobie rozpętał, komputer nie miał już czym sterować. Przestał być urządzeniem czasu realnego, nie nadążał już z modelowaniem zajęć rzeczywistych — tonął w urojeniach... Znajdował się naprzeciw olbrzymiej masy: tarczy planetarnej — i program nie pozwalał mu po prostu zrezygnować z kontynuowania procedury, raz wszczętej, chociaż zarazem kontynuować jej już nie mógł. Wyinterpretował więc sobie planetę jak o m e t e o r leżący na kursie kolizyjnym, ponieważ to była ostatnia otwarta furтка, ponieważ taką jedyną ewentualność dopuszczał program. Nie mógł przekazać tego ludziom w sterowni, bo nie był przecież rozumującym człowiekiem! Rachował do końca, obliczał szansę: zderzenie było pewną zagładą, ucieczka — tylko w dziewięćdziesięciu kilku procentach, wybrał więc ucieczkę: awaryjny start!

Wszystko to układało się logicznie — lecz bez najmniejszego dowodu. Nikt nie słyszał

dotąd o takim wypadku. Kto mógł potwierdzić przypuszczenia? Zapewne psychiatra, który leczył Corneliusa, i pomógł mu, a może tylko zezwolił, objąć tę pracę. Ale przez wzgląd na tajemnicę lekarską nie powiedziałby nic. Rozłamać ją mógłby tylko wyrok sądowy. Tymczasem „Ares” za sześć dni...

Pozostawał Cornelius. Czy domyślał się? Czy pojmował teraz, po tym, co się stało? Pirx nie potrafił się wczuć w sytuację starego dowódcy. Było to niedotykalne jak za ścianą ze szkła. Jeśli powstały w nim nawet jakieś wątpliwości, sam nie dopowie ich sobie do końca. Będzie się bronił przed takimi konkluzjami, to chyba oczywiste...

Rzecz wyjdzie przecież na jaw — po kolejnej katastrofie. Jeśli w dodatku „Anabis” wyląduje cało, rachuba czysto statystyczna — że zawiodły komputery, za które odpowiada Cornelius — skieruje podejrzenia w jego stronę. Zaczną brać pod lupę każdy szczegół i wtedy, po nitce do kłębka...

Ale nie można przecież czekać z założonymi rękami. Co robić? Wiedział dobrze: skasować całą pamięć maszynową „Aresa”, przekazać oryginalny program drogą radiową, informatyk pokładowy da sobie z tym radę w ciągu kilku godzin.

Ale by wystąpić z czymś takim, trzeba mieć w ręku dowody. Niechby tylko jeden. Niechby, na koniec, same poszlaki: ale on nie miał nic. Jedno wspomnienie, sprzed lat, jakiejś historii choroby, do góry nogami odczytanej w dwu wierszach... przezwiska i ploteczki... anegdoty, jakie opowiadano o Corneliusie... katalog jego dziwactw... Niepodobna wystąpić przed komisją z czymś takim jako dowodem schorzenia i przyczyna katastrofy. Jeśli nawet, rzucając takie oskarżenie, nie zważać na starego człowieka, to pozostaje „Ares”. Przez czas trwania operacji statek będzie jak ślepy i głuchy, skoro pozbawiony komputera.

Najważniejszy był „Ares”. Rozważał projekty już na pół szalone: jeśli nie może zrobić tego oficjalnie, czy nie wystartować i nie wysłać „Aresowi” ostrzeżenia i opisu tego myślowego śledztwa — z pokładu „Cuiviera”? Mniejsza o konsekwencje, ale to było zbyt ryzykowne. Nie znał dowódcy „Aresa”. Czy sam podporządkowałby się radom obcego człowieka w oparciu o takie hipotezy? Przy zupełnym braku dowodów? Wątpliwe...

Pozostawał więc już tylko sam Cornelius. Znał jego adres: Boston, zakłady „Syntronics”. Ale jakże zażądać, by ktoś tak nieufny, pedantyczny i skrupulatny przyznał się do popełnienia właśnie tego, czemu usiłował przez całe życie zapobiec? Być może, po rozmowach w cztery oczy, po perswazjach, po wskazaniu na groźbę zawisłą nad „Aresem”, wyraziłby zgodę na to ostrzeżenie i poparłby je, bo był uczciwym człowiekiem. Ale w dyskusji prowadzonej między Marsem i Ziemią, z ośmiominutowymi pauzami, naprzeciw ekranu, a nie żywego rozmówcy, obruszyć takie oskarżenie na głowę bezbronnego, żądać, żeby się przyznał do zabójstwa — choć nieumyślnego — trzydziestu ludzi? Niemożliwe.

Siedział na łóżku ściskając jedną rękę w drugiej, jakby się modlił. Odczuwał bezmierne zdziwienie, że to możliwe: tak wszystko wiedzieć i tak nic nie móc! Objął wzrokiem książki na półce. Dopomogły mu — własną przegraną. Przegrali wszyscy, ponieważ spierali się o kanały, czyli o to, co rzekomo było na odległej planecie, w szklach teleskopów, a nie o to, co było w nich samych. Spierali się o Marsa, którego nie widzieli; widzieli dno własnych umysłów, z niego wylęgły się obrazy heroiczne i fatalne. W przestrzeń dwustu milionów kilometrów rzutowali własne rojenia — zamiast nad sobą się zastanowić. Także i tutaj każdy, kto pakował się w gąszcz teorii komputerów i w niej szukał przyczyn katastrofy, oddalał się od sedna rzeczy. Komputery były bezwonne i neutralne, tak samo jak Mars, do którego on też żywił jakieś bezsensowne pretensje, jak gdyby świat był odpowiedzialny za majaki, które usiłuje mu narzucić człowiek. Ale te stare książki zrobiły już wszystko, co mogły. Nie widział wyjścia.

Na ostatniej, dolnej półce była i beletrystyka; wśród kolorowych grzbietów wypełzły niebieskawy tom Poego. Więc i Romani go czytał? On sam nie lubił Poego za sztuczność języka, wymyślność wizji, która nie chciała się przyznawać do tego, że jest rodem ze snu. Ale

dla Corneliusa była to prawie Biblia. Bezmyślnie wyjął ów tom, otworzył mu się w rękach na spisie rzeczy. Odczytał tytuł, który go poraził. Cornelius dał mu to raz, po wachcie, zachwalał tę opowieść o wykryciu mordercy fantastycznie wyreżyserowanym, nieprawdopodobnym sposobem. Potem on sam jeszcze chwalić ją musiał fałszywie — wiadomo, dowódca ma zawsze rację...

Najpierw tylko bawił się pomysłem, który go nawiedził, potem zaczął się do niego przymierzać. Było to trochę jak sztubacki kawał — a zarazem jak podły cios w plecy. Dzikie, niewydarzone, okrutne — ale kto wie, czy nie skuteczne w tej właśnie sytuacji: żeby wysłać w depeszy te cztery słowa. Być może te podejrzenia są jedną brednią, Cornelius, do którego odnosiła się historia choroby, to całkiem inny człowiek, a ten obciążał komputery dokładnie podług normatywów i do niczego nie może się poczuwać. Otrzymawszy taką depeszę, wzruszy ramionami, myśląc, że jego dawny podwładny pozwolił sobie na kretyński dowcip, w najwyższym stopniu odrażający — ale też nic więcej nie pomyśli i nie uczyni. Jeśli jednak wiadomość o katastrofie wzbudziła w nim niepokój, nieokreślone podejrzenie, jeżeli już się po trosze zaczyna domyślać własnego udziału w nieszczęściu i stawia tym domysłem opór, cztery słowa depeszy uderzą go jak grom. Poczuje się w oka mgnieniu przejrany na wylot — w tym, czego sam nie považył się sformułować do końca, a zarazem winny: nie będzie mógł wtedy ująć już myśli o „Aresie” i o tym, co go czeka; gdyby nawet próbował się przed tym bronić, telegram nie da mu spokoju. Nie zdoła siedzieć z założonymi rękami, w biernym oczekiwaniu; telegram zajdzie mu za skórę, dobierze się do sumienia, a wtedy — co? Pirs znał go dostatecznie, by wiedzieć, że stary nie zgłosi się do władz, nie złoży zeznań, tak samo jak nie pocznie myśleć o najwłaściwszej obronie i sposobach umknienia odpowiedzialności. Jeżeli raz uzna, że ponosi odpowiedzialność, bez jednego słowa, w milczeniu, uczyni to, co uzna za właściwe.

A więc nie można tak postąpić. Jeszcze raz przeszedł wszystkie warianty — gotów iść do samego diabła, żądać rozmowy z van der Voytem, gdyby cokolwiek rokowała... Ale nikt nie mógł pomóc. Nikt. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie „Ares” i te sześć dni czasu. Nakłonienie psychiatry do zeznań; obserwacja sposobów, jakimi Cornelius testował komputery; sprawdzanie „Aresowego” komputera — wszystko to wymagało tygodni. A więc? Przygotować starego jakąś wiadomością zapowiadającą, że... Ale wówczas wszystko spali na panewce. Tamten znajdzie w obolałej psychice wybiegi, kontrargumenty, w końcu najuczciwszy człowiek świata też ma instynkt samozachowawczy. Pocznie się bronić albo raczej będzie po swojemu milczał wzgardliwie, gdy tymczasem „Ares”...

Doznawał uczucia zapadania się, wszystko odtrącało go, jak w tym innym opowiadaniu Poego, Studnia i wahadło, gdzie martwe otoczenie milimetr po milimetrze zaciska bezbronnego, popychając go ku otchłani. Jaka może być większa bezbronność od bezbronności cierpienia, które trafiło kogoś i za to właśnie ma się go podstępnie ugodzić? Jaka może być większa podłość?

Zaniechać? Milczeć? Pewno, że to było najłatwiejsze! Nikt nigdy nawet się nie domyśli, że miał w ręku wszystkie nici. Po kolejnej katastrofie sami wpadną na trop. Raz uruchomione śledztwo dotrze wreszcie do Corneliusa i...

Ale jeśli tak właśnie jest, jeśli nie osłoni starego dowódcy nawet zachowując milczenie... nie ma do tego prawa. Nic już więcej nie pomyślał, bo zaczął działać, jakby wyzbyty wszelkich wątpliwości.

Na parterze było pusto. W kabinie laserowej łączności siedział jeden tylko dyżurny technik: Haroun. Wysłał taką depeszę: Ziemia, USA, Boston, „Syntronics Corporation”, Warren Cornelius: THOU ART THE MAN. I podpisał się z dodatkiem: członek komisji do zbadania przyczyn katastrofy „Ariela”. Miejsce wysłania depeszy: Mars, Agathodaemon. To było wszystko. Wrócił do siebie i zamknął się. Ktoś pukał potem do drzwi, słychać było głosy, ale nie dał znaku

życia. Musiał być sam, bo przyszły tortury myśli, jakich się spodziewał. Na to nie było już żadnej rady.

Czytał późną nocą Schiaparellego, żeby nie wyobrażać sobie po sto razy w różnych wariantach, jak Cornelius, unosząc szpakowate, nastroszone brwi, bierze do ręki depeszę z nagłówkiem Marsa, jak rozkłada szeleszczący papier i odsuwa od dalekowzrocznych oczu. Ze Schiaparellego nie rozumiał ani słowa; a kiedy odwracał stronicę, wybuchało w nim bezmierne zdumienie przemieszane z dziecinnym prawie żalem: jak to, więc to ja? ja — potrafiłem coś takiego zrobić?

Nie miał przecież wątpliwości: Cornelius tkwił w potrzasku jak mysz; brakło mu luzu, szpary dla najmniejszego uniku, nie dopuszczała go sytuacja samym swoim kształtem nadanym jej przez zgrupowanie zdarzeń; więc swoim spiczastym, wyraźnym pismem rzucił na papier kilka zdań wyjaśnienia, że działał w dobrej wierze, lecz bierze na siebie całą winę, podpisał się i o trzeciej trzydzieści — w cztery godziny po otrzymaniu depeszy — strzelił sobie w usta. W tym, co napisał, nie było jednego słowa o chorobie, żadnej próby usprawiedliwiania się, nic.

Jak gdyby zaakceptował czyn Pirxa tylko w tym, co się wiązało z ocaleniem „Aresa” i postanowił wziąć w tym ocaleniu udział — ale w niczym nadto. Jak gdyby wyraził mu jednocześnie rzeczową aprobatę i pełną wzdargę za tak zadany cios.

Być może zresztą Pirx mylił się. Jakkolwiek tkwi w tym pewna niewspółmierność, szczególnie dolegał mu we własnym uczynku jego koturnowo–teatralny styl, rodem z Poego. Podszedł Corneliusa jego umiłowanym pisarzem i w jego stylu, który mu brzmiał fałszywie, od którego się zrywał, bo nie upatrywał zgrozy życia w zwłokach powracających zza grobu, co wskazują okrwawionym palcem mordercę. Zgroza ta była, zgodnie z jego doświadczeniem, raczej szydercza niż malownicza. Towarzyszyła refleksji nad zmianą roli, jaką Mars odgrywał w dwu następujących po sobie epokach, kiedy z nieosiągalnej, czerwonej plamki na nocnym niebie, objawiającej na wpół czytelne znaki obcego rozumu, stał się terenem zwyczajnego życia, a więc mozolnych zmaganiań, politycznych konszachtów, intryg, światem uciążliwej wichury, zamętu i strzaskanych rakiet, miejscem, z którego można było nie tylko dostrzec poetycznie błękitną iskrę Ziemi, ale i ugodzić na niej śmiertelnie człowieka. Niepokalany, bo na wpół domyślny Mars wczesnej areografii szezł, pozostawiając po sobie tylko owe brzmiące jak formuły i zaklęcia alchemików — nazwy grecko–łacińskie, których materialne podłoże deptało się ciężkimi butami. Zaszła nieodwołalnie za horyzont epoka wysokich sporów teoretycznych i ginąc ukazała dopiero swoje prawdziwe oblicze — marzenia żywiącego się własną niespełnialnością. Pozostał tylko Mars żmudnych prac, ekonomicznej rachuby i takich szarobrudnych świtów jak ten, w którym poszedł na obrady komisji z dowodem w rękę.